

) GIMBUTAS )●( PUSSY RIOT )●( DOM BEZ CHEMII )●( NAWAHO )●( HEKATE )

sabatnik boginiczno-feministyczny

# TRZY KOLORY

DOŻYNKI

9/2●12

ROSHI REIKO  
MARIA MONETA  
-MALEWSKA

MAXINE  
SANDERS

) ŚMIERĆ (





- **pochwalona**  
Śmierć nikogo nie pomija  
wstępniak pisze Ewa Bury – str. 3
- **z kotła**  
Między bezruchem a ruchem  
o książce Morgany *Poza miotłą*  
pisze Ewa Bury – str. 4
- **słowo**  
W poszukiwaniu  
prawdziwej tożsamości  
wywiad z roshi Reiko Marią  
Monetą-Malewską – str. 6
- **Królowa Czarownic**  
wywiad z Maxine Sanders – str. 20
- **bogini**  
Hekate. Światło w ciemności  
o bogini śmierci pisze  
Agnieszka Kraska – str. 26
- **mikrokosmos**  
Śmierć – moje marzenie  
o śmierci pisze Maria Ela Lewańska  
– str. 32
- **czarna**  
Santa Muerte  
o Świętej Śmierci pisze Katarzyna  
„3Jane” Olszewska – str. 34
- **Memento Mori**  
o barokowej fascynacji śmiercią pisze  
Agnieszka Kraska – str. 40
- **Złowieszcze zwierzęta**  
o zwierzętach chthonicznych pisze  
Enenna – str. 44
- **Śmierć jako sprzymierzeńczyni**  
o śmierci pisze Agnieszka Kramm  
– str. 46
- **„Żyję w nadziei, że mogę skoczyć...”**  
o eutanazji pisze Tamara  
Jurewicz – str. 51
- **„Saul porwał miecz i upadł nań”**  
o możliwości wyboru śmierci pisze  
Magdalena Piekara – str. 52
- **Prawo do eutanazji w praktyce**  
o praktykowaniu eutanazji pisze  
Mijke van der Drift – str. 54
- **W obliczu Śmierci**  
Miłość świeci jaśniej  
o śmierci szamańskiej pisze Tanna  
Jakubowicz-Mount – str. 56
- **Prosta historia**  
śmierć taty wspomina Grażyna – str. 63
- **Choroba i śmierć**  
o śmierci mamy pisze Agnieszka  
Matyszewska – str. 66  
\*\*\*
- **poezja Agnieszki Mędrak** – str. 68
- **Kilka słów o śmierci**  
o śmierci pisze Anna Zielińska – str. 70
- **Wszystkie kolory śmierci**  
o śmierci pisze Dagny Agasz – str. 72
- **Neofitka**  
o umieraniu opowiada  
Iwona Jędrusik – str. 74  
\*\*\*
- **o śmierci babci i koty** pisze  
Iza Desperak – str. 76
- **Patrząc w słońce**  
o spojrzeniu w twarz śmierci pisze  
Iza Jąderek – str. 78  
\*\*\*
- **o śmierci mamy** opowiada  
Małgorzata Hołubowska – str. 80
- **W twym początku jest mój kres**  
o śmierci w kontekście macierzyństwa  
pisze Marta Niedźwiecka – str. 82  
\*\*\*
- **wiersze Sylwii Ewy Paszko** – str. 84
- **Snem było życie**  
o świeckim pogrzebie pisze  
Lidia Barc – str. 86
- **Urwane tory**  
o cmentarzu w Sewilli pisze  
Iwona Jędrusik – str. 88
- **Śmierć i dziewczyna**  
o nekrofilii pisze  
Aga Dellfina Dellert – str. 90
- **Droga**  
o duchach pisze Patrycja Niagara – str. 92
- **Matka Aya**  
o Ayahuasce jako doświadczeniu  
śmierci pisze Patrycja Kowalska – str. 94
- **Urwane tory**  
o cmentarzu w Sewilli pisze  
Iwona Jędrusik – str. xx
- **Bez narodzin, bez śmierci**  
o buddyjskim spojrzeniu na śmierć  
pisze Alek Kowalski – str. 98
- **Zgroza nagłych cisz**  
o turpizmie pisze  
Monika Chmielewska – str. 108
- **przodkini**  
Znaki spoza czasu  
o Mariji Gimbutas pisze  
Sebastian Kotlarz – str. 110
- **Fakt**  
Pussy! Riot!  
o karze dla rosyjskich feministek  
pisze Lidia Barc – str. 114
- **kolektyw**  
Sa'ah naaghái bik'éh hózhó  
o narodzie Nawaho pisze  
Ewa Bury – str. 116
- **ekoeko**  
Dom bez chemii?  
o ekologicznych środkach czystości  
pisze Maria Ela Lewańska – str. 118
- **na miotle**  
Na szlakach herezji  
śladami katarów podąża  
Barbara Srebro-Fila – str. 120
- **Rytuał oczyszczania negatywności**  
o rytuale Hekate pisze  
Agnieszka Kraska – str. 123
- **gędźba**  
Śmierć. Ze zmęczenia  
bajkę pisze Agnieszka  
Weseli/Furja – str. 124
- **zielna**  
Niezapominajki  
o kwiatkach z bajki pisze Iza Kasia  
Zalewska-Kantek – str. 126
- **Kara za niewinność**  
o wycinaniu alei drzew pisze Iza  
Kasia Zalewska-Kantek – str. 128
- **z kotła**  
recenzje książek piszą Monika  
Czaplicka, Agnieszka Weseli/Furja,  
Ewa Bury, Enenna, Agnieszka  
Kraska, Iza-Kasia Zalewska-Kantek  
i Maria Ela Lewańska – str. 130
- **gotuj się**  
Stołeczek dla Niej  
gotuje Katarzyna Rączka – str. 149
- **śpiewajmy Pani!**  
Kali – str. 149

## Kontakt

trzykolory@sabatnik.pl

## Wydawczynie

„Trzy Kolory” wydaje zespół wydawczyń w składzie: Ewa Bury, Agnieszka Kraska, Agnieszka Weseli, z siedzibą w Warszawie.



# Śmierć nikogo nie pomija

tekst: Ewa Bury

*Wszystko się kiedyś kończy. Ma swój kres. W makro- i mikroskali. Starzejemy się, umieramy, kończą się związki, odchodzą bliskie nam zwierzęta. Kres osiągają rzeczy wielkie – gwiazdy dogorywają jako białe olbrzymy, upadają systemy polityczne. Małe sprawy, krótsze cykle również oddalają się w niebyt – dzień zamienia się w noc, lato w jesień, godzina kona w kolejnej godzinie, wartość spożywcza jogurtów także ma swoją datę końcową.*

*Tylko zmiana pozostaje niezmienna. To, co odeszło, odradza się, a to, co umarło, pojawia się znów – świeże, młode, pełen energii. I wciąż rodzą się nowe istoty, kolejne wiosny rozjaśniają mroki zim, w eksplozji supernowych powstają załążki światów, pestka wiśni pochowana w ziemi nosi w sobie obraz żywego drzewa. Śmierć wydaje się więc bramą do kolejnych etapów życia, które jako takie nie ma końca. Jest nieskończone. Wręcz niezmiennie w swej nieskończoności.*

*W czarnej odstonie cyklu, w 9. numerze „Trzech Kolorów” zajmujemy się zatem śmiercią – heroldą ożywczej zmiany. Wręcz niezmiennie w swej nieskończoności powraca u swego kresu. O śmierci, ogołoceniu i zenie rozmawiamy z roshi Reiko Marią Monetą-Malewską, a o byciu królową czarownic z Maxine Sanders. O śmierci opowiada Maria Ela Lewańska w Mikrokosmosie, poznamy także buddyjskie spojrzenie na tę sprawę. W dziale Czarna prezentujemy także buddyjskie i piękne doświadczenia umierania oraz odchodzenia bliskich. Tanna Jakubowska-Mount przywołuje śmierć szamańską jako totalną przemianę duchową, a Agnieszka Kramm opisuje swoje osobiste, wzruszające spotkania ze śmiercią. Ponadto*

*w Przodkini, recenzje mnóstwa ciekawych książek i smakołyk opisany ręką Rączki Kasi. Niezmiennie, mimo że wszystko się zmienia, będzie można smakować grafiki i rysunki Beaty Sosnowskiej, Marty Zabłockiej, Zosi Hołubowskiej, Marty Nieznayu, Edyty Bystroń oraz zdjęcia Iwony Jędrusik. Zapraszamy do lektury.*

*Non omnis moriar.*

## Dziewiąty numer „Trzech Kolorów” stworzyły

redakcja



**Kolektyw:** Ewa Bury, Enenna, Agnieszka Kraska, Agnieszka Weseli/Furja

**Współpraca:** Katarzyna „3Jane” Olszewska, Maria Ela Lewańska, Patrycja Kowalska, Katarzyna Rączka, Beata Sosnowska, Iza-Kasia Zalewska-Kantek

**Teksty:** Dagny Agasz, Lidia Barc, Monika Chmielewska, Aga Dellfina Dellert, Iza Desperak, Mijke van der Drift, Grażyna, Małgorzata Hołubowska, Tanna Jakubowicz-Mount, Iza Jąderek, Iwona Jędrusik, Tamara Jurewicz, Sebastian Kotlarz, Alek Kowalski, Agnieszka Kramm, Agnieszka Matyszewska, Agnieszka Mędrak, Marta Niedźwiecka, Sylwia Ewa Paszko, Magdalena

Piekara, Barbara Srebro-Fila, Anna Zielińska oraz współpracowniczki i kolektyw

**Ilustracje:** Edyta Bystroń (rysunek), Aga Dellfina Dellert (zdjęcie), Katarzyna Hołda (ornat), Zosia Hołubowska (rysunek), Iwona Jędrusik (zdjęcie), Ela Korolczuk (zdjęcie), Marta Nieznayu (rysunki), Beata Sosnowska (rysunki), Barbara Srebro-Fila (zdjęcia), Agnieszka Weseli/Furja (rysunek), Marta Zabłocka (rysunki), Iza-Kasia Zalewska Kantek (rysunek i zdjęcie)

**Redakcja i korekta:** Agnieszka Weseli/Furja

**Skład i opracowanie graficzne:** Agnieszka Kraska

**www:** Ewa Bury, Agnieszka Kraska





# Między bezruchem a ruchem

tekst: Ewa Bury



Morgana,  
*Poza miotłą. Rozmyślenia o filozofii wicca*,  
tłumaczenie: Enenna, Morven,  
Whyte Tracks ApS,  
Dania 2012

Dobrych i ciekawych książek o wiccaniu zmie nigdy dość. Zwłaszcza w naszym kraju, w którym Wicca i poganizm to zjawiska stosunkowo nowe, a słynnych na Zachodzie Europy czy w USA publikacji na temat nadal brakuje. *Poza miotłą* to doskonała pozycja dla osób stawiających pierwsze kroki na ścieżce Rzemiosła. Młode stażem wiedźmy znajdą tu podstawy współczesnego czarostwa, Starej Religii, Wicca czy też Religii Natury. Podane w sposób spójny i klarowny, nieprzeintelektualizowane, a jednocześnie intrygujące dla nawet dla umysłów parających się wyłącznie fizyką kwantową. Są w książce systematyzujące dane na temat samej Starej Religii, skąd się wzięła, jakie korzenie ma słowo „poganin” itp. Znakomicie została wyłożona idea przeciwieństw, boskiej pary Bóg i Bogini i dlaczego biegunowość to rzecz konieczna. „Między bezruchem a ruchem znajdujemy rytm. Chociażby między morzem a lądem widzimy ślady na piasku, efekt zmagania między piaskiem (bezzruch) i wodą (ruch)”<sup>1</sup>. O samej Bogini, zwłaszcza w jej Potrójności, również znajdziemy podstawowe i najistotniejsze informacje, których prezentacja nas nie rozczaruje. Bogini w aspektach Panny, Matki i Sta-

ruchy została wręcz zaprezentowana wzorcowo: wszystko głęboko osadzone i uzasadnione prawami Natury, jednocześnie psychologiczne i logiczne. „Mroczną Boginię reprezentuje Jędrza, Starucha czy Mądra Kobieta, związana z ubywającym księżycem. Zajmuje się niszczeniem i rozkładem, co czasem na pierwszy rzut oka wydaje się okrutnym aspektem Potrójnej Bogini. Jednak jeśli przyjrzymy się temu aspektowi bliżej, zobaczymy w nim bardzo znaczącą i ważną stronę Matki Natury”<sup>2</sup>. Odkryjemy również, że i samemu Bogu autorka poświęciła sporo miejsca wyjaśniając jego naturę tak w rozumieniu historycznym, jak i mistycznym (zgodnie z istotą Rzemiosła). Interesujący jest, można rzec, rodowód Mojżesza, którego Morgana wywodzi od Zielonego Człowieka i Rogatego Boga bądź Herna, a także istotna w całej sprawie rola rogów (sic!). „...Bóg i Bogini są sobie równi, chociaż spełniają inne funkcje, a w trakcie roku ich pozycja staje się mniej lub bardziej wyraźna. Bóg ma większe znaczenie wiosną i latem, podczas gdy Bogini jest wyraźniejsza jesienią i zimą”<sup>3</sup>.

Całość dopełnia rozdział o czterech żywiołach – powietrzu, ogniu, wodzie i ziemi, jako o przejawach współ-

działania Bogini i Boga oraz rozdział o praktycznej stronie Starej Religii. Autorka kładzie nacisk na fakt, że Wicca jest religią wewnętrznych poszukiwań. Wszystkie bowiem odpowiedzi możemy znaleźć w sobie. Wicca jest systemem prostym, nie uzależnionym od hierarchii kapłańskiej, nie posiadającym centralnego autorytetu ani ostatecznie zdefiniowanych i jedynie prawdziwych kanonów czy prawd. To raczej osobista ścieżka w drodze do własnej prawdy, którą należy przejść samejmu. Bo nikt za nas tego lepiej nie zrobi. „Wicca dostarcza odpowiedzi wielu ludziom, którzy chcą pełnić bardziej aktywną rolę w swoim życiu religijnym. To nie bierny kult – to coś więcej, zwłaszcza jeśli chcesz spełniać się w roli kapłańskiej”<sup>4</sup>.

Autorka – Morgana – jest kapłanką gardneryjską (wicca gardneriańskie – jedna z odmian wiccizmu) i międzynarodową koordynatorką Pagan Federation International (Międzynarodowej Federacji Pogańskiej).

Wywiad z Morganą ukazał się w „Trzech Kolorach” (6/2011): [http://sabatnik.pl/articles.php?article\\_id=268](http://sabatnik.pl/articles.php?article_id=268).

Serdecznie polecamy i wywiad, i lekturę *Poza miotłą*.

1. Morgana, *Poza miotłą. Rozmyślenia o filozofii wicca*, tłum.: Enenna, Morven, Whyte Tracks ApS, Dania, 2012, str. 19.

2. Morgana, *Poza miotłą*, op. cit., str. 49.

3. *Ibidem*, str. 61.

4 *Ibidem*, str. 87.



sz  
oniat

# Poza miotłą

Rozmyślenia o filozofii i wicez

Morgana



wywiad z roshi Reiko Marią Monetą-Malewską  
**W poszukiwaniu**  
prawdziwej

# tożsamości\*\*\*

rozmawiały:  
Ewa Bury  
i Agnieszka Kraska  
foto: Agnieszka Kraska

**Agnieszka Kraska:** Jesteśmy u Pani już drugi raz. Przy pierwszym podejściu nagranie w tajemniczy sposób zniknęło z dyktafonu. Czy to mój umysł lub podświadomość sprawiła, że nacisnęłam jakiś guzik po to, żeby się tutaj zjawić drugi raz? Czy może to czysty przypadek? Dyktafon jest sprawny, nagrywałyśmy potem inny wywiad i wszystko było w porządku.

**Maria Moneta-Malewska:** Gdybym była okrutna, powiedziałabym, że to twoja nieuwaga. Coś musiałaś zrobić źle. To się samo nie stało. I zen trzyma się tego. Szukamy najprostszych, najbardziej prawdopodobnych rozwiązań. One są zwykle najprawdziwsze. Tak jak sama sobie odpowiedziałaś. Fajnie dać coś, bo wtedy jest romantycznie, mistycznie, ciekawie. W ten sposób się wzmacniamy. Popatrzcie, taką mam moc i taką siłę.

**AK:** Czyli nie jest to żaden znak?

Z mojego punktu widzenia – nie. Ale oczywiście są też takie szkoły, w których interpretacji zrobiłaś to podświadomie. Mogłaś być również mocno poruszona i umysł nie zapracował tak, jak powinien. Zabrakło uważności.

## Roshi Reiko Maria Moneta-Zalewska

\*\*\*

jest 84. spadkobierczynią Dharmy Buddy Siakjamuniego. W swym nauczaniu podkreśla konieczność przenoszenia stanu umysłu z formalnej praktyki zazen do codziennych aktywności – „zen dnia codziennego” – oraz odpowiedzialność i determinację adeptów buddyzmu zen. Praktykuje zen od 1978 roku, początkowo w Polsce z Roshim Philipem Kapleau, następnie w tradycji Soto u Roshiego Gempo. W 1994 roku wyjechała do Japonii, gdzie rozpoczęła praktykę pod kierunkiem Roshiego Oi Saidana, w klasztorze Hokko-ji w południowej części Honsiu. Otrzymała od Roshiego Oi Saidana przekaz Dharmy w linii japońskiego Rinzai Zen.

Roshi, wyświęcona mniszka z tradycji Rinzai Zen, jednocześnie pozostaje w pełni aktywna zawodowo. Prowadzi prywatną praktykę psycho-terapeutyczną, jest cenioną konsultantką biznesową w dziedzinie HR (human resources), jest także aktywną i znaną ekspertką w dziedzinie profilaktyki uzależnień. Jest autorką książek i publikacji o tematyce psychologicznej, prowadzi także audycje radiowe oraz swój projekt wszechstronnego rozwoju człowieka – Doksan Project.



**Ewa Bury:** Jaki jest Pani feminizm? Podczas naszego poprzedniego spotkania poruszałyśmy temat zrównania płac mężczyzn i kobiet.

Tak, feminizm ma do tego doprowadzić. Oczywiście jeżeli odnosimy się do całego świata, to dzieją się w nim straszne rzeczy, jeśli chodzi o kobiety. Trzeba więc przede wszystkim pomyśleć o tych kobietach, które naprawdę cierpią, są okrutnie traktowane, a ich życie się nie liczy. Z kolei w innych krajach rzeczą niezmiernie istotną jest zrównanie zarobków. Kobiety mają mniej pieniędzy, ponieważ ich pracy nie szanuje się tak, jak się szanuje pracę męską. Myślę, że wzięło się to z tradycji utrzymywania domu przez mężczyzn. Chociaż w czasach PRL-u również kobiety utrzymywały dom. Dzisiaj jest już nieco lepiej, bo coraz częściej młodzi mężczyźni poczuwają się do pracy w domu. Świetnie, prawidłowo i przede wszystkim sprawiedliwie. W moim pokoleniu takie rzeczy zdarzały się bardzo rzadko. To był dopiero taki początek. Ja i mój mąż oboje pracowaliśmy w szpitalach jako lekarze, ale on pracował poza Warszawą, więc ja wracałam wcześniej do domu i robiłam obiad. Kiedyś, z jakiegoś powodu, nie zrobiłam tego obiadu i właśnie wtedy przyszedł mój tata. Miał do mnie pretensje, że mąż wraca z pracy, a obiadu nie ma. To podziało na mnie odwrotnie niż chciał tata. Kompletnie mnie zamurowało. Stałam tak chyba z 15 sekund milcząc, po czym odwróciłam się do taty i powiedziałam: „Zaraz! Tak samo pracowałam ja, jak i on. Dlaczego ja mam wracać do domu i robić obiad? A on co? Przychodzi na gotowe?” W tamtym momencie pojęłam, że to jest tradycja, w której większość prac wykonują kobiety. Trochę rozjaśniło mi się w głowie. Z moim mężem nie było jednak aż tak źle. Z własnej inicjatywy prał, pomagał przy dużym sprzątanu raz w tygodniu. Czyli już wtedy coś się ruszyło. Mój tata nie robił nic. Był wspaniałym człowiekiem, ale zupełnie nie przychodziło mu do głowy, żeby zrobić cokolwiek w domu. Chociaż czasami przygotowywał nam pyszne śniadania.

Nasze feministki bardzo dużo robią, to jest wielki front działań, ale powinno się robić jeszcze więcej. Wszystkie kobiety powinny się włączyć w ten ruch, szczególnie te, które zajmują się polityką. Powinno być na to wielkie parcie, masowy ruch kobiet na wszystkich płaszczyznach i wszystkich szczeblach. Płace powinny być zrównane ustawowo i to jak najszybciej.



**EB:** Co Pani sądzi na temat żeńskich końcówek w nazwach zawodów? Wiele kobiet czuje się lepiej, kiedy nazywa się je panią grafikiem niż graficzką.

Ja się im wcale nie dziwię. Bycie graficzką a bycie grafikiem w naszym głębokim odbiorze naprawdę robi różnicę. Niestety – na niekorzyść kobiety. Gdy zgłaszają się do pracy grafik i graficzka, wiele osób podświadomie wybierze grafika. Grafik to ktoś poważny, godny zaufania, a graficzka to mała grafika. Nie dziw temu, że kobiety nie chcą takiej zmiany, bo coś im w tym momencie zabieramy.

Żeby dokonana się zmiana, ktoś musi świadomie poświęcić swoją karierę, zgodzić się na stratę w imię tego, że następne pokolenia będą miały lepiej. To duża odpowiedzialność i duży ciężar. Trzeba być wielkim człowiekiem, żeby się na to zgodzić.

**roshi**

Dośł. czcigodny duchowy nauczyciel; mistrzyni\_mistrz zen, nauczycielka\_l w tradycji zen. Funkcję tę może pełnić zarówno osoba świecka, jak i duchowna, bez względu na płeć. Roshi prowadzi i inspiruje uczniów na drodze do oświecenia.

**zen**

(skrót od jap. *zenna*, sanskryt *dhjana*, chiń. *channa*), zen to tradycja buddyzmu Mahajany, tzw. małego wozu. Jest to proces medytacji i koncentracji, w wyniku których umysł zostaje najpierw oczyszczony i zogniskowany na jednym, by następnie dojść do przebudzenia wzorem samego Buddy. Zen jest religią wolną od dogmatów i pojęcia Boga czy bóstw.





Roshi Reiko Maria Moneta-Malewska podczas wygłaszania Mowy Dharmy

**EB:** Wprowadzanie zmian jest bardzo trudne. Często też sposób ich wprowadzania bywa problematyczny, bo opiera się na przemocy. Nie mówię teraz o feminizmie, ale chociażby o osobach walczących z nazizmem, nacjonalizmem itp. Jako przykład podam demonstracje 11 listopada czyli blokady przemarszu faszystów. Antyfaszyści mówią – „Przegońmy faszystów z Warszawy”. To jest stosowanie przemocy.

Dobrze, to powiedz mi, jak to chcesz zrobić inaczej.

**EB:** Robić swoje. Na przykład zamiast blokowania przemarszu faszystów można urządzić święto miłości, dobrych uczynków, spotkać się, zwołać różne środowiska i urządzić festiwal przyjaznych emocji.

Czyli nie przeciwko, tylko za czymś.

**EB:** Za wspólnotą, za współdziałaniem. Zrobmy razem coś pokojowego, konstruktywnego.

Byciem za, a nie przeciw można bardzo dużo zdziałać. Powinniśmy jednak starać się zrozumieć, że nie ma jednego słusznego światopoglądu. Nasi oponenty widzą świat po swojemu i walczą o swoje. To jest ich wiara. Dla nich feministki walczą o prawo do aborcji czy emancypujące

się mniejszości seksualne to najgorsza nacja, jaka może w ogóle istnieć. Najważniejszą rzeczą byłoby w taki sposób oddziaływać, żeby chcieli zmienić swoje poglądy lub choćby dostrzec, że są też inne sposoby na życie. Ale po pierwsze to my musimy zrozumieć, że oni mają

taki punkt widzenia. Dopóki my tego nie rozumiemy, nie mamy możliwości porozumieć się z nimi. Ty pójdziesz ze sztandarem wolności, a oni pójdą ze sztandarem takiej samej wolności, która będzie się domagała uciszenia feministek i gejów. I znowu mamy siłę przeciwko sile.

**EB:** Czy jest więc sens chodzić na te blokady?

Jest sens, bo trzeba pokazać, że jest przeciwwaga dla takich poglądów. Z mojego punktu widzenia – idę na blokadę, ponieważ w ten sposób pokazuję, że jestem przeciwna temu, co się dzieje.

### zendo

Sala lub pokój, w którym praktykuje się zazen.

### zazen

Medytacja zen, występuje w różnych formach – siedzenia, chodzenia, biegania, śpiewów, pracy fizycznej. Istotna jest tu właściwa postawa, np. podczas siedzenia, jak i szereg innych gestów, np. mudr, ruchów ciała podczas śpiewów czy medytacji chodzonej.

**EB:** Czy buddysta powinien angażować się w takie działania? Może powinien być obiektywny i bezstronny?

Wolałabym się wypowiadać we własnym imieniu niż wszystkich buddystów. Chociaż czasami mówi się, że buddysta nie powinien się włączać w tego typu działania czy akcje. Na pewno buddyzm jest przeciwny przemocy. Wiele lat temu, na początku lat 80., kiedy byłam jeszcze uczennicą, pod koniec sierpnia doszło do wielkich rozruchów. Był wtedy u nas nauczyciel roshi Philip Kapleau, siedzieliśmy na sessin na Starówce. Słychać było rozruchy, czuć było gaz. Padło pytanie: „Co się robi w takiej sytuacji?” Roshi odpowiedział coś, co jest mi szalenie bliskie: „Rób to, co ci każe twoje serce”. Część z nas wstała i poszła na manifestację. Wyszliśmy z sessin, roshi na to pozwolił.

**EB:** Tematem głównym tego numeru sabatnika jest śmierć. Co Pani sądzi o śmierci? Jak się Pani zapatruje na to szczególne zjawisko?

Zaskoczę was. Tak naprawdę jesteście nieśmiertelne. Ale macie ego i ciało, które umiera. I to właściwie tyle na temat śmierci (*śmiech*).

**EB:** To wystarczy (*śmiech*).

„Mnich przyszedł do mistrza zen i chciał wiedzieć: »Mistrzu, powiedz mi, co jest po śmierci?« A mistrz zrobił wielkie oczy i zapytał: »Dlaczego mnie o to pytasz? Przecież jeszcze żyje!«” Tak naprawdę, możemy sobie snuć rozważania na temat śmierci, ale przecież nikt jeszcze stamtąd nie wrócił.

**EB:** Podobno żyją w Indiach jogini, którzy wrócili stamtąd. Po 30 dniach wstali, otrzepali się z kurzu i wrócili do życia

Dobrze, ale to znaczy, że oni cały czas żyli. Ja osobiście nie znam człowieka, który stamtąd wrócił. Z mojego punktu widzenia, jeżeli ktoś mówi o życiu po śmierci, to ma te informacje z mózgu, który jeszcze nie umarł. To, co mówi, dotyczy umierającego mózgu, a nie tego, co się dzieje po śmierci.

**EB:** A Tybetańska księga śmierci? Skąd ta wiedza?

Nie mam pojęcia. Choć *Księgę śmierci* czytałam i podobała mi się. Jest to opis przekroczenia ego. I tylko tyle. To spotkanie z różnymi światami. Masz się nie bać i wszystko przekroczyć. Niestety, dopiero gdy przekroczysz, idziesz dalej, ale co tam jest, o tym już nie piszą. Uściślając fakt naszej nieśmiertelności, powiedziałabym teraz jeszcze inaczej – ani umierasz, ani nie umierasz, twoje ciało umiera. To jest bardziej prawdziwe.

Według legendy, Budda Siakjamuni w poprzednim życiu, zanim został buddą, zobaczył umierającą tygrysicę. Tygryśca, matka dwóch małych tygrysiątek, była tak słaba, że nie mogła już dłużej polować. Musiała umrzeć razem z tygrysiatkami, bo nie miała już czym ich karmić. Zobaczywszy to, przyszedł Budda, powiedział: „To żaden problem, zjedz mnie i wychowaj swoje tygrysiatka”. Oddał siebie, dlatego stał się Buddą.

Ego zatem pozwala nam przeżyć. Nawet drzewa wydzielają truciznę, żeby znaleźć miejsce dla siebie. Walka o byt toczy się nie tylko wśród ludzi, toczy się wszędzie. Życie walczy o byt. I to można byłoby właśnie nazwać ego, które jest śmiertelne. Drzewo oddziela się to od innych drzew i mówi: „To jest moje. To jestem ja. To jest mój kawałek nieba, mój kawałek ziemi, i mój deszcz, który na mnie spada”.



AK: Dlaczego zatem warto z tym ego walczyć?

Mówimy o skrajnym przypadku, kiedy ego pozwala nam po prostu przeżyć. Kiedy nie zawaha się przeżyć oraz rozmnożyć się, bo to są nasze dwa najsilniejsze nasze instynkty. Jeśli ktoś cię zaatakuję, unieszkodliwisz tę osobę, żeby przeżyć. Ale tego, co nam dodatkowo funduje ego, warto się pozbyć.

EB: A co nam funduje ego? Pożądanie, ambicje, rozkosze cielesne? Przecież rozkosze są urodą życia. Prestiż i zaszczyty dają nam poczucie spełnienia i satysfakcję. Dlaczego się mamy tego wyzywać?

(śmiech) Nie musimy wcale wyzywać się poczucia spełnienia i satysfakcji. Należy się jednak zastanowić co jest przyczyną naszego cierpienia i dyskomfortu. Jednak nie mówię tu o przyczynach bólu naszego ciała, wynikającego ze zranienia czy choroby. Mówię o pożądaniu i przywiązaniu. Jeżeli jesteśmy do czegoś przywiązani i to stracimy, odczuwamy głęboki ból z powodu tej straty. Jeżeli czegoś pożądamy, a tego nie mamy, rośnie dyskomfort, a nawet cierpienie.

EB: A co z miłością? Z miłością do bliskich, a także z tą wielką, jedyną miłością?

Miłość do bliskich jest czymś jak najbardziej pozytywnym. Lecz gdy bliscy umierają, my cierpimy, a cierpimy z powodu przywiązań, uwarunkowań. One właśnie nie pozwalają nam pogodzić się z odejściem bliskich.

A miłość... Gdy prawdziwie, szczerze kochamy, osoby kochanej nie traktujemy jak naszej własności. Nie jesteśmy przywiązani, niczego nie oczekujemy, nie pragniemy, nie wymagamy.

Jednak z reguły nasze miłości przysparzają nam oraz naszym partnerom wiele cierpienia. A wszystko z powodu przywiązania i oczekiwań. Oczywiście

bardzo przeżywamy miłość, lecz cierpimy, bo jest ona nacechowana oczekiwaniem i pożądaniem. Wymagamy od drugiej strony takich samych uczuć, określonych predyspozycji, zachowań, stosownego wyglądu, a także wyłączności. Jeżeli nasze warunki nie zostają spełnione, zaczyna się cierpienie.

Jeśli chcemy mieć czysty umysł, musimy odciąć się od wszelkiego przywiązania. Spełnienie i satysfakcja – to wszystko zależy od człowieka, jego siły woli i determinacji. Jeśli czego wystarczająco mocno chcemy, zdobywamy to. Jednak szybko przestaje nas to interesować, cieszyć i radować. Nawet jeżeli

przez 15 lat budowaliśmy dom, staje się on potem naszą normą, zwyczajną codziennością. I nie cieszy nas tak, jak sam proces jego budowania. Co zrobić żeby naprawdę spełnić się w życiu? Na to pytanie każdy musi odpowiedzieć sobie sam i wziąć się za bary ze swoim ego, które jest niczym cerber, broniący dostępu do naszej prawdziwej tożsamości. Im więcej lat, tym odpowiedź trudniejsza. Jeśli w porę nie zaczniemy dbać o swój rozwój, poznanie siebie, o dotarcie do swojej prawdziwej tożsamości, starość i spotkanie ze śmiercią może być wtedy niezwykle przykrym doświadczeniem... a wcale nie musi.

## wgląd

Nagła, nieoczekiwana zmiana percepcji, prowadząca do nowego, głębszego i pełniejszego zrozumienia siebie i świata.

## Oświecenie

(kensho, satori) samourzeczywistnienie, otwarcie oka Umysłu, przebudzenie do swojej Prawdziwej Natury.

**AK:** Jak buddystka\_tą zen przygotowuje się do przejścia na tamtą stronę, do tego momentu, w którym ciało umiera?

Medytuje. W czasie medytacji masz wglądy w rzeczywistość, zdajesz sobie sprawę, że jesteś nie tylko tym małym ego. Zdasz sobie sprawę z nieuniknioności pewnych rzeczy, pewnych zdarzeń. Przede wszystkim z tego, że jest tu i teraz, a wszystko inne istnieje tylko twojej głowie. Na tym polega przygotowanie. Dzień po dniu utwierdzanie się w swoich wglądach, w tym, co było twoim przeżyciem, ale także dzień po dniu bycie coraz bardziej tu i teraz, z coraz jaśniejszym umysłem. Nieuciekanie w jakieś boczne tory myślenia i życie iluzją, ale życie tylko tym, co się w danym momencie wydarza, czyli samą prawdą życia. Bo to właśnie jest życie. Nie to, co my myślimy o życiu, tylko to, co się dzieje w życiu, co dzieje się tylko tu i teraz. Przeszłość to wszystko, co było, przyszłość – wszystko, co będzie. Pomiędzy przeszłością i przyszłością pozornie nie ma nic, a to właśnie w tym miejscu przebiega całe nasze życie. Reszta jest tylko iluzją. To nasze myśli, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, tylko ciągną się w nieskończoność. Oczywiście, jest taki moment w terażniejszości, kiedy myślimy o przyszłości, bo coś planujemy. Tak jak są momenty, kiedy czerpiemy doświadczenia z przeszłości. Wtedy myślimy o przeszłości, bo stamtąd czerpiemy informacje, co zrobiliśmy dobrze, a co zrobiliśmy źle. Ale żyje się tu i teraz. Jeśli umysł zaczyna być czysty, nieprzywiązany do niczego, to myśl powstaje i odchodzi, a my żyjemy tu i teraz, tym, co się dzieje w tej chwili. I wtedy, co się dzieje? Okazuje się, że wszelkie problemy tworzymy sobie sami, we własnych głowach. To jest iluzja życia. Zwróćcie uwagę, jak często myślimy o tym, mogłybyśmy były zrobić w przeszłości, żeby było lepiej, albo co możemy zrobić w przyszłości, żeby było cudnie i wspaniale, a potem to się w ogóle nie sprawdza. My wymyślamy scenariusze, a życie idzie swoim torem.

Podam przykład z mojego życia. Na początku moich studiów zakochałam się w najprzystojniejszym mężczyźnie, jaki kiedykolwiek istniał na tym świecie. To było bardzo wczesną wiosną. Dawaliśmy sobie wiele sygnałów i znaków, że jesteśmy sobą niezwykle zainteresowani, nie podchodziliśmy

jednak do siebie i nie rozpoczynaliśmy żadnej rozmowy. Tak byliśmy onieśmieleni swoimi osobami, że żadne z nas się na to nie decydowało. Spędziłam prawie trzy miesiące rozmyślając, jaka będę elokwentna, jak błysnę intelektem i dowcipem, kiedy w końcu się do mnie odezwie. Prawie studia zawaliłam, bo leżałam do góry brzuchem, patrzyłam w sufit i na tym suficie sobie wyświetlałam sobie naszą świetlaną przyszłość. W końcu przyszedł maj, było pięknie. Spadł majowy deszcz i zmoczył moje włosy. Weszłam do akademika, do sali, w której stał telewizor, stanęłam i zaczęłam oglądać program, który wszyscy oglądali. I nagle usłyszałam za sobą jego głos „Jakie ty masz piękne włosy”. Odwróciłam się, spojrzałam w jego błękitne oczy i powiedziałam „Aaaaaa....”

Wspominałam o tym, bo to jest żywy przykład, tego, co potrafimy sobie wymyślić i jak to się później ma do rzeczywistości. W momencie, kiedy przestajemy być oddzieleni od świata, ego przestaje nami rządzić i wtedy jest nam dużo łatwiej żyć.

**EB:** Można powiedzieć, że moment oddzielenia się ego to jest właśnie ten moment prawdziwego upadku człowieka, wygnania z raj.

Niektórzy mówią, że tak, że to ten moment, w którym człowiek spożył jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego, i oddzielił dobro od zła. To chwila, w której nastąpił pierwszy podział.

### Rinzai

Jedna z dwóch głównych szkół zen (obok Soto) w Japonii, za twórcę tej szkoły uważa się chińskiego mistrza zen Lin Ji (jap. *Rinzai Gigen*).

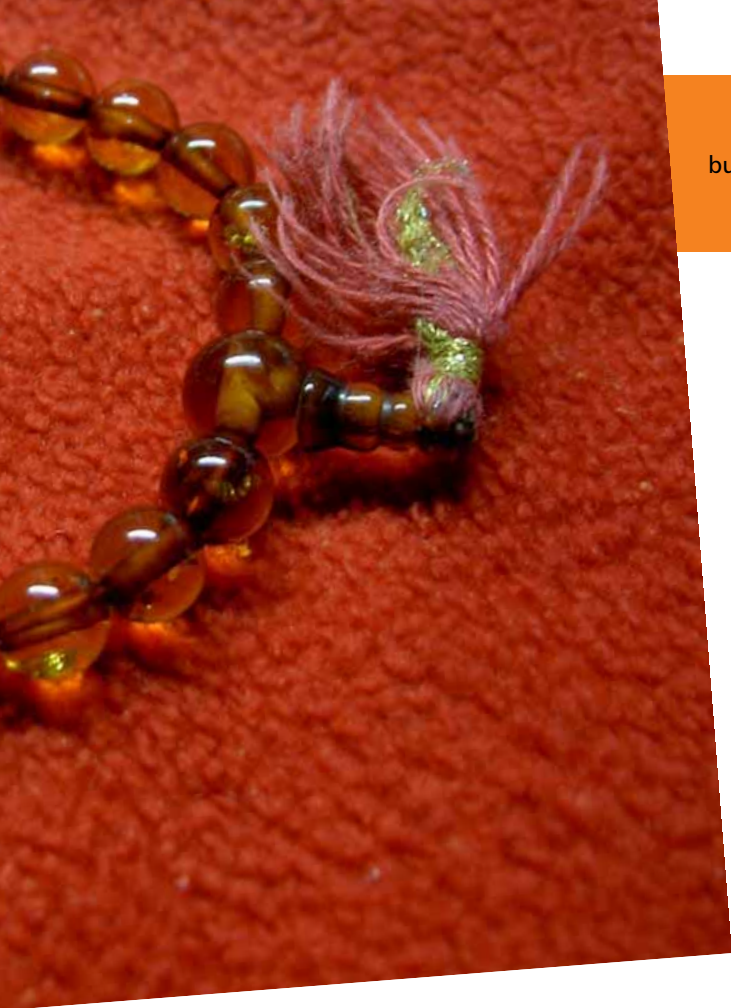
### Soto

Jedna z dwóch głównych szkół zen w Japonii. Uważa się, że jej założycielem był japoński mistrz zen Dogen Kigen.

### kinhin

Sala lub pokój, w którym praktykuje się zazen.





Mala –  
buddyjski sznur  
modlitewny

s\*t\*o\*w\*o



EB: Nastąpiła mistyczna mitozą.

I wtedy – pach! Precz. Do widzenia.

AK: Wracając do śmierci. Czy istnieją w zen ceremonie związane ze śmiercią, rytuały pogrzebowe? Skoro nie umieramy, jesteśmy nieśmiertelne\_i, to po co celebrować moment .

Owszem, istnieją. Jednak znikamy z rzeczywistości, w której żyjemy, ze świata formy. Znika nasze ciało, ale to, co na początku powiedziałam o nieśmiertelności, jest prawdą. Tak, są ceremonie, odprawiane bardzo długo, bo aż do 50 lat po śmierci danej osoby.

AK: Jak sobie poradzić z lękiem przed śmiercią? Przecież boimy się śmierci, przynajmniej część z nas.

Medytacja. Medytacja pozwala oswoić się ze śmiercią, z lękiem przed śmiercią, nieistnieniem, przed wielką niewiadomą – bo przecież nie wiemy, co tam dalej się dzieje. Ten nasz lęk to także lęk przed stratą. Boimy się utracić to, co mamy – dobra materialne, młodość, nasze ciała. Można jednak przepracować w sobie ten lęk. Dzięki temu zmieni się nasze podejście do świata i samej śmierci.

Jest taki moment, koło czterdziestki, kiedy śmierć zaczyna coraz wyraźniej pukać do naszych drzwi. Wtedy też, ci ludzie, którzy są uważni, mogą się do śmierci zacząć przyzwyczajać, zacząć z nią gadać. Pewnego dnia zmywałam naczynia u siebie w mieszkaniu i nagle na parapecie pojawiła się śmierć. Nie widziałam jej, lecz wiedziałam, że tam jest. Odruchowo odwróciłam się i ku swojemu zdziwieniu powiedziałam głośno: „Na pewno nie teraz!” I śmierć od tego momentu zaczęła mi towarzyszyć. Czu-

łam ją. Była wszędzie. Opowiedziałam o niej moim dzieciom, o tym, że jest z nami od urodzenia, że chodzi za nami krok w krok, siedzi przy łóżku gdy opowiadam im bajkę, i że dotyczy to wszystkich ludzi. Dzieci pytały: „I co, siedzi?” „Siedzi”. „Jest?” „Jest”. Dzięki temu, przynajmniej w obecnej fazie życia, one się nie boją śmierci. Nie mają w sobie lęku przed śmiercią, bo z tą śmiercią były za pan brat. Myślę, że wielu ludzi ma podobne doświadczenia, ale tylko garstka o tym opowiada. Ludzie przeżywają i przepracowują w sobie takie rzeczy, oswajają śmierć. Choć oficjalnie nie mówi się o śmierci, uważa się ją za temat tabu. Nawet z umierającymi nie rozmawia się o śmierci. Tymczasem powinno się mówić o śmierci jak najwięcej. Każdego to czeka i trzeba się z tym pogodzić. Trzeba sobie powiedzieć – „Urodziłam się, to znaczy, że umrę”.

Poproszono kiedyś moją córkę, która też jest buddystką, do młodej

dziewczyny umierającej w hospicjum. Prowadzące hospicjum siostry zakonne były zdania, że osoba ta nie może odejść, bo nie jest w stanie pogodzić się ze śmiercią. Trwała w zawieszaniu. W tym czasie umarła również moja mama, tak więc pojechaliśmy także dla siebie kupić żałobne ubrania. Kupiliśmy ją, a potem moja córka odwiedziła tę dziewczynę w hospicjum. Opowiedziała jej o buddyjskim podejściu do śmierci. Rozmawiała z nią prawie całą godzinę, wyszła i powiedziała do mnie: „Mamo, widziałam jak jej się zmieniła twarz”. Pojechaliśmy do domu. A potem dostałyśmy informację, że tamta dziewczyna umarła w 10 minut po wyjściu mojej córki. Oswajanie ze śmiercią jest więc niezmiernie ważną sprawą. To wyznacznik naszego człowieczeństwa, naszego życia. Ale oczywiście podkreślam – tego, jakie jest umieranie w chwili śmierci, nikt nie wie.

## koan

Chiń. *gong'an*, pewne sformułowanie, rodzaj zagadki, stosowanej w praktyce zen, przede wszystkim w szkole rinzai, której nie można rozwiązać przy użyciu dyskursywnego intelektu, ale jedynie dzięki przebudzeniu na głębszym poziomie umysłu. Koan najczęściej ma budowę pytania, zadawanego przez ucznia, i odpowiedzi udzielonej przez mistrza, np. „Pod trzepoczącą świątynną chorągwią kłóciło się dwóch mnichów o to, czy porusza się wiatr, czy chorągiew. Przechodzący tamtędy Szósty Patriarcha rzekł: »Ani wiatr, ani chorągiew; to umysł się porusza«”.



**EB: Trudny temat – eutanazja. Co Pani sądzi o wolności w podjęciu decyzji o własnej śmierci?**

Jeśli człowiek jest wolny, nie jest niczym spętany, jeśli podejmuje decyzję o swoim życiu i niebyciu tylko i wyłącznie sam, na własną swoją odpowiedzialność, jeśli czuje, że to jest jedyne wyjście, wtedy ma do tego prawo.

**EB: Buddyzm nie popiera eutanazji? Jak się Pani zapatruje na to szczególne zjawisko?**

Popełnić samobójstwo nie jest dobrze. W żadnej religii. Ale jeśli wykraczasz poza religię, jesteś samoodpowiedzialna za siebie do końca, to ty podejmujesz decyzję. Jeżeli masz potrzebę żyć według wskazówek i reguł, wtedy powinnaś się ich trzymać. Ale jeżeli ktoś jest wolny, ma wybór

i odpowiada przed samym sobą. Z drugiej strony doskonale rozumiem tych, którzy bronią się przed eutanazją. To lęk przed nadużyciami. Tu łatwo otworzyć furtkę do zabijania ludzi w majestacie prawa. I dlatego powinno się nad prawem do eutanazji mocno popracować.

**EB: Dlaczego wybrała Pani drogę zen, trudną i wymagającą?**

Zen? Zen się pojawił w moim życiu z powodu głębokiego krzyku wewnętrznego o duchowe spełnienie. Byłam wierzącą katoliczką, która chciała zejść głębiej, ale nie znajdowałam tej głębi. Czegoś mi w katolicyzmie zabrakło. W momencie, kiedy dowiedziałam się, że istnieje ścieżka, na której pracujemy sami, na której nie potrzebna jest łaska boża, bardzo mnie to chwyciło. Mogłam wziąć wszystko w swoje ręce. Stałam się niezależna i to chyba najbardziej pociągnęło mnie w zenie. Zen oddaje wszystko tobie. Potrzebny jest nauczyciel, potrzebna jest twoja praktyka i to wszystko.

Ruszyłam do tego naprawdę mocno i ostro. Kiedy zaczęłam praktykę, to ją naprawdę robiłam. Nie było zabawy, tylko codzienne praktykowanie. Nauczyciel przyjeżdżał wtedy bardzo rzadko, raz w roku. Jeździło się na siedem dni sessin, chodziło raz w tygodniu na siedzenia i praktykowało się po prostu w domu, bardzo, bardzo mocno i bar-

dzo, bardzo ostro. Miałam taki okres w swoim życiu, kiedy budziłam się o 3.00 w nocy z zaciśniętymi pięściami, z paznokciami wbitymi w skórę, z zębami zaciśniętymi tak, że bolała mnie żuchwa. Praktykowałam do 4.00, potem kładłam się jeszcze spać, wstawałam o 6.00 i znowu praktykowałam do 7.00. Z mojego punktu widzenia to było coś, czego bardzo potrzebowałam i co doprowadziło mnie do uspokojenia wewnętrznego, do zaspokojenia mojego wewnętrznego głodu. Rozwijało mnie duchowo. Mówi się, że duchowość to jest ten wewnętrzny niepokój, który nas w środku męczy, który mówi, że przecież to nie wszystko, że tam jest coś jeszcze, że przecież nie tylko jemy, pijemy, wydalamy, i coś jeszcze po drodze czynimy, tylko jest w tym wszystkim coś więcej.

Podczas medytacji wyciszamy się i coraz lepiej poznajemy siebie, aż do kompletnego wglądu. Efekty tego studiowania siebie są zaskakujące. Oka-

zuje się, że niczego tak naprawdę nie wiemy. Dopiero kiedy odpowiednio wyciszymy swój umysł, kiedy oczyścimy go ze wszystkich przywiązań, wymyślań, teorii... dopiero wtedy pojawia się wgląd w istotę rzeczy. Lecz każdy musi przeżyć to sam. Okazuje się, że nie jesteśmy tylko tym małym ja. Na tym nie kończy się nasza tożsamość. To jest odkrywanie prawdziwej tożsamości człowieka. Później zaczyna się żyć według tego odkrycia. To jest dalsza praca.

Praca w zenie nie ustaje do końca naszego życia. I to właśnie jest fascynujące. Gdybym miała coś pojedynczego do zdobycia, nie poświęcałabym temu tyle czasu. Doskonale zdaję sobie spr-

## Kanzeon

Sansk. Awalokiteśwara (dosł. Pan patrzący w dół) jeden z najważniejszych bodhisattwów uosabiający współczucie. W Chinach czczony jako bogini Guanyin lub Guanshiyin, a w buddyzmie japońskim jako Kannon lub Kanzeon, żeńska forma bodhisattwy współczucia (dosł. Postrzegająca Dźwięki Świata).



wę z tego, że jak coś w końcu zdobędę, to przestaje mnie to interesować. Jak długo się cieszyacie gdy zdobywacie to, na co czekałyście? Chwilę? Mam zabaweczkę i po chwili fruuu... i już – ucieszyłam się, do widzenia. Można ją rzucić za siebie. Za tę chwilę nie chcę poświęcać swojego życia. Z zenem tak nie jest. Od razu wiedziałam, że to praca do końca moich dni, do ostatniego oddechu. To wyzwanie. To coś, czemu można w życiu poświęcić czas. Wchłonał mnie ten zen absolutnie.

Do trzydziestki byłam katoliczką. Wierzącą, praktykującą, chodzącą do kościoła. Bardzo trudno było mi poze-

gnąć się z katolicyzmem. Za złamanie przykazań grozi kara, więc nie tylko dręczyło mnie poczucie winy, ale także lęk, dlatego to tak długo trwało. Myślałam, że mogę być wyklęta, że mogę nie być zbawiona, a jednak szłam swoją ścieżką, tą którą odnalazłam. Parę lat odchodziłam od tej religii, aż w końcu zupełnie odpadły ostatnie nawyki. To było bardzo trudne przeżycie, które później pomogło mi w odrzuceniu różnych innych rzeczy. Przejść przez coś takiego to duży wysiłek, cierpienie, zmaganie się i jednocześnie nabieranie wiary w siebie, w to, że robi się dobrze. Na szczęście dla mnie.

**EB:** A potem trafiła Pani do Japonii, do klasztoru zen.

Trafiłam tam przez przypadek, który nie jest przypadkiem (*śmiech*). Kiedy oglądam się wstecz, widzę, że całe moje życie do tego prowadziło. Najpierw zrezygnowałam z pracy na psychiatrii, przez co nigdy nie zrobiłam specjalizacji. Potem zaczęłam pracować z uzależnionymi. Zajął się profilaktyką AIDS. To był rok 1990. Powstawał wtedy w Polsce pierwszy po wojnie oddział klubu Soroptimist International, odpowiednik męskiego klubu Lion's, do którego trzeba być zaproszonym. Mnie zaproszono dlatego, że zajmowałam się profilaktyką AIDS i byłam w tym naprawdę dobra. Parę lat później nasze siostry z Japonii zaprosiły nas do siebie. Tam spotkałam, cudem – tak można by było powiedzieć – swojego nauczyciela. I pół roku później pojechałam tam na pierwszą poważną praktykę klasztorną. W męskim klasztorze. Ciężko było. Podczas dwudniowych sessin wstawało się o 3.00 w nocy, a kładło się spać o 23.00. Były dwie przerwy, jedna ośmiominutowa. Poza tym cały czas medytacje. Zarówno medytacje,

śpiewy, jak i jedzenie – wszystko odbywało się na podłodze, więc dla człowieka, który nie jest przyzwyczajony do siedzenia – koszmar bólu. Potem, kiedy już się przyzwyczaiłam, zdarzały się takie sessin, podczas których miałam wrażenie, że między pierwszym a ostatnim dzwonkiem minęła sekunda. Ciało się przyzwyczaiło, umysł był bardziej pusty i nie buntował się, więc było już zupełnie inaczej. Jeździłam tam wiele razy i bardzo miło to wspominam. Szczególnie lato, porę deszczową, kiedy były takie straszne ulewy, że z nieba lały się strumienie wody. To była taka ożywcza energia, taka czysta, mocna, po prostu fantastyczna. Zawsze mi się oczy śmieją, gdy tylko sobie to przypomnę. No i wspaniały nauczyciel, którego spotykaliśmy właściwie tylko na dokusanach. Od czasu do czasu podróżowaliśmy. Zwiedziliśmy również Chiny, bo jeździliśmy tam z pielgrzymkami, do starych chińskich klasztorów, do starych mistrzów, tych o których się czyta w naszych książkach, których koany rozwiązujemy.

Enso –  
symbol zen  
kaligrafia  
Kanjuro Shibaty



### bodhisattwa

Istota, która osiągnęła oświecenie, lecz zrezygnowała z osiągnięcia ostatecznego stanu Buddy i poświęciła się innym istotom, aby wyzwolić je z cierpienia.

### Dharma

Jeden z podstawowych terminów buddyjskich; ogólnie odnosi się do „zjawiska”, a wszystkie zjawiska podlegają prawu przyczyny i skutku. Dharma oznacza także najwyższą prawdę, prawo, nauki Buddy, doktrynę buddyjską.

**AK:** Czy istnieje jakaś kobieca ścieżka w zen? Mężczyźni, gdy czują powołanie, po prostu idą za tym, bez względu na cokolwiek. A kobieta?

Jak widzisz, ja też poszłam. W czasach, gdy odkryłam zen, sama wychowywałam dzieci. Musiałam ustawić życie w taki sposób, żebym mogła praktykować. I zawsze znalazł się ktoś, kto mógł zostać z moimi dziećmi, gdy ja jechałam na sessin. Praktykowałam od 6.00 rano do 7.00, potem biegłam do sklepu, robiłam zakupy, śniadanie, następnie szłam do pracy. A wieczorem znów siadałam na pół godziny do medytacji. I tak to się toczyło.

Życie nie przyjmuje praktyki, ale praktyka przyjmuje życie. Kiedy postawisz praktykę na pierwszym miejscu i wpleciesz w nią całe życie, wszystko gra. Nie ma żadnych przeszkód. Lecz jeśli postawisz na czele życie, a potem praktykę, nie zajdziesz daleko. Dopiero kiedy ustalisz priorytety – praktykując odtąd dotąd, wtedy a wtedy siedzę w medytacji, a wszystko inne robię w przerwach między medytacjami – okazuje się, że masz nagle mnóstwo czasu. Możesz cały świat przenieść na swoich rękach. Masz energię, masz czas, masz siłę.

A czy jest różnica między kobiecą a męską ścieżką...? Przekraczasz to w praktyce. Przestajesz patrzeć na siebie jak



na kobietę czy jak na mężczyznę. Przekraczasz to w momencie, w którym schodzisz głębiej, w którym dotykasz swojej prawdziwej tożsamości. Z drugiej strony mam świadomość bycia kobietą. Lubię być kobietą, używać rozmaitych kobiecych akcesoriów. Gdybyś się mnie zapytała, czy chciałabym stać się mężczyzną, odpowiedziałabym, że nie.

**EB:** Czy są kobiece klasztory zen?

W czasie, gdy praktykowałam zen w Japonii, takich klasztorów z tradycji Rinzai nie było. Mój roshi mówił, że nie ma ani jednej oświeconej Japonki,

która mogłaby taki klasztor prowadzić. Generalnie życie kobiet japońskich a polskich to są dwie zupełnie różne bajki. One tam żyją na drugim planie.

To à propos feminizmu, od którego zaczęłyśmy. Tam, w Japonii, można by było intensywnie popracować nad feminizmem.

**EB:** Rinzai i Soto to dwie największe szkoły zen. Jakie są różnice między nimi?

Soto jest ścieżką powolną, jest wyciszona, nie ma tam praktyki z koanami. Natomiast Rinzai jest bardziej energiczne, mocne, ostre i dynamiczne. Jest ścież-

ką szybszą, prędzej dochodzi się do wglądu. Potem jednak trzeba nad nim pracować i szlifować. W Soto bardzo wolno chodzi się w kinhin, a w Rinzai

szybko, nawet się biega. Niemniej na końcu zawsze spotykamy się w tym samym miejscu, chociaż same ścieżki się różnią.

**EB:** Praktykę Soto porównuje się do dojrzewania śliwki na drzewie. Aż sama spadnie.

Tak, w Soto do wglądu dochodzi się później, ale jest on szerszy. W Rinzai zen natomiast pracujemy z koanami. Bardzo ważny jest pierwszy wgląd. Zmienia on bowiem całą naszą świadomość, świadomość bycia i życia. Wgląd to pewna mądrość, z niej rodzi się współodczuwanie. Po pierwszym wglądzie zaczynamy w tym współodczuwaniu istnieć.

## Doksan Project

\* \* \*

Celem **Doksan Project**, stworzonego przez roshi Marię Reiko, jest „stworzenie przestrzeni sprzyjającej rozwojowi człowieka w oparciu o tradycję zen”. Aby być uczestnikiem DOKSAN Project nie trzeba być buddystką\_tą, nie trzeba być członkinią\_em sangi zen, wystarczy chęć rozwoju i poprawy jakości swojego życia.



Enso – symbol zen  
kaligrafia autorstwa Hakuina

**EB:** Rinzai zatem wydaje się być idealny dla niecierpliwych Europejsek\_czyków. Daje natychmiastowe efekty.

Zaskoczę cię – znacznie więcej ludzi praktykuje Soto zen niż Rinzai. Rinzai jest niezwykle wymagające. To maksymalny wysiłek. Nikt się z nikim nie patyczkuje. Wszystko ma być pod linijkę, krótko trzymane. Tymczasem Soto jest dużo łagodniejsze, delikatniejsze, nikt cię nie popędza. Dogen, założyciel szkoły Soto, powiedział taką piękną rzecz: „Zwracam się do początkujących, a za początkujących uważam wszystkich, którzy praktykują krócej niż 20 lat”.

W Rinzai praktyka odbywa się, można rzec, po samurajsku. Rinzai to samurajski zen z pamięcią o tym ...że nie ma nic do zdobywania (śmiech). Dogen, gdy wrócił z Chin, gdzie doświadczył pełnego oświecenia, oznajmił: „Wracam do domu z pustymi rękami. Wiem tylko, że moje oczy są poziome, a nos pionowy”.

**EB:** Czy w zen takie pojęcia, jak reinkarnacja czy prawo karmy, są istotne? Czy też nie ma to większego znaczenia?

Sam Budda mało mówił o karmie. Intrygowało go przede wszystkim to, jak pozbyć się cierpienia. Ale mnie lepiej nie pytaj, jak to jest!

**EB:** Mówi się także, że zen jest swoistym ateizmem wśród religii. Nie ma Boga. Nie ma nic.

Nie ma Boga, nie ma modlitw. Zostajesz sama. Tak naprawdę nie masz żadnego wsparcia. Nie masz tu żadnej istoty, która jest nad tobą, która zrobi coś za ciebie. Jesteś sama, ty i twoja praktyka. Aczkolwiek jest jedna modlitwa. Do Kanzeon, żeńskiej formy bodhisatwy

współczucia. Powiedzmy, takiej siły wyższej. Mówi się o Kanzeon, że słucha dźwięków świata. Ktokolwiek, kto ma wielką potrzebę uczynienia czegoś, a poprosi Kanzeon, otrzyma to. Można się do niej udać po pomoc w dotarciu do oświecenia, ale po wglądzie... O! To

już zupełnie inna sprawa. Jeżeli jednak jesteś zaangażowana w inne ścieżki duchowe czy religijne, masz Boga, siły wyższe, świętych. Do nich modlisz się. Oni za ciebie coś robią. Masz moce, od których zależy, bez łaski których nic nie może się wydarzyć.

**EB:** Są pewne podobieństwa między zen a doświadczeniami niektórych katolickich świętych, a także takich mistrzów duchowych jak mistrz Eckhart.

Musisz wziąć pod uwagę, że mistrz Eckhart i jego pouczenia czy tezy zostały potępione przez papieża. Nawet obecnie status Eckharta jest niejasny. Trzeba na to zwrócić szczególną uwagę. Jednak wielu mistyków katolickich przekroczyło granice swojej religii. Tak było z mistrzem Eckhartem, Janem od Krzyża, Katarzyną Sieneńską czy Teresą z Avila.

#### Doksan Project skierowany jest do osób zainteresowanych:

- poprawą samopoczucia psychicznego
- poprawą samopoczucia fizycznego
- zbudowaniem poczucia własnej

#### wartości

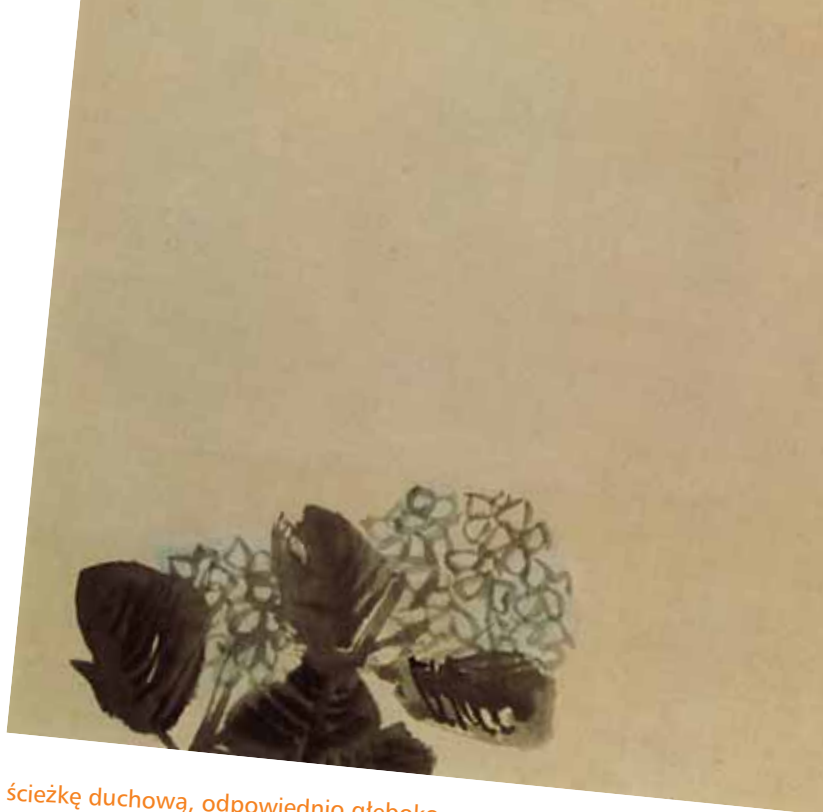
- głębszym poznaniem siebie
- głębszym poznaniem świata
- zrozumieniem relacji między ludzkich
- uporządkowaniem swoich relacji z innymi

- uzyskaniem pozytywnego dystansu do codziennego życia
- wyciszeniem się
- praktyką zen w sposób nieformalny
- praktyką zen w sposób formalny (w tradycji rinzai)



**AK:** Nie da się połączyć katolicyzmu i zen?

Według mnie nie. Powiem bardzo ważną rzecz. Być może najważniejszą w tym wywiadzie. Żeby dotrzeć do swojej prawdziwej tożsamości, o czym zresztą mówią także święci katolicy, trzeba się ogołocić ze wszystkiego. Z religii i ze wszystkich wyobrażeń o Bogu też. Trzeba być kompletnie czystym. Mieć pusty umysł, do niczego nieprzywiązany. Dopiero wtedy ujawnia się twoja prawdziwa tożsamość.



**AK:** Czy praktykując jakąkolwiek ścieżkę duchową, odpowiednio głęboko, dojdziemy do tego samego miejsca, do której dochodzimy w zenie?

Jeżeli będziesz szła ścieżką mistyczną, prawdopodobnie tak. W hinduizmie czy w katolicyzmie istnieje kilka tekstów napisanych w duchu zen, jak pisma wspomnianego mistrza Eckharta czy Jana od Krzyża. Niemniej jednak tylko mistyczna ścieżka może poprowadzić do oświecenia, a nie zwyczajowe, tradycyjne bycie religijną osobą. Wyłącznie mistyka może doprowadzić do sytuacji, którą my tutaj nazywamy ogołoceniem, a w zenie pustym umysłem. Nasze czasy to czasy, w których ludzkość coraz intensywniej poszukuje głębokiej duchowości. Mocno wierzę, że ludzkość rozwine swój duchowy zmysł. Ludzie

zaczynają otwierać swoje serca i umysły. A to otwarcie może doprowadzić do odkrycia prawdziwej tożsamości. Dzięki temu znikną wszelkie podziały – religijne czy płciowe. I naprawdę staniemy się jednością. Zauważcie, że coraz więcej ludzi ma potrzebę czegoś, co można by nazwać oświeceniem. Potrzebę owego ogołocenia się, dotarcia do prawdziwego ja. W różnych ścieżkach, w różnych religiach ludzie poszukują, pragną więcej. To jest bardzo ważny moment dla nas wszystkich – z człowieka homo sapiens mamy szansę przestoczyć się w człowieka świadomego. Świadomego tego, czym naprawdę jest

człowiek. Czym jest każdy człowiek na świecie. Dotarcie do naszej prawdziwej tożsamości poza religiami będzie ukończeniem rozwoju ludzkości. Zen, powiedziałaś, jest ateistyczny. Owszem, lecz przede wszystkim zen jest przekraczający. Uważam nawet, że i sam zen należy przekroczyć. Jeżeli mnie teraz zapytasz, czy jestem zenistką, odpowiem – ani jestem, ani nie jestem. Jeżeli mówię o swoim wglądzie, to mówię o wglądzie człowieka, istoty ludzkiej. Ścieżki duchowe mogą być różne, ale muszą być bardzo mocne, bardzo głębokie, i docierające właśnie do prawdziwej tożsamości.

**AK:** Każda\_y, kto kroczy duchową ścieżką, wie, jak ważne\_i są nauczycielki\_e. Co może Pani powiedzieć o swoich mistrzyniach\_ach duchowych?

Nauczyciela zawsze się szuka sercem. Nie głową, nie rozumem, a sercem. Jeżeli spotka się taką osobę, do której się czuje zaufanie, o której się wie, że może doprowadzić do oświecenia, wtedy należy wbić się w nią zębami i pazurami i nie dać się odrzucić. Ponieważ trudno taką osobę znaleźć. Jeżeli w naszym wy-

borze powodujemy się wygodą, bo na przykład mistrz mieszka blisko nas, nie będziemy w zgodzie ze sobą. To, co się wydarza między nauczycielem a uczniem w trakcie praktyki, specyficzny związek, który się tworzy, jest czymś niepowtarzalnym. Nie ma takiej drugiej sytuacji, która mogłaby w jakikolwiek sposób na-

śladować tę relację. Nauczyciel schodzi wraz z uczniem w głąb, do samego dna i na sam szczyt. Funkcja nauczyciela nie polega jednak na wepchnięciu ucznia na szczyt. Nauczyciel inspiruje, pokazuje, którądy iść. Towarzyszy nam, jest z nami, lecz nie robi niczego za nas. Głęboki pokłon dla nauczycieli... wszystkich.

**EB:** Czy praktyka zen może być pomocna w życiu codziennym? Wydaje się, że takie jakości, jak zwiększenie koncentracji, wyciszenie, przenoszą się na inne dziedziny naszego życia.

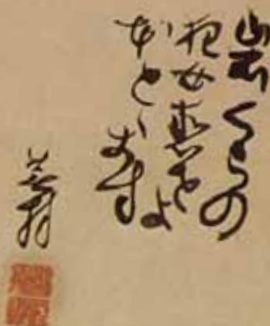
Każdy praktykuje na swój sposób. Jedni robią to bardzo dokładnie i głęboko, a inni nie. Z tym jest bardzo różnie. To, że ktoś praktykuje zen, nie znaczy że jest mistrzem we wszystkim, co robi.

Jednak jakość życia powinna

się polepszyć chociażby z tego powodu, że zwiększają się koncentracja i uważność. Zmienia się też widzenie centrum życiowego. Osiąga się pewną mądrość przez wgląd, a z tej mądrości rodzi się współodczuwanie, to

też zmienia życie. Inaczej się patrzy na świat, inaczej się widzi świat, inna jest świadomość świata i siebie, relacji świat – ja. Zen zwiększa koncentrację uwagi, a jednocześnie pozwala, by umysł był pusty, oczyszczony.





Yosa Buson  
Mała kukułka nad hortensjami

**EB:** Nie wchodząc w samo sedno czyli w sprawę oświecenia, techniki wyciszenia i koncentracji, które daje zen, już samo to, można by niczym kaganek oświaty zanieść ludzkości, aby polepszyła się jej jakość życia.

Oczywiście, że tak. Budda przecież nauczał, jak się pozbyć swojego cierpienia. Nauczał oczyszczania umysłu, bycia tu i teraz, po to właśnie, żeby nie tworzyć cierpienia. Wielka szkoda, że nie naucza się w szkołach prawa przyczyny i skutku. To prawo buddyjskie, ale jednocześnie uniwersalne. Bowiemy każdy skutek ma swoją przyczynę. Nie informujemy dzieci o tym fakcie. One same dochodzą w pewnym momencie do tego, że coś przynosi stosowny skutek. Ludzie robią złe rzeczy, nie zdając sobie sprawy ze skutków. A tymczasem to właśnie powinno być podstawą nauki od najmłodszych lat. A także wszelkie dostępne techniki wzmacniania koncentracji, uważności, oczyszczania umysłu. Nawet prosty trening autogenny powoduje, że jesteś odprężona i rozluźniona, a twój umysł odpoczywa.

**EB:** Jak sobie radzić w życiu codziennym, w domu, w pracy będąc osobą praktykującą, która nie ma ochoty kłamać, udawać, plotkować, która nie wchodzi w układy?

To zależy tylko i wyłącznie od człowieka. Od naszego głębokiego ja. Od tego, co jest dla nas ważne, i jakie podejmujemy wybory. Wyznawana religia nie ma tutaj znaczenia. To, czy się ktoś dobrze czuje w miejscu, w którym się kłamie, w którym obowiązują jakieś specjalne nakazy i zakazy czy odbywają się manipulacje, jest zależne od człowieka, a nie od wyznawanej religii.

**AK:** Czy wierzy Pani w duchy?

Nie. Lecz w Japonii mamy święto Obon, podczas którego duchy przodków przychodzą w odwiedziny do swoich rodzin i spędzają ten czas z najbliższymi. Jednak mój brak wiary w duchy to wyłącznie mój pogląd. Chcę to podkreślić wyraźnie. Znam ludzi, którzy będą się zaklinali, że duchy są. Nadmienię jednak, że wszelkie nasze wyobrażenia służą naszemu

ego. Trzeba sobie zdać sprawę z naszych wyobrażeń, że to nasz wymysł, że to coś, czego potrzebuje nasze ego. Dla własnego bezpieczeństwa, do tego, żeby sobie zbudować niezdoły zamek, do obrony przed atakiem z zewnątrz. To my budujemy w sobie wszystkie te rzeczy, budujemy wyobrażenia. Tymczasem te cegiełki są nic niewarte. Oddzielają nas tylko od całości,

od jedności. Stawiają mur między nami a jednością. Temu też służą religie. Mój Bóg jest najlepszy! Tyle mi daje! Niebo daje, życie wieczne daje.

A tymczasem... mistrz Mumon napisał: „Wiosenne kwiaty. Jesienny księżyc. Letnie bryzy. Zimowy śnieg. Jeśli bezużyteczne sprawy nie zaśmiejają twojego umysłu, masz najlepsze dni swojego życia”<sup>1</sup>.

**EB, AK:** Dziękujemy za rozmowę.

1. Wiersz Mumona do koanu 19, „Zwykły umysł jest drogą”, *Mumonkan*.



wywiad z Maxine Sanders

# Królowa Czarownic \*\*

rozmawiała:  
Enenna

Jesteś najbardziej rozpoznawalną członkinią tradycji aleksandryjskiej.  
W niedawno wydanej autobiografii patrzysz wstecz na swą wiccańską drogę. Czy była szczęśliwa?\*

Może dlatego, że moją naturę pobłogosławił optymizm, a gen szczęścia sprawia, że niedola jest tylko krótkim epizodem. W moim życiu

było wiele szczęśliwych zdarzeń, a ponieważ głównymi celami podróży życia były inicjacja i czarostwo, myślę, że moja podróż należała do

pomyślnych, skoro miałam tyle magicznych i niespodziewanych doświadczeń.

\* Nie wszystkie poglądy wyrażone w wywiadzie zgadzają się z podejściem, jakie prezentuje kolektyw redakcyjny „Trzech Kolorów”.

## Maxine Sanders

\*\* \*\*

(ur. 1948 Arline Maxine Morris) jest wiccańską arcykapłanką, która wraz ze swym mężem Alexem Sandersem przyczyniła się do powstania tradycji aleksandryjskiej.

Matkę Maxine fascynował okultyzm, w związku z czym dom Morrisów często odwiedzały osoby podzielające jej zainteresowania. Jednym z nich był charyzmatyczny Alex Sanders. Maxine zobaczyła go po raz pierwszy jako mała dziewczynka. W roku 1964, jako szesnastoletnia uczennica szkoły dla sekretarek, została inicjowana do kowenu prowadzonego przez Alexa. W tym samym roku odbyło się ich handfasting.

W styczniu 1966 roku w tabloidzie „The Comet” pojawił się artykuł o czarownicach, który ilustrowały fotografie członków kowenu Alexa, w tym młodziutkiej Maxine. Od tamtej pory Alex i Maxine stały się najbardziej rozpoznawalnymi czarownicami w Wielkiej Brytanii. Maxine stale prześladowały ją paparazzi, zaczęła też być szykanowana przez sąsiadów, które rzy obrzucały ją kamieniami i podpalały jej dom. Niedługo po tych dramatycznych wydarzeniach jej matka zmarła. Z uwagi na niezwykle trudną sytuację finansową Maxine była zmuszona porzucić dalszą naukę. W roku 1967 wzięła z Alexem ślub cywilny. Wkrótce potem Sandersowie zamieszkały w Notting Hill Gate w Londynie. W tym samym roku urodziła się ich córka Maya, a w roku 1972 przyszedł na świat syn Victor. Mniej więcej w tym czasie rozpadło się ich małżeństwo.

W późnych latach 60. i na początku lat 70. mieszkanie Sandersów stało się jednym z centrów spotkań londyńskiej bohemy. Sandersowie nie tylko prowadzili tam swój kowen, ale byli też regularnymi bohaterami prasy oraz filmów. W 1970 roku ujrzał światło dzienne zapis inicjacji Janet Owen, która po zamążpójściu przyjęła nazwisko Farrar, zatytułowany „A Witch is Born” (Narodziny czarownicy). W tym samym roku kowen Sandersów przedstawiono się w kontrowersyjnym dokumencie „Legend of the Witches” (Legenda czarownic) i w filmie „Witchcraft '70” (Czarostwo '70). W roku 1971 Alex i Maxine wystąpili w filmie „Secret Rites”. Dwa lata wcześniej wydana została biografia Alexa autorstwa June Johns *King of the Witches* (Król czarownic). W latach 1976 i 1977 pojawiły się na rynku dwie książki poświęcone Maxine: jej autobiografia *Maxine: The Witch Queen* (Maxine. Królowa czarownic) oraz biografia *The Ecstatic Mother* (Ekstazy matki) Richarda Deutchy. W roku 2007 Maxine napisała kolejną autobiografię zatytułowaną *Firechild* (Dziecko ognia).

Po rozstaniu z Alexem Maxine wraz z kolejnymi arcykapłanami nadal prowadziła w Londynie swój kowen. Po 35 latach spędzonych w mieszkaniu w Notting Hill Gate zdecydowała się przeprowadzić na wieś.

Aktualnie Maxine nie ma uczniów, ponieważ wychodzi z założenia, że obecnie to zadanie należy do nowych pokoleń arcykapłanek i arcykapłanów. Chętnie jednak pozostaje w kontakcie z młodymi czarownicami i dzieli się z nimi doświadczeniem, zdobytym podczas wielu lat poświęconych służbie bogom wicca.

za: <http://dzikigon.pl/wspolczesne-czarownictwo/biografie-slynych-czarownikow-i-czarownic/maxine-sanders/>



### Co to znaczy być Królową Czarownic?

Królowa Czarownic powinna być młoda i piękna; z jej macierzystego kowenu wyrosły trzy pełne koweny. Młodość i piękno są konieczne, ponieważ Królowa Czarownic reprezentuje Boginię, m.in. rozsądzając kłótnie wewnątrz kowenu. Jest przedstawicielką czarostwa, kiedy rozmawia z nieinicjowanymi, takimi jak media. W ostatnich czasach kojarzono czarostwo ze złem i brzydotą. Mądrze jest przedstawiać urodę możliwą do przyjęcia tym, które\_rzy wykazują się ignorancją i pewnymi uprzedzeniami. Wydaje się, że dzisiaj ten ceremonialny tytuł mylnie bierze się za prawo. Wyższe stopnie nie dają kapłance prawa do rangi Królowej Czarownic. Królowa Czarownic i Magus to rytualne tytuły, używane dla podkreślenia mocy uzyskanej w inicjacji wyższego stopnia. Doprawdy, jest bardzo niewiele prawdziwych Królowych Czarownic, a wiele z tych, które zatrzymują tytuł, kiedy młodość minęła, przez swój brak pokory wprowadzają w czarostwo stagnację.

### Czy w czarostwie istnieje centralny autorytet?

Nie, każdy kowen jest wolny i niezależny. Kiedy kapłan czy kapłanka opuszczają swój macierzysty kowen, by założyć własną grupę, zwykle otrzymują wsparcie przez pierwszy rok; lecz tylko wtedy, kiedy o to proszą. Macierzysty kowen nie ma nad nimi władzy. Dzięki doświadczeniu i refleksji uczymy się dobrze szkolić nasze\_ych kapłanów i kapłanki. Uważamy, żeby nie dawać wyższych stopni zbyt wcześnie czy zbyt często; nie wszystkie\_ cy adeptki\_ ci będą dobrymi arcykapłankami\_nami czy nauczycielkami\_ami. Przeciwnie, wielu\_ u jest zadowolonych z praktykowania czarostwa bez odpowiedzialności, jaką przynoszą wyższe stopnie. Dobry uczeń zawsze stawia pytania, a dobry kowen postara się dostarczyć odpowiedzi nawet tak zwanym kowenom-renegatom; lepszy jest dobry kowen niż kowen bez wystarczającej wiedzy.



Stałaś się ikoną czarostwa. Wczesnym artykułom o czarostwie nieodmiennie towarzyszą twoje fotografie: eteryczna blond piękność, otoczona przez okultystyczne parafernalia. To z pewnością pomogło zwrócić uwagę publiczną na fakt, że czarostwo istnieje. Jak ważne jest, żeby w kręgu były młode i piękne kobiety?

Każdy kowen jest inny. Mówi się, że czarownice w naszym kowenie w latach 60. i 70. były piękne. Myślę, że wrażenie piękna pochodziło z pracy i skupienia w kręgu. Pytasz, jak ważne jest, żeby w kręgu były młode piękne kobiety. Adeptka\_adept widzi Boga w każdym kapłanie i Boginię w każdej kapłance, bez względu na wiek czy wygląd.





źródło: [http://epowpow.blogspot.com/2010\\_04\\_01\\_archive.html](http://epowpow.blogspot.com/2010_04_01_archive.html)

s\*t\*o\*w\*o



*Jak przez lata zmieniła się  
rola kobiet w wicca?*

W latach 60. wiele czarownic, które nas odwiedzało, oczekiwało, że arcykapłanka będzie dominującą siłą w kręgu. Uważaliśmy, że arcykapłan i kapłanka działają wspólnie i dlatego mają równą władzę, chociaż nie zawsze mieli tę samą wiedzę czy zrozumienie magicznej pracy w kręgu czarostwa. Uważam, że dzisiaj wielu jest inicjowanych, a niewielu ma prawdziwe zdolności. Dzieje się tak z powodu popularności czarostwa, które rosło zbyt szybko, co utrudniło dobre szkolenie kapłaństwa. Jasne też, że niewiele\_u ma powołanie do uczenia dyscypliny potrzebnej do praktykowania czarostwa i radzenia sobie z obowiązkami wiccańskiego arcykapłaństwa.

*Jak czarostwo ma się do feminizmu?  
Jaka jest różnica między duchowością  
boginiyczną i wicca?*

Feminizm w rzeczywistości nie jest aspektem czarostwa, chociaż uważa się je za matriarchalny kult, w którym oddaje się szczególną cześć Matce. Mężczyzn i kobiety w wicca uważa się za równe\_ych pod względem indywidualnej siły, która współgra ze sobą. Duchowość jest duchowa bez względu na to, czy ma związek z Bogiem czy Boginią. Wicca jest kultem płodności. Czczymy zarówno łagodnego Boga, jak i Potężną Boginię – i odwrotnie.

*Jak zmieniło się twoje spojrzenie na czarostwo?*

Nie jestem pewna, jak na to odpowiedzieć: w osoby praktykujące inne tradycje były zmuszone zmienić metody prowadzenia swoich kowenów, ponieważ nie słyszano o kowenach szkoleniowych, zanim nie pojawiła się tradycja aleksandryjska. Alex i ja

koncentrowaliśmy\_liśmy się na tym, żeby uczennice\_niowie rozumiały\_eli, jak działa magia, zamiast na władzy arcykapłanki, na co uskarżały\_li się powszechnie osoby inicjowane do czarostwa przed aleksandryzmem.

Jestem podejrzliwa w stosunku

wielu dzisiejszych kowenów, zwłaszcza, kiedy słyszę o jakiejś nowej regule. Wiele z tych reguł wymyślono bez powodu, tylko po to, żeby karmić ego. Uczę swoje\_ich uczennice\_niów kwestionować powody stojące za jakimś działaniem.



Wicca przyciąga wiele\_u młodych ludzi.  
Co wicca ma do zaoferowania starszym

Zawsze pytamy osobę, która pragnie inicjacji do wiccańskiego kowenu: „Co możesz dać czarostwu?” Mam to szczęście, że zestarzałam się w magicznym kręgu czarownic; nie ma już dzikich tańców, a zimne przesilenie zimowe oznacza skuteczne czary pod księżycem i porządne zimowe szaty. Starsze\_si oferują swoje doświadczenie, jeśli nie zawsze mądrość. Dzisiaj wicca wciąż daje dreszcz odkrycia, kiedy czar, nad którym pracowałam przez lata, nagle nabiera sensu i spełnia się. Wiem, że krąg magii nigdy się nie kończy; cykl życia jest wewnątrz, a wszystko obejmuje magia kręgu.

W Firechild (Dziecku ognia) wspominasz historię o osobie niepełnosprawnej, którą inicjowałaś. Jakie masz zdanie o inicjowaniu ludzi z niepełnosprawnością?

To trudne pytanie, które wywołuje skrajne opinie i wciąż nie jestem pewna odpowiedzi. Inicjowałam niepełnosprawne\_ych; kilku z nich stało się wspaniałymi nauczycielkami\_ami i praktyczkami\_kami czarostwa, większość z nich to osoby z lekką niepełnosprawnością. Inne\_i stały\_li się zgorzkniałe\_li i rozżalone\_eni przez swój brak mobilności w pracy nad niektórymi rodzajami magii. Często jednak jest sposób, by obejść niepełnosprawność, a większość uznaje, że radzenie sobie z niepełnosprawnością i zrozumienie mocy kręgu stoją w sprzeczności. Zawsze trudno odmówić inicjacji z powodu niepełnosprawności. Po kilku błędach mój kowen zawsze stosuje rytuał prośby o pozwolenie ze strony Bogini.



źródło: [http://www.foreverandaday.biz/images/Bios/ASanders/MaxineSanders\\_late60s.jpg](http://www.foreverandaday.biz/images/Bios/ASanders/MaxineSanders_late60s.jpg)

Według twojego doświadczenia, jaki typ ludzi przyciąga wicca?

Czarostwo przyciąga wszystkie typy ludzi; nie wszystkie\_cy są odpowiednie\_i. To smutne, ale wiele osób bez prawdziwego powołania było i wciąż jest dopuszczanych do inicja-

cji w czarostwo. Wydaje mi się, że zasada nienawracania została zastąpiona przez ambicję posiadania dużego kowenu. Odkryłam, że kiedy kapłaństwo bierze odpowiedzialność za własne

działania i dobro czarostwa i jego świętych rytuałów, wtedy jeśli kowen ma „magię” i będzie działać jak magnes, przyciągając te\_tych, które\_rzy są odpowiednie do inicjacji do czarostwa.



### Czy wicca daje pocieszenie w trudnych chwilach?

Nie, adepthka\_adept przez sam akt inicjacji prosi o doświadczenie na wszystkich poziomach. Smutek, rozczarowanie, porażka; tak zwane trudne chwile są najcenniejszymi impulsami do spełnienia. To spełnienie daleko przewyższa trudności ciężkich chwil. Kiedy ciemna noc duszy wreszcie naprawdę nadchodzi, przynosi ze sobą potężne objawienie.

Niektórzy uważają, że religie istnieją po to, by zniweczyć strach przed śmiercią. Czy tak jest z wiccami?

Śmierć i jej wszystkie tajemne aspekty celebrowane są w rocznym kręgu rytuałów czarostwa, jednakże niekoniecznie odbiera to strach przed doświadczeniem czegoś tak dla nas nowego w tym życiu.

### Jakie są wiccańskie zwyczaje pogrzebowe?

Ponieważ czarostwo jest kultem płodności, koncentrujemy się przede wszystkim na sile życiowej; śmierć traktowana jest praktycznie i z szacunkiem, jednak nie rozwodzimy się nad fizycznymi aspektami śmierci. Nasze rytuały i nauki skłaniają się ku odrodzeniu i cudowi inicjacji we wszystkich jej formach. W odpowiednim czasie po śmierci, czarownice odprawiają wewnętrzny rytuał, zwany „Rytuałem odesłania”, podczas którego przecinamy srebrny sznur. Rytuał ma na celu dodać odwagi i otuchy zmarłej\_mu, aby dalej

podjęła\_jął podróż do swego obecnego wymiaru i nie została\_ał uwięziona\_y w tym fizycznym świecie ani przez niego. Ich dusza jest rytualnie chroniona przed tymi, którzy chcieliby go przywołać z powrotem i tak zahamować postępy tej\_go, która\_y odeszła\_odszedł.

Zewnętrzny rytuał pogrzebowy ma na celu pocieszenie tych, które\_rzy zostały\_li. Pomaga im świadomie skierować naturalny żal, by płynął ku radosnym wspomnieniom, podczas gdy odprawiamy ostatnie pozdrowienie i pożegnanie.

Raz odprawiłam wiccański pogrzeb dla śpiewaczki, Bertice Reading. Krematorium pełne było ludzi ze świata show businessu i amerykańskich chrześcijanek\_an oraz wiernych Kościoła ewangelickiego; rytuał ogromnie im się spodobał. Przedsiębiorcy pogrzebowi dzwonili potem miesiącami, ku mojemu przerażeniu prosząc mnie o odprawienie pogrzebów. Niezmiernie podobała im się muzyka, uczucie, śmiech, godność, bezpośredniość rytuału i całkowity brak świętoszkowatej pobożności, która często wiąże się z pogrzebami.

# HEKATE

## ŚWIATŁO

tekst:  
Agnieszka Kraska

## W CIEMNOŚCI



Richard Cosway  
*Trójpostaciowa Hekate*  
rysunek tuszem



W starożytnej Grecji w czasie nowiu nie obchodzono żadnych świąt. Trzy dni ciemnego księżyca Grecy spędzali w domach, trzęsąc się ze strachu przed tabunami nieczystych dusz nadciągających z cmentarzy. Nasłuchiwali wycia wilków i psów, które nieomylnie wskazywało na to, że w pobliżu przebywa królowa duchów, bogini czarów i czarownic, mroczna Hekate. Kogo i czego tak naprawdę bali się Grecy?

### Starej Bogini?

Hekate to bogini, którą znamy z mitologii greckiej, choć wszystkie znaki na niebie i pod ziemią wskazują na to, że jest boginią o wiele starszą, zaimportowaną do Grecji z Azji lub Egiptu. Jej pochodzenie (była córką Tytanów) świadczy o tym, że jest boginią preolimpijską, a trójgłowe, sześcioręczne przedstawienia przypominają boginie hinduskie. Mnie osobiście Hekate kojarzy się z boginią Kamrusepą, której ranga w hetyckiej Anatolii spadła do statusu przebywającej w podziemiach czarownicy, ale która w czasach poprzedzających Hetytów była po prostu Wielką Matką. Warto dodać, że nowe i boginie i bogowie anatolijscy zajmowali zazwyczaj pozycje niebiańskie, podczas gdy tzw. „starzy bogowie” schodzili do podziemi. Myślę, że

echa tych wierzeń słycać w mitologii greckiej. Uderzające jest też podobieństwo imion Hekate i egipskiej Heket – bogini-żaby, opiekunki rodzących, związanej z zaświatami i Ozyrysem. Żaba, nieodłączny składnik „zestawu magicznego” wiedźm i czarownic, to prastary symbol magii. Jest związana z deszczem i płodnością Ziemi, które w Egipcie stanowiły o losie ludzi. Heket nocą steruje Łodzią Księżyca, a w ciągu dnia prowadzi ją przez krainę podziemi. Egipskie słowo *hheka* oznacza magię, Heket była więc również boginią-czarownicą. Hekate łączona jest też z bliskowschodnią Lilith.

### Staruchy-Śmierci?

„Relacja Hezjoda o Hekate świadczy o tym, że była ona pierwszą potrójną boginią, najwyższą władczynią nieba, ziemi i Tartaru. Hellenowie podkreślali jednak jej siły niszczycielskie umniejszając moce twórcze i w końcu zwracano się do niej jedynie podczas tajnych obrzędów czarnej magii, szczególnie w miejscach, gdzie spotykają się trzy drogi”<sup>1</sup> – pisze Robert Graves. Według niego Hekate jest też staruchą-zimą, częścią księżycowej triady Selene-Afrodyta-Hekate. Odgrywa bardzo ważną rolę w micie o Kore i Demeter – jest

„była ona pierwszą potrójną boginią, najwyższą władczynią nieba, ziemi i Tartaru”.



świadkinią porwania Kore i przekazuje Demeter informację o tym wydarzeniu, jest więc Widzącą. Towarzyszy Demeter w pertraktacjach z Heliosem i Zeusem, wszystko wskazuje więc na to, że jest Staruchą obok Demeter-Matki i Kore-Dziewicy. Po zawarciu ugody między Demeter i Kore a Hadesem Hekate zostaje towarzyszką i opiekunką dziewczyny w okresie jej przebywania w podziemiach. Kore najczęściej spędza czas właśnie z nią, woli jej towarzystwo od Hadesa, co jest zrozumiałe, kto bowiem nie wolałaby przebywać z ukochaną babunią niż z przemocowym,

dosyć ponurym mężem. „Kora, Persefona i Hekate były oczywiście boginią w trójcy jako dziewczyna, nimfa i starucha w czasach, gdy tylko kobiety trudniły się misteriami rolnictwa.

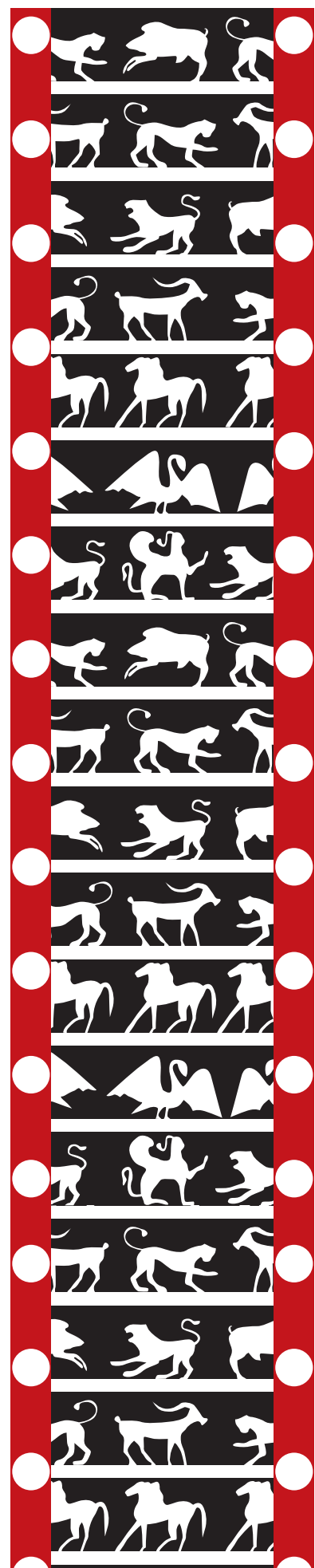
Kora reprezentuje zielone zboże, Persefona dojrzały kłos, a Hekate zboże zebrane – dożywkową kukłę”<sup>2</sup>. Hekate, podobnie jak Hades, mieszka w Tartarze. Klucz, który jest jednym z jej głównych atrybutów, otwiera bramy Hadesu. Pochodnia rozświetla drogę w jego mrocznych korytarzach i tunelach, Hekate jest bowiem przewodniczką umarłych. Jest też opiekunką i właścicielką słynnego Cerbera, strażnika Podziemi. W czasach

1. Robert Graves, *Mity greckie*, tłum. H. Krzeczkowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968, str. 122

2. *Op. cit.*, str. 94

## Przedstawienia Hekate

Przedstawiana była na tronie, w potrójnej postaci, ze sztyletami, biczami i pochodniami w dłoniach. U jej stóp spoczywają dwa zwinięte węże. Istniały też posągi Hekate z głowami psa, konia i kobiety czy też psa, lwa i byka. W późniejszych czasach Potrójna Bogini przybrała postać filara zwanego Hekterion. Taka statua pokazuje ją z trzema głowami i sześcioma ramionami, dzierżącą pochodnię i trzy święte symbole – Klucze, Sznur i Sztylet. Kluczami do podziemia Hekate otwiera sekrety misterii okultystycznych i wiedzy o życiu po życiu. Lina, która jest zarówno biczem, jak i sznurem, symbolizuje pępowinę lub odrodzenie i odnowę. Sztylet przecina iluzje i jest symbolem sprawiedliwego osądu.



helleńskich jej rola zmalała, jednak pierwotnie to ona była królową Krainy Śmierci. Persefona i Hekate reprezentowały przedhelleńskie nadzieje na odrodzenie, Hades natomiast, jako koncepcja helleńska, oznaczał nieuchronną śmierć. Warto dodać, że Hekate była opiekunką kobiet, co może tłumaczyć dualizm światła i ciemności, życia i śmierci, tak, jak macicę i pochwę często utożsamiano z grobem (parafrazując chrześcijańską modlitwę – „z łona powstałaś\_łeś i do łona powrócisz”). Hekate to archetyp naszego własnego cienia. W micie o Demeter widzimy ją jako tę, która pomaga zebrać w całość zgubione części siebie. To także Bogini Oświecenia i Oczyszczenia. To ona przeprowadza inicjację Persefony w misterium Świata Podziemi, sprowadza ją w dół, do własnej podświadomości, prowadzi ją także w drodze powrotnej, do górnego świata i duchowej integracji. W podróży przez ciemność oświetla drogę pochodnią.

#### Przemijania?

Hekate jest też bohaterką innego, interesującego mitu, pochodzącego już z czasów silnego, helleńskiego patriarchy. Występuje w nim jako córka Zeusa i Hery, której kradnie róż do policzków. Uciekając przed gniewem matki, chowa się pod łóżkiem rodzą-

cej kobiety, gdzie zostaje ubrudzona krwią porodową. Żeby ją zmyć, bierze kąpiel w Acheronie (jednej z rzek opływających Hades), porywa ją jednak nurt rzeki. Jest to niezwykle mit inicjacyjny, w którym młoda Hekate kradnie matce atrybuty piękna i kobiecości. Róż jest symbolem krwi menstruacyjnej, a jego kradzież przynosi matce menopauzę. Hera, jako Bogini porządku patriarchalnego, boi się przemijania, nie ma na nie zgody. Wpada w gniew, kiedy córka kradnie jej róż, czyli dostaje pierwszej miesiączki. Tak, jak rodzice Śpiącej Królewnej, nie pozwala dojrzeć córce, gdyż w porządku patriarchalnym oznacza to utratę jej własnej atrakcyjności seksualnej. Hekate nie jest jednak Śpiącą Królową, tylko starą, pełną mocy boginią, dlatego nie zasypia, a dzięki kontaktowi z krwią rodzącej dostaje się do świata Podziemi, poznając tajemnicę życia i śmierci. Jest więc tą, która poprzez własną inicjację w kobiecość przynosi przemijanie i śmierć.

#### Kobiecej seksualności?

Hekate to także matka. Jej dziećmi były Empuzy („wdzierające się siłą”), obleśne demony o oślich zadach. Przybierały postać suk, krów lub pięknych dziewczyc, ponieważ ich matka, suka Hekate, należąc do triady księżycowej, była tą samą boginią, co krowiooka

Ta zaś [Asteria], brzemienna, Hekate zrodziła, którą nad wszystkich uczcił Dzeus, syn Kronosa, i dary przyznał jej świetne: ma bowiem ziemi część, część jałowego morza, ale także część bierze z rozgwieźdzonego nieba; u nieśmiertelnych bogów cieszy się czcią najwyższą, bo i teraz, gdy ktoś z ludzi żyjących na ziemi, piękne ofiary składając – jak każe obyczaj – błaga, to przyzywa Hekate – wielka cześć też mu przypadnie łącno, kiedy bogini modlitw wysłucha życzliwie i dostatku użyczy, ma przecież siłę po temu. (...) a do Hekate się modlą (...), łatwo czigodna bogini przyniesie połów obfity, łatwo też i odbierze już bliski, jeżeli tak zechce; ona ma moc i w stajniach z Hermesem bydło pomnażać, stada wołów, obszerne także dla kóz zagrody, trzody owiec wełnistych, jeżeli w sercu swym zechce, to z niewielu rozmnoży, a wiele znowu umniejszy.

Hezjod, *Teogonia*



## Przydomki i imiona

źródło: [http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Wenceslas\\_Hollar\\_-\\_The\\_Greek\\_gods\\_-\\_Diana.jpg?uselang=pl](http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Wenceslas_Hollar_-_The_Greek_gods_-_Diana.jpg?uselang=pl)

Hera i piękna Afrodyta. W tym ostatnim wcieleniu Empuzy bałamućy młodych mężczyzn – śpiąc z nimi pozbawiały ich wszystkich sił życiowych. W Palestynie Empuzy nazywano Lilim – „dzieci Lilith”, czyli kanaanejskiej Hekate. Córka Hekate była też Skylla (Psia Gwiazda), zamieniona w potwora morskiego przypominającego psa o sześciu głowach i dwunastu łapach. Skylla chwyciła żeglarzy, gruchotała im kości i powoli połykała. Szczekała cicho, wydając odgłos przypominający skomlenie szczenięcia.

Nie mając ani męża, ani żadnego stałego partnera, Hekate wydała na świat niezwykle, dzikie istoty – córki, które stały się wyrazem strachu mężczyzn przed potęgą mocy kobiecej seksualności, tej nieokielznanej, dzikiej, nie podlegającej kontroli.

### Czarownic i magii?

Hekate to pani magii, czarów i czarownic. Zeus zostawił jej nie tylko moc władania ziemią, morzem i niebem, da-

wania i odbierania życia, władania ludzimi losami (mogła odmawiać szczęścia i pomyślności lub je darować), ale też spełniania wszelkich życzeń wypowiedzianych przez człowieka. Według Hezjoda to bogini, do której modlono się najczęściej i która niemalże zawsze wysłuchiwała ludzkich prośb. Zsyłała ludziom bogactwo, siłę i sławę, osłaniała żołnierzy w bitwach i żeglarzy na morzu, czuwała nad sprawiedliwością w sądach i zapewniała zwycięstwo we wszelkich zawodach. Jej kapłanką była słynna czarownica Medea, której rydwan zaprzężony był w węże (stworzenia Podziemi), miał skrzydła, ponieważ Medea, tak jak Hekate, była związana zarówno z Ziemią, jak i z Księżycem. Indyjska bogini ziemi w *Ramajanie* również jeździ w rydwanie zaprzężonym w węże. Od imienia egipskiej Heket – odpowiedniczki Hekate – powstało słowo *hheka* oznaczające magię. Była to siła transformacyjna, którą posługują się bogowie, ale i dostępna ludziom, a uruchomić jej moc można przy pomocy słowa-zaklęcia.

Imię „Hekate” oznacza „Ta, która stoi w oddali”, „Oddalająca”, „W dal godząca”. Nazywano ją też: *Phrattos* (Bezimienna) *Pandeina* (Straszliwa) *Chtonian* (Ziemska/Podziemna Bogini) *Crataeis* (Potężna) *Endoia* (Bogini Dróg) *Antania* (Wrogini Ludzi) *Kurotrophos* (Opiekunka Dzieci i Obrończyni Ludzi) *Artemida na Rozstajach* *Propylaia* (Stojąca przed Bramą) *Propols* (Towarzyszka Przywódczyń) *Phosphoros* (Niosąca Światło) *Soteria* (Zbawicielka) *Prytania* (Niezwyciężona Królowa Śmierci) *Kleidouchos* (Strażniczka Kluczy) *Tricephalus* lub *Triceps* (Trójgłowa) *Triformus* (Trójpostaciowa – tytuł odzwierciedlający trzy fazy Księżyca) *Trioditis* (gr.) *Trivia* (łac.) (Bogini Trzech Dróg)

### Ciemności?

Z drugiej strony Grecy czcili Hekate jako boginię mroku i ciemności. Wierzono, że w nocy pojawia się na rozstajnych drogach w otoczeniu psów i duchów. Przybiera wtedy upiorną postać, w jej włosach wiją się węże, chodzi po grobach i zwiastuje nieszczęście. Stąd też jeden z jej przydomków brzmiał *Antaia* (Spotykająca). Podczas swych nocnych wędrówek Hekate bywała niezwykle niebezpieczna i powszechnie unikano miejsc, w których się pojawiała, gdyż mogła zgubić tych, którzy się na nią natknęli. „Jest to personifikacja księżyca albo zasady żeńskiej w jej aspekcie złowrogim, zsyłającej obłąd, obsesję, lunatyzm”<sup>3</sup>. Tak jak indyjska Kali, Hekate była też boginią pokuty i zemsty za przelaną krew.

### Dzikich zwierząt?

Hekate władała dzikimi zwierzętami. W jej towarzystwie widywano psy, wilki, jelenie, a także węże. Także jej misteria obejmowały często transformację w zwierzę, przypominającą szamańską zmianę kształtów. Podobnie jak sama bogini przybierała formę różnych zwierząt, tak i jej misteria umożliwiały adeptom zmianę i doświadczenie świadomości dzikich bestii, które utożsamiano z Hekate.

Szczególnie mocny jest jej związek z psami. Jej podopieczny – Cerber – jest greckim odpowiednikiem Anubisa, syna libijskiej bogini śmierci Neftys, psiogłowego przewodnika dusz uda-



jących się do świata podziemi. Cerber pierwotnie miał 50 głów, mógł być więc całą sforą, później jednak otrzymał trzy głowy, tak jak jego pani. Kiedy Herakles wywiódł psa z podziemi, ten toczył z pysków pianę, która spadała na żyzną ziemię i wyrósł z niej tojad – śmiertelnie trująca roślina zwana również *hekateis*, ponieważ Hekate pierwsza jej użyła. W folklorze europejskim sfora psów goniła dusze potępione do północnego Piekła. Psy te należały do Annwm, Herna, Artura lub Gabriela. Jest to mit związany z hałaśliwą migracją gęsi, które, jak wiadomo, są ptakami Wielkiej Bogini. Sama Hekate też czasem przybiera postać psa. Jako Bogini Księżycza – biała suka – powiła winną latorośl. Postacią związaną z Hekate jest królowa Troi – Hekabe. Zabrana przez Odyseusza do Grecji ob-

3. J. E. Cirlot, *Słownik symboli*

## Ofiary

Składano jej ofiary z placków, miodu, jajek, ryb, ikry, koziego sera, chleba. Poświęcone jej były też czarne psy, szczeniaki, czarne byki przybrane gałązkami cisu, jałowki. Ofiary z jedzenia składano jej na rozdrożach. Palono także świece i pochodnie.

## Rośliny

Poświęcone jej były czarne topole. Rośliny związane z Hekate to także tojad mocny (zwany mordownikiem), cykuta, cis i leszczyna.



*Hekate z psem*  
przedstawienie łączone z malarzem  
z Kleibolos, waza attycka

źródło: <http://commons.wikimedia.org/wiki/File:T16.5Hekate.jpg?uselang=pl>

lub – jak przystało na Jasnowidzącą – przeszłości, teraźniejszości i przyszłości (trzyma w ręce trzy klucze). Jest więc Wszechwiedząca. Rozstaje dróg wskazują ją jako Boginię wyborów, rozróżniania i „Pokazywania Drogi”. Rozdroża są też miejscem, w którym spotykają się różne wymiary rzeczywistości. Warto zwrócić uwagę, że do dziś na rozstajach dróg ustawiane są kapliczki z posążkami Matki Boskiej, która stoi na wąskim sierpie księżyca, a u jej stóp często pojawia się wąż. Wprawdzie współczesna Matka Maria depta węża stopą, jednak w pierwotnych przedstawieniach był on po prostu jej atrybutem.

rzuciła jego i Greków tak straszliwymi inwektywami, że postanowili ją zabić. Jej duch przybrał postać Majry (jednej ze straszliwych, czarnych suk biegających za Hekate), po czym przepłynął morze. Miejsce, w którym go pochowano, nazywane jest „Grobem Suki”. Majra świeci też na niebie jako Psia Gwiazda. Graves twierdzi, że Homer przypisywał przekleństwom Hekabe rzeczywistą moc sprawczą.

### **Życiowych rozdroży?**

Posągi Hekate Trivia, o trzech obliczach, ustawiano na rozdrożach tak, by każda twarz bogini patrzyła na inną drogę i chroniła podróżnych przed złymi demonami. Była bowiem panią miejsc, w których spotykały się trzy drogi – życia, śmierci i odrodzenia

Hekate rządzi na największych rozstajach życiowych – Narodzinach, Okresie Dojrzewania, Menopauzie, Starości i Śmierci, a także ponownym Odrodzeniu. Manifestuje się wtedy, kiedy najmocniej przejawia się kobieca moc. To czas inicjacji, schodzenia w głąb siebie, spotkania z własnym cieniem. Hekate jest niewątpliwie doskonałą przewodniczką po każdej pracy wewnętrznej. Pokaże nam właściwą drogę do przemiany i transformacji, pomoże odejść przeszłości, zintegrować cień, odzyskać te części siebie, które były długo zapomniane. Poprowadzi przez sny i wizje i zainicjuje do innych wymiarów świadomości. Jako Bogini Podziemi czeka, żeby nam pomagać, kiedy dochodzimy do końca lub doświadczamy straty.

Taka jest Starucha Hekate, która oświecła drogę swoją pochodnią i dzieli się z nami starą, zapomnianą wiedzą.

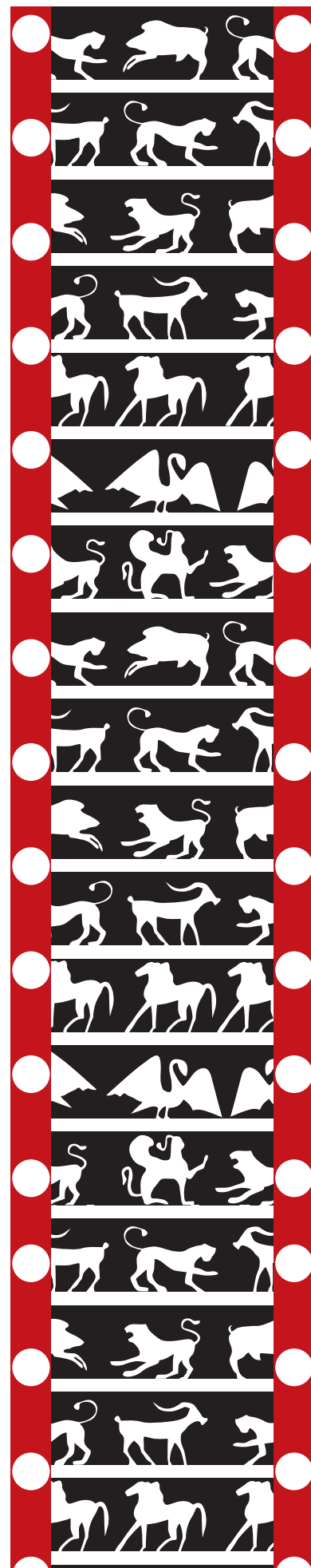
## **Świątynie**

W Milecie (na terenie dzisiejszej Turcji), Argos, Eleuis, Aiginie i Atenach. Główna świątynia: Lagina, miasto w Lakene.

## **Kapłanki**

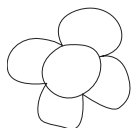
Medea, Kirke, Ifigenia.

bogini





# Śmierć – moje marzenie



tekst: Maria Ela Lewańska, z pomocą Barbary Zakrzewskiej

Śmierć to bardzo szeroki i głęboki temat, i podstawowy, jak samo życie. Są przecież nierozzerwalnie związane – jedno bez drugiego nie może istnieć i jedno drugie uzupełnia – jak w znaku TAO. Miałam więc trudność, aby napisać krótki artykuł. Co wybrać? Otworzyłam się na wewnętrzny proces i zaspały mnie sygnały ze świata. W rozmowie z przyjaciółką Basią dostałam tytuł artykułu i opowieść o osobistych wglądach, brat zwrócił mi dawno pożyczoną książkę o śniącym cielem, moja ręka otworzyła zalegającą w komputerze książkę o tym, co dzieje się z duszą pomiędzy wcieleniami, no i ożyły wspomnienia osobistych doświadczeń.

Gdy moja mama odchodziła, pamiętam jej strach, który widzę teraz nie jako strach przed tym, co tam,

ale jako lęk o tych, którzy zostają, o dzieci – czy poradzą sobie z życiem. Wiem też, że w tej ostatniej podróży była bardzo samotna, a ja pozostałam z wielką niezgodą na taki proces umierania – w bólach, samotności, lęku, na korytarzu szpitalnym – bez uszanowania człowieczeństwa i świętości procesu przechodzenia na drugą stronę. TO NIE JEST W PORZĄDKU. Boli mnie to jeszcze dzisiaj, ale też teraz wiem, że na to, jak wygląda nasze ostatnie Przejście, pracujemy całym swoim życiem. (I nie chodzi mi tutaj o ocenianie, czy ktoś był dobrym człowiekiem, czy czynił tzw. zło.) Czyli, inaczej mówiąc, do śmierci trzeba przygotowywać się całe życie. Basia określiła to pięknie słowami: „Życie to czas dany nam, by przeżyć jak najpiękniej drogę od profanum do sakrum”.

Gdy odchodził mój brat cioteczny, doświadczyłam przekroczenia własnych lęków, związanych z nieporuszeniem tematu śmierci wobec umierającej osoby. I teraz wiem, że w tych ostatnich chwilach życia nie działa nic, co nie jest prawdą, pochodzącą z serca. Poczułam też, jak święty jest to czas dla wszystkich, gdy otwieramy serce, jak bliskie\_cy się sobie stajemy. A gdy otwieramy serca, zapominając trzymać się lęków, przepływa bezwarunkowa miłość, zjawia się promienny spokój, jakbyśmy znaleźli\_eżli się w obecności boskiej najwyższej istoty. Serce czuje wzruszenie, zanika oddzielenie i zjawia się poczucie otulenia płaszczem miłości i spokoju. To jak komunია z samym życiem.

Bo, według Basi, Życie zaczyna się, gdy śmierć została „oswojona”. I często mamy na to całe nasze życie, w którym

## Leopold Staff

### *Początek bajki*

Wieczór przyjąć musi, duszo moja – to daremne.  
Patrzysz na mnie z przeczącą niewiarą uśmiechu?  
A jednak przyjdzie, chociaż z wolna, bez pośpiechu,  
Pogodny, słodki, złocąc skośnie żdźbła przyziemne.

Jedno trzeba, by złoty był, drzew szczyty ciemne  
Każąc w pochodnie zmieniać dnia późnemu echu.  
Lecz na to żyć musimy słonecznie, bez grzechu  
Przeciw własnemu pięknu, co w nas śpi – tajemne.

Tak żyć, by kiedy Charon w swą łódź nas zaprosi,  
Patrzeć cicho, jak fala w oddal nas unosi,  
A brzeg zanika nam z oczu w zachodu ozdobie.

I abym mógł miłosnym uściskiem cię owieść  
I, jak najśłodsza bajkę, o życiu opowieść  
Rozpocząć od dziecińczych słów: Byłem raz sobie...

## Ćwiczenie

### *ze śmiercią na ramieniu*

Jest proste ćwiczenie, które może pomóc w procesie oswojania śmierci. Postanów, że przez tydzień będziesz żyła\_żył ze świadomością śmierci na swoim ramieniu. Wyobraź sobie, że za twoim lewym ramieniem przez cały czas – niezależnie dokąd idziesz, co robisz, z kim się spotykasz – towarzyszy ci śmierć. Dla mnie to oznacza, żeby dać w swojej świadomości miejsce dla obserwator\_ki\_ra, która\_y ma perspektywę przemijalności i nietrwałości wszystkiego, wszystkich doczesnych spraw i rzeczy tego świata materii. Jest to proste, ale mocne ćwiczenie, które pomaga nabrać dystansu do siebie i swoich „małych dramatów” i skupić się na samym przeżywaniu i doświadczaniu życia.

doświadczamy wielu „małych śmierci”. Mała śmierć to wszystko, co wiąże się w życiu ze zmianą, kiedy okoliczności życia zmuszają nas, lub kiedy podejmujemy taką decyzję, żeby coś zmienić – pracę, partnerkę\_a, miejsce zamieszkania, a także swoje przyzwyczajenia, nawyki lub sposób myślenia czy przekonania. Jak pisze Mindell w *Śniącym ciele*: „Śmierć nie jest ani dobra ani zła, jest raczej istotą energii ciała. Ludzie muszą podjąć ryzyko poświęcenia uznawanych zasad świadomości i kultury, i podążać za nieprzewidywalnymi nakazami ciała. (...) Gdy ludzie śnią, że mają grypę, nieświadomość mówi, że głowa musi się zmienić. Tacy ludzie nie muszą zmieniać wszystkiego w swoim życiu, ale muszą zmienić swoje nastawienie wobec życia”.

Gdy żyjemy „ze śmiercią na ramieniu”, gdy nie zostawiamy za sobą niedokończonych spraw, nierozwiązanych problemów czy niewybaczonych przykrych doświadczeń lub niepodziękowanych błogosławieństw, możemy powiedzieć, tak jak Indianie: „Dzisiaj jest dobry dzień, aby umrzeć”. I wtedy śmierć staje się naszym marzeniem, czymś przyjaznym i pozytywnym. Basia podzieliła



się ze mną swoim wglądem, duchowym doświadczeniem, które sprawiło, że teraz ma spokój i pewność, że to, co nieuniknione, jest piękne i dobre i nie jest końcem życia. Nazwała to pięknym marzeniem i wie, że któregoś dnia przyjdzie jego spełnienie. Mindell pisze: „Doświadczenia śniącego ciała w chwilach śmierci są jak życie we śnie, przychodzi się i odchodzi, widzi i doświadcza, lecz wygląda na to, że po prostu nie da się przekazać tego innym poprzez dźwięki, światło czy dotyk”. Dlatego mogę tylko przekazać opis obrazu, jaki powstał we

mnie, gdy słuchałam opowieści Basi. Takie świetliste marzenie jest jak dotyk tajemnicy i świętości, gdy przez chwilę chociaż możemy poczuć doświadczenie śniącego ciała, znaleźć się w miejscu poza czasem i przestrzenią, i wiedzieć, że życie trwa, jest i będzie, że my jesteśmy tym życiem. To daje mi siłę i motywację do życia, do przeżywania każdej danej mi chwili z otwartym sercem, otuchą i „słonecznie”. Jak pisze Leopold Staff: „Lecz na to żyć musimy słonecznie, bez grzechu przeciw własnemu pięknu, co w nas śni – tajemne”.

## Ćwiczenie

### zapalanie świec przez Śmierć

„Kiedy poczujesz się zmęczona\_y realizowaniem jakiegoś zadania, przerwij to, co robiłaś\_eś, zamknij oczy i skoncentruj się na swoim oddechu albo uderzeniach serca. Medytuj nad zmęczeniem. W pewnym momencie nastąpi zapalenie płomienia. Albo ponownie rozpoczniesz poprzednie działanie, kładąc nacisk na jego inny aspekt, albo w świadomości pojawi się nowe działanie. Taka zmiana starego i tworzenie nowego centrum uwagi jest jak doświadczenie zapalania świec przez Śmierć. Odkrywanie i doświadczenie zapalania nowej energii stanowi doświadczenie Śmierci jako sprzymierzeńca, nauczyciela i śniącego ciała”.

„Śniące ciało to wysokoenergetyczne zagęszczenie pola lub wzorcowe doświadczenie poza wymiarami czasu i przestrzeni. (...) W praktyce praca ze śniącym ciałem zależy od sposobu w jaki się ono przejawia. Czasami pojawia się jako psyche w formie snów, czasem jako materia w formie ruchów ciała, czasem jako synchroniczności czy wypadki”.

(Arnold Mindell, *Śniące ciało*)

## „Między wcieleniami”

„Umierający przechodzą metamorfozę oddzielenia swojej duszy od przybranego ciała. Ludzie kojarzą śmierć z utratą siły życiowej, podczas gdy w rzeczywistości ma miejsce coś zgoła przeciwnego. W czasie śmierci tracimy ciało, ale nasza wieczna energia życia łączy się z mocą boskiej nadduszy. Śmierć nie jest ciemnością, lecz światłem. Moi badani, przypomniawszy sobie doświadczenie poprzednich śmierci, mówią, że są tak przepelnieni nowo odkrytą wolnością od ograniczeń ziemskiego ciała, iż z niecierpliwością pragną rozpocząć swoją duchową podróż do miejsca, gdzie odnajdą spokój i przyjaźń”.

(Newton Michael, *Między wcieleniami*)



# Santa Muerte

## Królowa Ciemności

### Nieznanej

tekst: Katarzyna „3Jane” Olszewska



#### Święta Śmierć

Santa Muerte (Święta Śmierć) to święta ludowa, popularna w Meksyku i miejscach zamieszkałych przez imigrantów z tego kraju (m.in. Stanach Zjednoczonych). Jest to postać wyjątkowa. Większość ludowych świętych to osoby wyjątkowe lub ofiary tragicznych wydarzeń. Santa Muerte natomiast uosabia samą siłę śmierci. Duchowni katolicy nie uznają jej za świętą, nazywając ludzi oddających jej cześć bałwochwalcami i satanistami. Mimo to jej kult w ostatnich 10-20 latach gwałtownie się rozkwitł. Obecnie Santa Muerte rywalizuje z Matką Bożą z Guadalupe, patronką Meksyku i dawniej najpopularniejszą świętą kraju.

Jej status jako najpotężniejszej i najpewniejszej pośredniczki, pomocniczki i sprawczyni cudów opiera się na dwóch cechach. Po pierwsze, jako uosobienie śmierci, Santa Muerte jest ograniczona jedynie przez autorytet Boga. Ma w związku z tym większe możliwości interwencji niż pozostali święci, męczennicy czy nawet Matka Boża. Po drugie,

śmierć jest bezstronna, bowiem przychodzi jednakowo po wszystkich wtedy, kiedy jej Bóg rozkaże. Dzięki temu zwracają się do niej o pomoc wszyscy, od ludzi ubogich, których nie stać na drogie wota i ofiary, przez ofiary przemocy aż po kryminalistów, którzy także potrzebują ochrony.

Santa Muerte wyobraża się jako szkielet trzymający któreś z symbolicznych narzędzi: wagę, kosę lub model kuli ziemskiej, dający znać, że ostatecznie cały świat należy do śmierci. Przy stopach figury może być przedstawiona sowa – ptak mądrości, który jednak swoim zawołaniem przepowiada rychły zgon. Sam szkielet ubrany jest zwykle w bogatą suknię; mogą to być szaty królowej, panny młodej lub zakonniczki. Jeśli jest to posąg, bywa przystrojony peruką z czarnych włosów. Kobiecość Santa Muerte podkreśla też bogata biżuteria, którą wyznawcy mogą przyozdobić figurę. Mówi się o niej z szacunkiem i czule: chuda pani, biała siostra, matka chrzestna, druga matka chrzestna, biała dziewczyna, śliczna dziewczyna.

#### Jej wyznawczyń\_cy

Ołtarze ku czci Santa Muerte wznoszą wszystkie\_cy: od uczennic\_czniów przez gospodynie domowe, prawniczki\_ów, księgow\_e\_ych, aż do handlarzy narkotykami, polityczki\_ów i gwiazd filmowych. Nie ma bowiem osoby, która w jakimś momencie swojego życia nie potrzebowałaby pomocnej ręki od bezstronnej, wszechmocnej osoby. W tym aspekcie Santa Muerte zaczęła w ludowej świadomości zastępować odległego, nieczułego Boga: jak stwierdziła jedna wyznawczyni, „wierzę w Boga, ale ufam Śmierci”. W *Devoted to Death: Santa Muerte, the Skeleton Saint* autorstwa R. Andrew Chesnuta przedstawione zostały historie ludzi wierzących, że dzięki interwencji świętej zostali uwolnieni przez porywaczy, przeżyli poważne zabiegi chirurgiczne, lub wyszli cało z bójki między gangami po tym, jak niewidzialna ręka patronki odciągnęła ich w tył, pozwalając uniknąć ciosu nożem.

Jak w większości religii, wśród wyznawczyń\_ów Santa Muerte przeważają

O Pani Śmierci, najpotężniejszy i najsilniejszy duchu szkielecie, niezastąpiona w chwili niebezpieczeństwa, wzywam cię, pewna twojej dobroci. Ubłagaj Boga Wszzechmogącego by darował mi wszystko, o co proszę. Niech ten, kto mnie skrzywdził lub rzucił na mnie klątwę złego oka, czuje skruchę przez resztę swojego życia, zacznij go ścigać natychmiast. Proszę cię, byś przywiodła do mnie z powrotem tego, który oszukuje mnie w miłości, a jeśli nie posłucha twego tajemnego głosu, niech poczuje moc twojej kosi. Wyznaczam cię jako najlepszą obrończynię w grach losowych i interesach. Spraw, by wszyscy, którzy będą działać przeciwko mnie, przegrali. O Pani Śmierci, aniele stróżu mój, amen!

(modlitwa bodajże w sprawach miłosnych, za *Devoted to Death*)







kobiety. David Romo, biskup jednego z kościołów poświęconych tej świętej, szacuje, że stanowią one około 2/3 osób uczestniczących w jego mszach. Przeważnie są to również ludzie młodzi: nastolatki i ludzie w wieku 20-30 lat, co może wynikać z tego, że Meksyk to w ogóle społeczeństwo młode, w którym przeważają ludzie poniżej 30 lat.

Oddawanie czci Santa Muerte niesie jednak ze sobą ryzyko. Świętą potępia kościół rzymskokatolicki i kościoły protestanckie, a media starają się podkreślać jej powiązania z przestępczością zorganizowaną. Z tego powodu wyznawczynie\_cy, które\_rzy mają coś do stracenia, oddają jej cześć w domu, potajemnie. Przykładem może być tutaj wesele meksykańskiej gwiazdy telewizyjnej, Niurki Marcos, która urzędziła je na zamkniętej hacjendzie pod Mexico City. Nie byłoby w tym niczego niezwykłego, gdyby nie fakt, że ślubu udzielał wyżej wspomniany David Romo.

### Jej cuda

Jakiej zatem pomocy najczęściej oczekują ludzie od Santa Muerte? Czy rzeczywiście jest to amoralna patronka kryminalistów, jak chciałyby tego media i większe organizacje kościelne? Możemy się tego dowiedzieć, sprawdzając statystyki sprzedaży świec wotywnych służących wyznawczyniom\_com do składania prośb o interwencję Świętej Śmierci w konkretnej sprawie. Intencje modlitw symbolizowane są bowiem przez odpowiedni kolor parafiny. I tak, według Chesnuta, najlepiej sprzedają się świece czerwone, po nich białe, złote i siedmiokolorowe (uniwer-

salne), następnie zielone i purpurowe, brązowe, a najgorzej – czarne.

Oznacza to, że pomocy Santa Muerte najczęściej oczekuje się w sprawach sercowych (czerwień). Zwykle chodzi o to, by zapewnić wierność partnera, niewiernego zmusić do powrotu, ukoić złamane serce lub (jak w przykładzie podanym w *Devoted to Death*) upewnić się, że agresywny, znęcający się nad rodziną eks-mąż będzie trzymał się z daleka od byłej żony i dzieci. Świece białe związane są z oczyszczeniem, wdzięcznością i błogosławieństwem, a złote przynoszą pomoc w problemach finansowych. Ich popularność może wiązać się z tym, że Santa Muerte stała się w zasadzie patronką wielu właścicieli małych przedsiębiorstw w Meksyku i USA.

Mniej popularne są świece zielone, reprezentujące prośby o sprawiedliwość. Ich użycie zwraca uwagę na to, jak trudno czasem w Meksyku o równość stron wobec prawa i jak ciężo biednym uzyskać sprawiedliwy wyrok. Świec purpurowych używa się prosząc o uzdrowienie, ale sprzedają się słabo, bo w sprawach uzdrowienia ludzie preferują świece siedmiokolorowe, jako wszechstronnie działające. Brązowych używa się w intencji zdobycia wiedzy, oświecenia i odnalezienia zagubionych rzeczy. Czarne, najmniej popularne, służą do osiągnięcia zemsty i szkodenia wrogom.

### Jej ołtarze

Świece umieszczone w szklanym pojemniku, z wydrukowanym wizerunkiem świętej z przodu i odpowiedzią modlitwą do niej skierowaną

z tyłu, nie są zresztą jedyną rzeczą, którą można znaleźć na ołtarzu poświęconym Santa Muerte. Centralną pozycję zajmuje oczywiście jeden lub więcej posążków świętej. Rozmiary figurki mogą być różne: od takich, które mieszczą się w dłoni, po imponujące posągi rozmiarów człowieka stojące w oficjalnych świątyniach Santa Muerte. Prosty ołtarz może składać się jedynie z posążka, świec i szklanki wody, która symbolicznie oczyszcza i odnawia (a także zaspokaja pragnienie śmierci, która, jak każdy szkielec, jest wiecznie wyschnięta, a zatem spragniona). Często składa się też na nim dodatkowe ofiary, zaczerpnięte w większości z tradycji katolickiej.

Santa Muerte otrzymuje przede wszystkim ofiary z kwiatów. Ułożone w kryształowych wazonach, muszą być zawsze świeże, a ich woda regularnie wymieniana. Na ołtarzu znaleźć też można ofiary z jedzenia (najczęściej owoce, słodczyce i chleb) a także picia (alkohole). Wyznawcy zapewne uważają, że święta ma do nich podobne gusta, ponieważ ofiarowują jej rzeczy popularne wśród Meksykanek\_ów: tequilę, piwo, papierosy i czekoladę (która rośnie w Meksyku). Oprócz tego na ołtarzu mogą znaleźć się też jabłka, które jako główny owoc z rogu obfitości symbolizują dostatek. Podobne znaczenie mają kłosa zboża, zastępowane przez bochenki chleba.

Ofiarowuje się wreszcie dary wotywny, takie jak fotografie ludzi, którzy byli beneficjentami cudów sprawionych przez Santa Muerte, skrawki papieru z wypisanymi podziękami, *milagros* (metalowe medaliki w kształcie uzdrowionych części ciała) czy wstążki

O ty, która znasz tajniki życia, wypędź chorobę i ból, które gnębią ciało moje i moich najbliższych. Obdaruj mnie paroma kroplami twojego potężnego eliksiru i przywróć mojemu ciału krzepkość, jasność umysłu i spokój, bym mogła cię dalej czcić. Niech twoje hojne ręce położą kres mojemu cierpieniu. Otrzyj swoim płaszczem chorobę, która we mnie żyje, i odeślij ją na zawsze. Niech moc, która we mnie istnieje, zostanie uwolniona, by mogła pozbyć się choroby, czy jest ona naturalna, czy nadnaturalna, wpływającej na mężczyzn i kobiety. Ponieważ wierzę w swoją energię, która we mnie zamieszkuje.

(trzeci dzień nowenny, poświęconej różnym sprawom, za *Devoted to Death*)







źródło: <http://en.wikipedia.org/wiki/File:Dec1Romero14.JPG>

z wypisanymi modlitwami. Zgodnie z tradycją zapoczątkowaną przez kościół katolicki, święta przyjmuje też dary pieniężne. Wyznawcy przypinają banknoty do szat założonych na jej figurki, albo wtykają zrolowane banknoty w fałdy sukni. Waluta banknotów określa prestiżowość daru: dolary są lepsze niż peso.

### Jej modlitwy

Modlitwy o pomoc skierowane do Santa Muerte to przeważnie zmodyfikowane wersje klasycznych tekstów katolickich z krótkimi odniesieniami do Świętej Śmierci dodanymi na końcu. Na przykład, „Zdrowaś Maryjo” kończy się następującą prośbą o ochronę: „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. Chwała niech będzie

tobie, Najświętsza Śmierci, widoczna i niewidoczna opiekunko, albowiem, choć możesz radować się wszechmocną obecnością Stwórcy, zstępujesz, by pomagać i ochraniać swoich mniej rozwiniętych synów i córki”.

Istnieją też modlitwy, których główną bohaterką jest Santa Muerte. Większość z nich odnosi się do spełnienia konkretnych prośb wyznawców. Na przykład podczas opisanej w *Devoted to Death* nowenny do Santa Muerte w ciągu 9 kolejnych dni odmawia się po kolei 9 modlitw odnoszących się do polepszenia poszczególnych strefy życia wyznawcy. Z kolei różaniec Świętej Śmierci stworzono, podmieniając części tekstu różańca Najświętszej Maryi Panny. Pierwszego dnia każdego miesiąca odmawiają go grupowo wyznawcy, a także niektóre rzy naukowcy zebrane i w kościołach i świątyniach poświęconych Santa Muerte.

Podobnie jak w przypadku modlitw katolickich, prośbom o cud towarzyszą obietnice składane w zamian. Przypisać można konkretne ofiary, regularne uczestnictwo w modlitwach i inne podobne rzeczy. Jeśli prośba zostanie spełniona, wyznawczyni\_ca musi wywiązać się ze złożonej obietnicy. Uważa się bowiem, że gniew Santa Muerte jest szczególnie groźny i może sprowadzić surową karę na wyznawczyńców, które rzy złamały\_li dane słowo.

### Jej pochodzenie

Jakie są korzenie Santa Muerte? Dlaczego pojawiła się w Meksyku? Większość Wyznawczyńców mało to obchodzi, ale niektóre rzy ich przywódczyni\_cy, a także niektóre rzy naukowcy, mają własne hipotezy. Najpopularniejsza wśród wyznawców wersja

Kroczę z tobą, Najświętsza Śmierci. Odchodzę ufając twojej mocy. Opuszczam cię, otrzymawszy pomoc, wiedząc, że moja dusza wróci bezpiecznie. Słodka matko, nie oddalaj się, nie spuszczaaj ze mnie wzroku. Podążaj ze mną wszędzie i nigdy nie zostawiaj mnie samej, a ponieważ już chronisz mnie jak prawdziwa matka, spraw, by Ojciec, Syn i Duch Święty mnie pobłogosławili. Amen.

(modlitwa kończąca różaniec)



Wierni podczas ceremonii religijnej odprawianej w publicznej świątyni na Alfareria Street w Tepito w mieście Meksyku



mówi, że Santa Muerte to schryścianizowana wersja Mictecacihuatl, azteckiej bogini śmierci władającej wraz z mężem Mictlantecuhtli podziemną krainą zmarłych. Inne\_i wyznawczynie\_cy twierdzą, że postać świętej pochodzi z legendy ludu Purepecha. Według tej opowieści, cudownie urodzona dziewczynka została oskarżona przez sąsiadów o bycie złym duchem i spalona przez Inkwizycję. Ponieważ jej szkielet nie rozpadł się po spaleniu, franciszkański kleryk uspokoił przerażonych swoim postępkami ludzi, mówiąc, że oto Bóg zezwolił im oglądać Najświętszą Śmierć.

Naukowcy twierdzą jednak, że postać Santa Muerte ma najprawdopodobniej korzenie w Zachodniej Europie, z której postać Śmierci zaimportowano wraz z przedstawieniami i malunkami tańca śmierci. Tak czy siak, według *Devoted to Death* pierwsze odniesienia do tej świętej pojawiają się w archiwach Inkwizycji z roku z lat 1797, w dokumencie zatytułowanym (w angielskim tłumaczeniu) *Concerning the Superstitions of Various Indians from the Town of San Luis de la Paz* („Oдноśnie przesądów rozmaitych Indian z miasta San Luis de la Paz”). Dokument ten opisuje kult obejmujący picie pejotlu, zapalanie świec, taniec z papierowymi lalkami oraz obwiązywanie figury Santa Muerte sznurem: grożono jej chłostą, jeśli nie spowoduje cudu. Jako karę za praktykowanie przesądów zniszczono kaplicę, w której przechowywano tę figurę.

Co ciekawe, następne odniesienia do Santa Muerte pojawiają się dopiero w połowie XX wieku i później, w książkach takich jak *Treasury of Mexican Folkways* Francisa Toora (1947), *Cuijla. Mexico: Fondo de la Cultura Economica* Gonzalo Aguirre Beltrana (1958), *The Children of Sanchez* Oscara Lewisa (1961) oraz *Mitos y magos mexicanos* Marii de la Luz Bernal (1982). Opisana jest w nich jako święta zajmująca się sprawami miłosnymi. Jej popularność i reputacja w dziedzinach innych niż problemy sercowe wzrosły dopiero w ciągu ostatnich parunastu lat.

## Druga strona Śmierci

Niestety, w chwili obecnej wpisanie „Santa Muerte” w wyszukiwarkę internetową raczej nie spowoduje, że wyświetli się stos modlitw o powrót wiarołomnego męża lub podobnych. Powód jest prosty: sensacja bardziej się opłaca, a wokół Świętej Śmierci szybko urosła ponura renoma. Media przedstawiają ją wyłącznie w kontekście patronki kryminalistów (najczęściej handlarzy narkotyków i porywaczy). Jest w tym ziarno prawdy; ludzie tacy widzą, że z powodu ich zawodu nie ujmie się za nimi żaden inny święty, zwracając się więc do bezstronnej Santa Muerte.

W *Devoted to Death* autor twierdzi, że Święta Śmierć stała się wręcz patronką ludzi przebywających w meksykańskim systemie penitencjarnym, a jej popularność wzrasta również w więzieniach w USA. Prosi się ją zwykle o przedterminowe zwolnienie z więzienia. Chesnut cytuje też swojego krewnego, pracującego jako strażnik w zakładzie karnym o maksymalnym rygorze w Morelia. Według niego, około 40 spośród 150 więźniów wniosło ołtarze dla Santa Muerte, składając jej ofiary z papierosów, skrętów marihuany, kokainy i samogonu, a także wykonując tatuaże ku jej czci. Nie tylko więźniowie odwołują się do Świętej Śmierci; czci ją także przynajmniej 10 spośród 48 strażników, a u prawników i pracowników społecznych również daje się zauważyć poświęcone jej złote medaliony.

W wiadomościach znajdziemy dalsze ponure doniesienia. W 2007 roku w Nuevo Laredo płatni mordercy pracujący dla jednego z najpotężniejszych karteli narkotykowych Meksyku porzucili przed świątynią Santa Muerte trzech martwych, skutych mężczyzn. Skłoniło to Davida Romo, charyzmatycznego biskupa jednego z kościołów poświęconych Santa Muerte, do prób odcięcia się od klasycznego kultu przez „przebrandowanie” Świętej Śmierci na Anioła Śmierci, piękną, bladą anielicę brunetkę. Zmiana marki nie poskutkowała – nawet w jego wła-

snej świątyni wierni wciąż preferują wizerunki szkieletu – a tymczasem sam Romo został zaarrestowany w 2011 roku pod zarzutami kidnaperstwa i prania pieniędzy. Podczas stawiania mu oskarżeń władze podkreślały, że areszt nie był powodowany uprzedzeniami wobec mniejszości religijnych; Romo znany był bowiem z organizowania publicznych demonstracji i protestów przeciwko prześladowaniu wyznawców Santa Muerte.

Najnowsze doniesienie, z marca 2012 roku, mówi że w Nacozari w północnym Meksyku aresztowano ośmiu członków rozpaczliwie ubogiej rodziny, podejrzanych o udział w zamordowaniu trzech osób przed ołtarzem Santa Muerte. Byłaby to pierwsza potwierdzona śmierć związana z tą świętą. Silvia Meraz, uważana za przywódczynię grupy, wyjaśniła, że jedna z ofiar zginęła, bo była czarownicą; dodała również, że miała nadzieję, że z tego powodu poprawi się ich sytuacja finansowa. Niestety, historia nie jest nowa. W Europie, Afryce i Indiach z tego samego powodu również giną ludzie, a religia stanowi zwykle wymówkę dla ludzkiego okrucieństwa lub chciwości.

## Patronka zdesperowanych

Warto pamiętać, że do Santa Muerte wyznawcy zwracają się najczęściej wtedy, gdy zawiodła ich oficjalna hierarchia kościelna i gdy modlitwy do uznanych przez kościół rzymskokatolicki świętych nic nie dały. Popularność Świętej Śmierci wzrosła w miarę, jak pogłębiała się przepaść między bogatymi a biednymi, między kartelami narkotykowymi a ludźmi, którzy chcieli po prostu przeżyć, między tymi, którzy mogli zapłacić za wolność, a tymi, których nie stać było na prawnika. Santa Muerte jest też ostatnią deską ratunku dla ludzi wierzących, że Bóg nie zaakceptuje tego, co muszą robić, żeby przetrwać. Meksyk stał się miejscem, w którym ludzie proszą matkę-Śmierć o to, by przeżyć, bo na Boga, Jezusa, Maryję i innych świętych nie mogą już liczyć.



# Memento Mori

## barokowa fascynacja śmiercią

tekst: Agnieszka Kraska

Rozbuchany, wybujały, pompacyjny, wzniosły, bogaty, symboliczny, sięgający nieba – barok. Ludzie tego okresu interesowali się ziemskim przepychem, ale jednocześnie zafascynowani byli wszystkim co mroczne, tajemnicze, nieznanne, ulotne. Jeśli dołożymy do tego polską kulturę sarmacką, powstanie mieszanka wybuchowa. A śmierć? Była czymś powszednim. Nie bano się jej. Bardziej od śmierci lękano się... skromnego pogrzebu.

### Pogrzeby...

...fetowano. Bo ówczesne obyczaje pogrzebowe trudno nazwać uroczystościami. To były fety, festyny, widowiska, *pompae funebris*. Kiedy umierała osoba wysokiego stanu, zwłoki wystawiano na widok publiczny, odbywały się przy niej czuwania połączone z modlitwami i śpiewami. Ceremonię pochówku odkładano tygodniami, miesiącami, a czasem nawet latami. Zwłoki balsamowano, a na widok publiczny wystawiano specjalnie w tym celu namalowany wizerunek zmarłej go zwany portretem trumiennym. Trumnę, ozdobioną tymże konterfektem, obnoszono codziennie po mieście. W tym czasie szyto stroje żałobne, budowano katafalk z okalającą go kunsztowną konstrukcją zwaną *castrum doloris*, malowano obrazy przedstawiające sceny z życia zmarłej go, wybijano blachy z herbami do ozdoby

trumny, pisano i drukowano panegiryki, słowem – szykowano pogrzeb.

Kiedy rozpoczynała się właściwa uroczystość, bito w dzwony we wszystkich kościołach w okolicy. Wystrzeliwano salwy armatnie. Ruszała procesja. Niesiono trumnę ozdobioną portretem oraz blachami trumiennymi (z wybitymi herbami, inicjałami i innymi symbolami), proporce z obrazami przedstawiającymi pełną postać zmarłego, a także sceny z jego życia oraz drzewo genealogiczne. Po drodze mijano kilka bram triumfalnych o rozbudowanych formach i bujnej symbolice, zbudowanych specjalnie na tę okazję. Sama procesja mogła liczyć nawet kilka tysięcy osób. Szły w niej też czarne rumaki w kapach z wymalowanymi herbami zmarłego. Niesiono gromnice i pochodnie.

Odprawiano mszę, podczas której odbywał się spektakl. Aktor grający zmarłego wjeżdżał na czarnym koniu, przed katafalkiem z niego spadał. Łamano wszystkie należące do zmarłego symbole władzy, także oręż.

Po złożeniu ciała do grobu następowały, trwające kilka godzin, mowy pożegnalne. Po pogrzebie żebracy otrzymywali dary zgromadzone podczas ceremonii, a reszta towarzystwa udawała się na huczną stypę.

Warto dodać, że z równie wielką pompą celebrowano kolejne rocznice śmierci, a uroczystości różniły się niewiele od samego pogrzebu.

### Portret trumienny

Barokowa fascynacja śmiercią nie ograniczała się tylko do rozbuchanych zwyczajów pogrzebowych. Kwitła sztuka eschatologiczna. Pojawił się portret trumienny, który był wyłącznie polską specyfiką malarską. Portret ten powstawał tylko po to, pełnić rolę zastępstwa wobec zmarłej ego w szumnych uroczystościach. Jego ojczyzną jest Wielkopolska, skąd rozprzestrzenił się na pozostałe obszary Rzeczypospolitej. Specyfiką tego obrazu był jego przekrój, dostosowany do przekroju trumny, ponieważ umieszczano go w miejscu, w którym znajduje się głowa zmarłej osoby. Był



Katarzyna Hołda  
ornat *Taniec Śmierci*

więc najczęściej sześcioboczny. Zdarzały się jednak przedstawienia ośmioboczne, prostokątne, trapezoidalne, zaokrąglone u góry lub po prostu owalne. Malowany był farbami olejnymi na blasze, lub, w wersji uboższej, na drewnie. Ale, jak pisze Tadeusz Chrzanowski, „specyfika portretu trumiennego polegała nie tylko na formacie i technice, ale także na samym ujęciu. Otóż owa specyfika polegała na zaskakującym weryzmie w oddaniu twarzy zmarłego (...). Ponieważ w scharakteryzowanym wyżej wykroju niewiele poza samą twarzą się mieści, więc też to ona skupia na sobie uwagę

widza. I tej uwadze odpowiada własnym, baczным spojrzeniem, bowiem ów wizerunek miał uobecnić pośród żałobników zmarłego, więc przedstawić nie jako zmarłego, którym jest wewnątrz trumny, ale jako tego, którym był”<sup>1</sup>. Portret Kazimierzy Jeleńskiej, kasztelanowej nowogródzkiej, wprowadzie malowidłem trumiennym nie jest, ale inskrypcja na nim umieszczona doskonale wyjaśnia charakter śmiertelnych konterfektów:

„Napatrz się po śmierci  
kto był w życiu miły  
Acz osobę los zagrzebał  
Śmiertelny mogiły”.

Portrety trumienne malowano na podstawie wizerunków zmarłej osoby powstawłych wcześniej za jej życia. Rezygnowano jednak z dekoracyjności na rzecz wyrazistości wymodelowanej przestrzennie twarzy. Obrazy te, których największy zbiór można oglądać w Muzeum Narodowym w Poznaniu, charakteryzują się specyficzną, niepowtarzalną atmosferą przedstawień. „Ekspresyjność tego portretu (...) polega właśnie na tym, że malarz – powtarzając wizerunki robione *ad vivum* – także niczego nie idealizował, w wielu wypadkach nawet jakby jeszcze silniej podkreślał

1. Tadeusz Chrzanowski, *Portret staropolski*, Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1995, str. 112.



źródło: [http://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Taniec\\_Smierci.jpg](http://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Taniec_Smierci.jpg)

i dlatego z owych wielobocznych tarcz spoglądają ku nam oblicza pełne życia, pełne wszystkich czterech humorów (krew, cholera, melancholia, żółć) ludzkiego charakteru, jakby zaprzeczając nieuchronności śmierci”<sup>2</sup>.

Portret trumienny nie jest jedynym przykładem sztuki wanitatywnej tamtej epoki. Malowano także sztandary, na których, na czarnym płótnie, przedstawiano całą postać zmarłej osoby, stojącą lub klęczącą. Były też przedstawienia półpostaci, a także konterfekty w medalionach otoczone scenami obrazującymi jej najważniejsze czyny. Takie chorągwie były jednak nietrwałe, ulegały szybkiemu zniszczeniu, często po pogrzebach cięto je na wąskie pasy, które rozdawano żałobnikom, dlatego niewiele tego typu przedstawień przetrwało próbę czasu.

### Taniec śmierci

W baroku odżyło też zapoczątkowane w średniowieczu przedstawienie *dance macabre*, czyli tańca śmierci. Korzenie tego widowiska sięgają jeszcze czasów pogańskich, kiedy korowody taneczne były częściami obrzędów pogrzebowych. Rozpocynało się od kazania na temat przemijania i śmierci, po czym osoby przebrane za śmierć tańczyły, namawiając widzów do przyłączenia się do korowodu. Przedstawienie kończyło się moralizującym kazaniem, nawołującym do cnotliwego życia. W średniowieczu taniec ten, jako nawiązujący do tradycji pogańskich, był tępony przez kościół.

Z tych teatralnych przedstawień motyw tańca śmierci przedostał się do sztuki malarskiej i rozwinął się bujnie w późnym średniowieczu, a następnie w baroku. Przedstawiał korowód lub krąg tańczących, złożonych z przedstawicieli różnych stanów tańczących ze Śmiercią, w towarzystwie kościotrupów, trupów w różnych stadiach rozkładu, toczonych przez robactwo, żaby i węże, lub z mumifikowanych zwłok. Takie ujęcie miało na celu pokazanie równości wszystkich ludzi wobec nieuchronności

śmierci. Żywe osoby często przedstawiane były jako przerażone, trupy natomiast jako wesołe, roześmiane, triumfujące.

W sztuce średniowiecznej funkcjonowało kilka wizerunków śmierci. Najbardziej powszechny to szkielet z kosą, bądź łukiem i strzałą. Czasem była ona przedstawiana jako rozkładający się trup, najczęściej kobiecy. Mogła jechać na wozie zaprzężonym w woły lub wierzchem na krowie. Inny wizerunek to jeździec apokalipsy cwałujący po stosach trupów. W XVII wieku, po serii krwawych wojen, klęsk i zaraz, śmierć przedstawiano groźnie. W następnym stuleciu – epoce *castrorum doloris* – przedstawienia zamieniły swój charakter, śmierć złagodniała, poweselała, prowadziła z żywymi swoistą grę. Czasem przedstawiano ją nawet jako kościotrupa złożonego z instrumentów muzycznych.

W Polsce najbardziej znanym przedstawieniem tańca śmierci jest obraz znajdujący się w krakowskim kościele bernardynów pod wezwaniem św. Bernarda ze Sieny. Obraz datowany jest na XVII wiek. W jego centralnej części, w tanecznym kręgu z kościotrupami płąsa dziewięć kobiet z różnych warstw społecznych, poczynając na cesarzowej, a kończąc na chłopce. Do tańca przygrywa im orkiestra, składająca się z żywych grajków i kościotrupów. W lewym górnym rogu widać przedstawienie dwóch klęczących pod krzyżem kobiet, w prawym – postaci Chrystusa i Boga Ojca, w środku – niebo bądź Sąd Ostateczny. Lewy dolny róg zajmują figury Adama i Ewy, prawy zaś – piekło w postaci paszczy potwora Lewiatana, pochłaniającego potępionych. Przedstawienie to okala czternaście medalionów prezentujących scenki tańczących ze śmiercią mężczyzn różnych stanów, połączone wspólnym krajobrazem. Tańczą więc papież, cesarz, król, kardynał, biskup, duchowni i zakonnicy, książę, senator, szlachcic, kupiec, chłop, polityk i żebrak, Turcy i Żydzi oraz błazen i dziecko. Przedstawienie dopełniają symbole przemijalności i śmierci – klepsydra, zegar i czaszka.

Obraz wieńczy inskrypcja:

„Roznych stanów piękne grono  
Gęstą śmiercią przepleciono  
Zyjąc wszystko tańczujemy  
Aże obok śmierć niewiemy”

Poniżej znajduje się napis:  
„Szczęśliwy kto z tego Tańcu  
Odpocznie w Niebieskim Szańcu  
Nieszczęsny kto z tego Koła  
W piekło wpadszy biada woła”

Przy przedstawieniach tańczących ze śmiercią mężczyzn również znajdują się czterowiersze, odnoszące się do stanu tańczącej postaci, często pełne ironii i specyficznego humoru. Na przykład przy przedstawieniu biskupa czytamy:

„Postradałeś Pastorała  
Gdyc Śmierc w Taniec iść kazała  
Infulac nic nie pomoże  
Musisz skoczyć W grób niebożę.”

Przy scenie z księciem:  
„Nie bądź chacias Xiąże hardy  
Z śmierciąc te skaczesz Galaridy<sup>3</sup>  
Bo wnet lasnie Oświecony  
Tytuł twoy będzie Zaćmiony.”

Stosunek Polaków do „innowierców” doskonale przedstawia podpis pod przedstawieniem Żyda i Turka:

„Sprośni Turcy Brzydzy Żydzi  
lak się wami Śmierć nie hydzi  
Na Żydowskie nie dba Smrody  
Z dzikimi skacze Narody.”

Ponieważ sztuka baroku obfitowała w ukryte treści i odniesienia do współczesności, w postaciach przedstawionych na obrazie badacze doszukują się żyjących możliwych XVII wieku. Cesarzem mógłby być więc Ferdynand II Habsburg, królem – Jan Kazimierz lub Michał Korybut Wiśniowiecki, kardynałem – Jak Albrecht Waza lub Michał Stefan Radziejowski, hetmanem – Stanisław Koniecpolski.

Dlaczego akurat w baroku ludzie ulegali tak silnej fascynacji się śmiercią? Być może dlatego, że tak ważne było wszystko, co wiązało się z życiem doczesnym – sława, stan społeczny, świetność rodu, bogactwo i przepych, a każda z tych rzeczy jest tak łatwo przemijalna, nietrwała, po prostu śmiertelna.

1. Tadeusz Chrzanowski, *op.cit.*, str. 112-113

3. Galarida – skoczny taniec włoski.



Łaz to nie zwyciężony  
Stobą mam być zjednoczony  
Wąsytha mac Cesarsha ma  
Schnie gdy sie tknie ręką łozca.

Dalbym Berlo yz Korono  
Bymie Stanica, Uwolniono  
O? rader przykre niesety  
Ktore smiere skacze Ballety.

Kardynalskie Kap  
Chocbya wiechial rzo  
Strasznyz to skok  
Zy umrzec trzeba

Roznych Stanow piekne grono  
Gesta Smiercia przepieciono  
Zycie wszystko lancuemy  
Aze obok Smierec nie wiemy.



Postadales Paster  
Gdy Smerec w Linie  
Ligulac nie na pom  
Musisz skoczyc wyz



Wasz Kaniay  
nichay Xera tu  
Auzpoc Suica Ka  
gualten wiaz Linie



Nubide chocis Xi  
Zsmiercie to skaczess  
Bo wozt Lysne gswie  
Tylal twoy bedita

Seczesluy kto z tego Tancu  
Odpocz nie w Niebeshim Szancu  
Nieszczesny kto z tego Kola  
W pieklo w pakszy bada wola



Pras nie raxey Oblawaly  
Botu Widze zos bez Szaly



Jako sie tuc Suche Kosci  
Taryntly na me Wolnosci



Darmo sie w Spieraz  
Gdy wter Smiercia  
Rucie sie skowda

Wydacysz  
nie raczysz  
nie mele  
robotile



ka Zarty  
nie Warty  
Zydwoconac  
nie lancuawc



roydy Zydzi  
maje nie kudz  
kudz Snydy  
Nandy



o nie pitasz  
ama wifasz  
wraf srog  
Ubogi



Spracowany  
wybral tamy  
Ozary



# Złowieszcze zwierzęta

tekst: Enenna



Gdzie chcecie być pochowane\_i? W polskiej kulturze tradycyjnej zachowało się przekonanie, że po spełnionym życiu człowiek powinna\_inien zostać złożony w ziemi. Jak ziarno co roku wyrasta z gleby, tak odrodzić miała\_miał się człowiek. Ważne więc było, aby ciało znalazło się we właściwym miejscu, na własnej ziemi, nie na obczyźnie, tak, by zmarła\_y mogła\_mógł odrodzić się wśród swoich. Jej\_go dusza udawała się do krainy Wyraju. W jakiej postaci? W święto zmarłych Słowianki\_nie Wschodnie\_i rozpalały\_li dla duchów piece w łaźniach. Kiedy przychodziły\_li posprzątać, znajdowały\_li w popiele ptasie ślady. Tak więc nie ulegało wątpliwości, że przodkinie\_owie przyjmowały\_li postać skrzydlatą.

Dusze potrafiły – a według niektórych opowieści, potrafią do dziś – odwiedzać żywych w ptasiej postaci. Ptakiem szczególnie kojarzonym ze zmarłymi był lelek: jego nazwa spokrewniona jest z wyrazem „lala” – oznaczającym ducha. Lelki

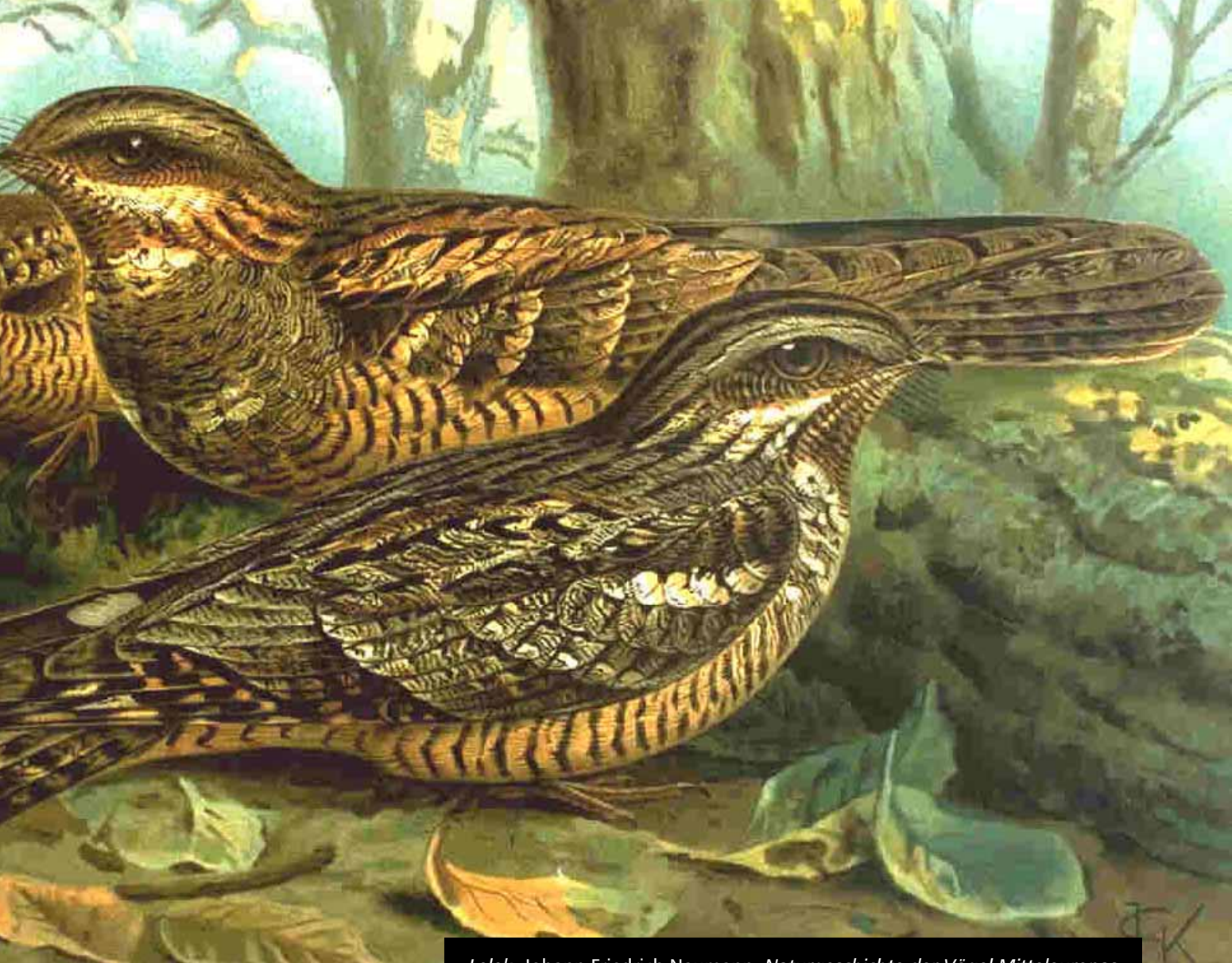
i bociany przynosiły Słowiank\_nom dusze nowo narodzonych z dalekich krain za morzem, jeszcze długo po tym, kiedy Raj chrześcijan zastąpił pogański Wyraj. Bajki o bocianach przynoszących dzieci to ostatnie echa wiary w reinkarnację.

Nie każdy u Słowianek\_Słowian miała\_miał możliwość powtórnego przyjścia na świat. Biada tej\_mu, która\_y została\_został bez pochówku: bez regeneracji w ziemi nie miała\_miał szans na odrodzenie i, uwięziona\_y między tym a tamtym światem, straszła\_straszył.

W podziemiach mieściła się druga, obok Wyraju, kraina zmarłych: Nawia. Dusze nazywano nie tylko lalami, ale i nawkami. Stąd też przypuszczenia, że Słowianki\_nie wierzyli w kilka rodzajów dusz, z których każdy wędrował po śmierci do innej krainy: lale do Wyraju, a nawki do okrytej mrokiem Nawii.

Podziemna kraina śmierci, do której czasem wyprawiali się śmiałkowie po skarby, była bogata jak sama ziemia.

Jej władca zasiadał na złotym tronie pośrodku podziemnego morza. Weles, utożsamiany z Trygławem, słowiański bóg zmarłych, patronował bydłu, najcenniejszemu majątkowi rolnika. Podobnie jak Weles, rzymski Pluton był bóstwem śmierci, ale też płodnej ziemi. W ich postaciach zakłęta jest zagadka przemiany śmierci w życie, nasienia w kłos. Święta urodzaju są zarazem świętami zmarłych: Germanki\_nie miały\_mieli w zwyczaju zostawiać na polu kłosa „dla szczurów” i w czasie zwożenia zboża do spichlerzy rzucać im ziarno przez lewe ramię. Ale nie o zwykłe szczury chodziło. Naprawdę Germanki\_nie miały\_mieli na myśli zmarłych, do których chrześcijankom\_om nie wypadało wracać się otwarciem z prośbą o ochronę zebranego ziarna. Nikt tak jak zmarłe\_li nie potrafił chronić zapasów na zimę. Czekając na odrodzenie, dzieliły\_li los ziarna czekającego na zasiew, i jak szczury były\_li zawsze tam, gdzie zboże.



*Lelek, Johann Friedrich Naumann, Naturgeschichte der Vögel Mitteleuropas*

Zmarłe\_li poznają rozwiązanie zagadki śmierci i odrodzenia. Nic dziwnego, że zwierzęta kojarzone z podziemiami i zaświatami uważano za obdarzone wielką mądrością. Szczególną sławą cieszyła się mądrość węży. Przy okazji, jako byty związane z podziemiami, bywały bardzo bogate i strzegły skarbów. W skarbach tych niektóre\_rzy widzą tylko złoto, inne\_i zaś sądzą, że perły, diamenty i kielich Dionizosa, na straży których czuwają węże, są naprawdę sekretem wiecznego życia. Pojawiały się również tam, gdzie rośnie drzewo życia, od biblijnego Drzewa po Yggdrasil. W folklorze słowiańskim władca zaświatów przybierał węzowy kształt i nazywa się Królem Węży, a na Łużycach Pieniężnym Żmijem. W legendach przetrwała postać Króla Węży, który chadzał się kąpać nad rzekę.. Chłopca, który połasczył się na złotą koronę, gdy król zostawił ją na brzegu, bezlitośnie ścigały węże. Słusznie, gdyż po pierwsze, nie wolno kraść, po drugie,

nie godzi się znieważać ostatniego wcielenia Welesa, nawet tak skromnego. A może to nie była zwyczajna kąpiel? Woda potrafi obmyć, odnowić, przywrócić młodość...

Węże zmieniają skórę, sądono więc kiedyś, że umieją się odradzać i są przez to nieśmiertelne. Słowianki\_nie trzymały\_li węże w domach, nie czyniąc rozróżnienia między duchami domowymi – chowańcami – a pożytecznymi gadami. I jedne, i drugie gnieździły się w domach, pomagały w gospodarstwie i opiekowały się dziećmi.

Mimo wszystkich zalet, węże budzą dziś przeważnie negatywne emocje. Los ten dotyka wielu zwierząt kojarzonych ze śmiercią, którą łatwiej traktować jako zagadkę, baśń, metaforę, środek artystyczny niż emocjonalnie zaakceptować. Zwierzęta związane ze śmiercią i rozkładem wywołują więc obrzydzenie i odrazę – jak robaki, żaby, myszy, szczury, węże i podobne do nich, padlinożerne węgorze – albo niechęć, jak

również padlinożerne kruki i wrony, poświęcone celtyckiej bogini zniszczenia Morrigan. Morrigan, lecąc na żer nad polem bitwy, nieraz przybierała kruczą czy wronia postać. Czasem wcielała się w wężopodobnego węgorza.

Czarne jak kruki bytło i konie ongiś składano w ofierze bogom podziemi. „Weźmiesz czarno kurę...” Czarne byki i owce ofiarowywano Hadesowi, czarne szczenię zaś Hekate. Czarne zwierzęta miały coś w sobie złowieszczonego: w wierzeniach celtyckich kary koń mógł okazać się demonem, *kelpie*, wciągającym ludzi pod wodę. Niektórzy wciąż niechętnie odnoszą się do czarnych kotów.

Pospolita niechęć do zwierząt przykrywa głębszy lęk. Niewiele\_u bez drżenia może zbliżyć się do granicy między życiem a śmiercią, niewiele\_u ze spokojem znosi nocne trzepotanie skrzydeł w okno. Kto przezwycięży lęk, ma szansę dowiedzieć się, jaką mądrość przynioszą posłańcy zaświatów.

czarna

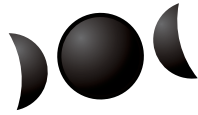


# Śmierć jako **spry**



# mierzeńczyni

tekst: Agnieszka Kramm



czarna



foto: Iwona Jędrusik



## Pierwsze spotkanie

Mam 15 lat, umiera mój ukochany Dziadek, kilka tygodni po diagnozie choroby. Szok. Zupełnie nie przygotowana, nie umiałam sobie z tym poradzić. Bezpieczny świat uległ zagładzie, nagle wtargnęło do niego coś bardzo złego. Ból duszy wielki. Tęsknota. Umarłam wraz z nim – jakiś kawałek mnie odszedł daleko. To pierwsze spotkanie z nienazwanym, niezrozumiałym, z nieogarnialną i niedyskutowalną tajemnicą. I pierwsza próba – jednak, na przekór zrozumienia. Zakończona całkowitym fiaskiem. Ale od teraz już przynajmniej wiedziałam, zostałam poinformowana o Jej istnieniu. Niezapraszany gość, intruz, wszedł i zmienił krajobraz.

## Spotkanie drugie

Miałam 20 lat, byłam w pełni życiowych sił, entuzjazmu, miłości, fascynacji całym światem. Fizycznie nic mi nie dolegało, psychicznie również. I nagle, niespodziewanie doświadczyłam klasycznego ataku paniki – przyspieszonego bicia serca, drętwienia rąk, oraz dojmującego, dławiącego lęku przed śmiercią. Zbadałam się oczywiście natychmiast, okazało się, że dwudziestoletnie serce działa bez zarzutu. Wiedziałam już, że nie umieram, a jednak – zaczęłam odczuwać lęk – wielki lęk, że umrę, tu zaraz, natychmiast. Zdarzyło się to kilka razy, szczególnie w nocy, aż dopieкло mi tak bardzo, że jako początkująca studentka metod pracy psychologii zorientowanej na proces, postanowiłam je użyć. I pogłębić to dziwne doświadczenie. Okazało się ono bardzo głębokie, a jego finałem była wizja – podróż, do dziwnej doliny, i spotkanie ze Śmiercią właśnie. Czyli tym – czego się tak bardzo bałam. Śmierć powiedziała mi, że bym się nie bała. I że bym zawsze wiedziała, że Ona tu jest. Po tym spotkaniu – lęk minął, ataki paniki również. Wiedziałam, że zdarzyło się coś ważnego, coś co znowu zmieniło mój krajobraz. Tym razem ten cień obok światła stał się trochę bardziej przyjazny, oswojony. Dolina – żyzna i zielona.





## Spotkanie trzecie – magia wcielona

Gdy miałam zaś 22 lata, spotkałam Śmierć dosłownie. Było to najdziwniejsze ze spotkań, jakie przeżyłam. (Przeżyłam!) Były wakacje, gdzieś jechałam, „łapiąc stopa”. Ciepło, słońce, lato, młodość. To dziwne spotkanie właściwie zaczęło się wcześniej – gdy jechałam pociągiem do miejsca, z którego dalej ruszałam. Pociąg relacji Warszawa – Koszalin zapelniony po brzegi, całą noc stałam na korytarzu, czasem siadałam i przysypiałam, i cały czas nie opuszczało mnie nieznanne, nienazywalne odczucie. Było to fizyczne doświadczenie dziwnej, namacalnej pustki dookoła mnie, jakiejś czerni – granatu, mgły. Przestałam móc wiedzieć moje życie, jak toczy się dalej. Nie umiałam sobie wyobrazić kolejnego dnia, jakby otaczała mnie nagle jakaś dziwna bariera, ciężka zasłona, za którą nie mogę zajrzeć. Pustka, zasłona i nagły brak światła oraz jutra – tak mogę to określić.

Dzień później stoję na skrzyżowaniu, obok cmentarza, macham, próbuję zatrzymać samochód. Mija godzina, półtorej. Zatrzymuje się samochód osobowy. Poza kierowcą – pusty. Podchodzimy do niego – nie byłam tam sama, to nie jest tylko moja historia. Mężczyzna otwiera drzwi. W średnim wieku, łysiejący, koszula w kratę, dość schludny, lekko opalony, uśmiechnięty.

Pytam: dokąd gdzie jedzie? W naszym kierunku. Uff, świetnie.

Czy możemy wsiąść?

– Nie – odpowiada. – Dlaczego? Mężczyzna ogląda się za siebie, patrzy na tylne siedzenie samochodu. Ja tam widzę tylko kilka pustych kartonów, mnóstwo wolnego miejsca. Patrzy dłużej chwilę. Jakby liczył? Oceniał?

– Nie, ten samochód jest już pełen, nie mogę Was zabrać, nie zmieścicie się tym razem... – mówi i uśmiecha się ciepło.

Wtedy to poczułam. Dreszcz tajemnicy na plecach, przerażający, nieunikniony. Z góry na dół, wzdłuż kręgosłupa. Gdybym była mądrzejsza i lepiej umiała czytać znaki – wiedziałabym, że należy się odwrócić. Ale jak doświadczenie pokazuje – pewne nieuchronność i nieodwracalność są nieuchronne i nieodwracalne. To tak jak Orfeusz w Hadesie, co

zawsze mnie zastanawiało – czemuż on się odwrócił? Tylko jeden mały krok dzielił go od innego przeznaczenia. Mnie wtedy też? Być może. Nie odwróciłam się w każdym razie, zostałam.

Zapytałam: „zemu w takim razie się pan zatrzymał?”

Mężczyzna wysiadł, skierował się w stronę cmentarza. I rzucił: „Zatrzymałem się, żeby obejrzeć mój nagrobek”. Podeszedł do ogrodzenia, popatrzył, powiedział, że mu się bardzo podoba. Atmosfera była coraz dziwniejsza, coraz bardziej niesamowita i groteskowa – pełnia lata, upał, i ten dziwny mężczyzna, który twierdzi, że pusty samochód jest pełen...

Za chwilę wsiadł i pojechał.

Natychmiast zatrzymał się kolejny samochód, młoda dziewczyna kierująca pojazdem chętnie nas zabrała. Pół godziny później miałyśmy straszny wypadek samochodowy, z którego wyszłam – cudem, ledwo, ledwo. Nieprzytomna przez kilka dni, ze złamanym kręgosłupem, połamanymi żebrami, pękniętą czaszką, pokiereszowaną twarzą – obudziłam się parę dni później. Miałam zanik pamięci krótkotrwałej – nie pamiętałam kilku dni przed wypadkiem oprócz tych dwóch rzeczy – te zaś wybijały się w mojej świadomości jaskrawo – to dziwne odczucie z pociągu, i jeszcze dziwniejsze spotkanie.

Wypadek przeżyłam, choć wiem, że wtedy najcieniej, najbliższej było między mną – życiem, i mną – śmiercią.

Kim był ten dziwny mężczyzna?

Na szczęście nie byłam sama, mam świadka tego zdarzenia, który pamięta je identycznie. Inaczej mogłabym mieć wrażenie, że to maligna z powypadkowej śpiączki. Jak się obudziłam wiedziałam, że to cud, że nie wsiadłam do jego samochodu, że nie chciał nas zabrać. Tego dnia samochód już był pełen, inni już nim jechali. Kim był? Śmiercią, jej wysłannikiem. Najwyraźniej.... Mój znajomy terapeuta i przyjaciel, odwiedzający Polskę Gary Reiss, gdy opowiedziałam mu tę historię, stwierdził, że to spotkanie było o przekraczaniu dualizmu, takie nagłe albo – i – albo. Pusty samochód, a pełen, mężczyzna żywy, a ogląda swój nagrobek w zachwycie, Życie a Śmierć, a jednak Życie, wszystko razem. Dotknęłam tajemnicy bardzo namacalnie.

Wstrząsnęła moim fizycznym bytem i psychicznym. Z fizycznymi konsekwencjami wypadku idę przez życie cały czas, i już niezmiennie. Gdy bólem odzywa się złamany niegdyś kręgosłup – zadaję sobie pytanie – jak ma się we mnie to co w życiu najważniejsze? Mój kręgosłup? Czy to co najcenniejsze jest nieugięte? A może czemuś się jednak sprzeniewierzam? Gdzie moja moc?

Emocjonalnie spotkanie i wypadek również wryło się we mnie. Już wiedziałam – nie jestem niezniszczalna i wieczna. Jednocześnie – jestem niezniszczalna i wieczna.

foto: Iwona Jędrusik





### 3 lata później, spotkanie czwarte

Mam 25 lat, zaczyna chorować moja Mama. Ukochana Mama, ciepło, miłość, opieka, wsparcie, bezpieczny domek, ktoś kto zawsze jest po mojej stronie.

Mama umiera.

A potem ja – wiele miesięcy.

Jest we mnie wielki bunt i niezgoda, wściekłość. Tak wielka, że moja miesięczna krew przestaje płynąć. Przyczyn medycznych – brak. Z mozołem uczę się więc rozmawiać z własnym ciałem i krwią. Uczę się, że krew to przepływ, życie to przepływ. Również mijanie.

Gdy wykrzykuję już całą niezgodę, gdy poddaję się tym naukom – krew wraca, zaczyna płynąć.

A ja, jednej z przeplakanych nocy, mam sen.

Jestem w kobiecym kręgu, spotykam się na środku z duchem, wielkim, potężnym. Mierzę się z nim, pieśnią. W nagrodę on proponuje, że spełni moje trzy życzenia lub odpowie na moje trzy pytania. Mówię, że wystarczy jedno pytanie i jedno życzenie. Pytanie – czy jestem na właściwej drodze rozwoju duchowego? Odpowiada, że tak (uff...). Moje życzenie – na jedną chwilę zobaczyć się z Mamą. On podchodzi do

mnie, kładzie mi rękę na oczach, i zabiera ze sobą. Czuję to bardzo wyraźnie fizycznie – pędzimy dokądś. Gdy zdejmuję rękę, otwieram oczy i jestem TAM. Wszędzie dookoła złote światło, biały kolor, długie łagodne schody. I mnóstwo ludzi, płynących po schodach, ubranych na biało. W jednej z osób rozpoznaję Mamę. Opiekuje się małymi, jeszcze nienarodzonymi dziećmi. Podpływa do mnie, jestem szczęśliwa, że ją widzę. Jest spokojna. Gdy mnie mija, mówi „Agusia, ja odeszłam”. Wiem, że to oznacza, że nie mogę tam być, to nie moje miejsce. I, że mam pozwolić jej odejść. Wiem też, że jest jej dobrze.





Obudziłam się ukojona. Sen – nie sen. Byłam tam. Czułam to fizycznie. Złote światło. Dobre miejsce.

Za Mamą tęsknię każdego dnia. Przywołuję ją, czasem czuję. Jest we mnie. Wiem, że to moje ograniczenie, gdy czuję się sama. Buduję więź z moimi Przodkami. Wiem, że są.

### Dzisiaj, spotkanie piąte

Mam 39 lat, za sobą rok zmian. Zaczęły się od snów. Śniło mi się, że umieram, że został mi rok życia. Kilkakrotnie. Można się zaniepokoić.

Tym razem Śmierć poprzez sny zatrzymała mnie. Za świeżo, by wiele pisać, niemniej jej senny oddech na karku po raz kolejny przejął mnie dreszczem. Zatrzymałam się. Dosłownie, wzięłam długi, trzymiesięczny urlop.

Zapytałam – jaka „ja” musi umrzeć?

Trochę już wiem. Podjęłam decyzje, które odsuwałam. W jej perspektywie ważne staje się to, co jest ważne. Rodzina, najbliżsi, radość życia, taniec. Bliskość, miłość, dzieci. Ta część pracy zawodowej, która uskrzydla – spotkania z kobietami, kręgi, warsztaty. Ze Śmiercią pukającą poprzez sny – *first things first*.

### Trochę psychologii zorientowanej na proces

W praktyce psychologii zorientowanej na proces zakłada się, że co jakiś czas naprawdę mamy potrzebę umrzeć. Bardzo mocno przywiązujemy się do naszej tożsamości, zaczyna nas ona ograniczać, stajemy się jednostronne\_i, skupione\_eni na swoich codziennych małych celach, zapominając o naszym Wielkim Ja. Inaczej – naszej najgłębszej istocie, duszy. Lęk przed śmiercią, fantazje lub sny o niej, traktujemy w pracy z procesem jako wołanie naszej Jaźni, która chce nam przypomnieć, jaki jest głębszy sens życia, jaka jest nasza ścieżka serca, którądy wiesz. To wołanie o transformację, przemianę, porzucenie codziennej tożsamości dla czegoś, co jest głębiej. Czasem nasza dusza musi potrząsnąć mocniej, aby o sobie przypomnieć.

W pracy z procesem nie uciekamy więc, nie próbujemy wytłumaczyć myśli o śmierci – próbujemy doświadczyć tego, co chce umrzeć. Dosłownie proponujemy medytację – praktykę umierania. Wielokrotnie takie doświadczenie moim pacjentom proponowałam, najpierw pracując ze swoim lękiem. Społeczne tabu wokół śmierci, wpojony lęk jest bardzo duży. Za każdym razem były to bardzo piękne, mocne, poruszające, dotykające istoty życia sesje. I tu jest ten paradoks – Śmierć jako sprzymierzeniec, który łączy z żywym życiem. Przypomina o nim. (Zaznaczam jednocześnie, że to jest temat bardzo delikatny, nie rekomenduję takich doświadczeń samodzielnie, a jedynie ze wsparciem doświadczonej osoby, np. terapeutki.)

Chcę jeszcze wspomnieć o jednym, bardzo ciekawym z perspektywy psychologicznej i niezwykle aktualnie powszechnym doświadczeniu – atakach paniki. Trochę napisałam na początku, gdy przywoływałam własne dawne wspomnienie. Ataki paniki są jednym z najczęstszych powodów wzywania pogotowia. Na ogół pojawiają się niespodziewanie, łączą się z gwałtownymi odczuciami fizycznymi – kołataniem serca, bólami w okolicy klatki piersiowej, drętwieniem rąk, bezsennością, na poziomie emocjonalnym zaś – z bardzo silnym, nie do opanowania lękiem przed śmiercią. Powtarzają się często. Lęk, który im towarzyszy, jest ogromny. Najczęściej jest to lęk przed śmiercią właśnie. Jedna z osób opisała to jako odczucie bycia pożeraną przez jakąś wielką siłę. Inna – jako umieranie. Coś umiera, nagle cała tożsamość znika. Gdy zgłębiamy to doświadczenie, okazuje się coś fascynującego – Śmierć jako sprzymierzeniec. Okazuje się, że głęboko, doświadczana początkowo jako zewnętrzna, pojawia się wielka siła, która chce zmiany. Często chce, aby osoba przestała się utożsamiać ze słabością, biernością, brakiem wpływu, a zaczęła doświadczać i wyrażać swoją moc. I to co najbardziej przerażające – staje się momentem pięknej trans-

formacji, spotkaniem z mocą. (Dobra wiadomość – zdarza się, nierzadko, że ataki mijają!)

### Szamani

Dla szamana śmierć to przyjaciel. Sprzymierzeniec. Obserwuje mnie zawsze. Po tych wszystkich spotkaniach – nie mam już co do tego wątpliwości.

Jak pisał Carlos Castaneda:

„Śmierć jest naszym wiecznym towarzyszem. Zawsze przebywa po naszej lewej stronie, na wyciągnięcie ramienia. (...) Ona zawsze Cię obserwuje, aż do dnia kiedy Cię dosięgnie. (...) Śmierć to jedyny mądry doradca, jakiego posiadamy. Kiedykolwiek poczujesz, a ty czujesz to zawsze, że wszystko idzie źle i się rozpada, zwróć się do swojej śmierci i zapytaj, czy to prawda. Odpowie ci, że nie masz racji, że nic się nie liczy poza jej dotknięciem. Twoja śmierć powie ci: Jeszcze Cię nie dotknęłam”.

### Tu i teraz

Mam lat 39. Czy coś więcej o Śmierci wiem niż tamta piętnastolatka zegnająca Dziadka? Niewiele. Nie rozumiem, nie ogarniam. Wiem tyle – nie skontroluję. Nie mam takiej władzy. Tu muszę się poddać. Ta wiecznie zarządzająca, prąca do przodu osoba musi odpuścić. Kompletnie. Wiem, że za każdym razem, gdy o moje Życie Śmierć się otarła – zmieniała je radykalnie. Wstrząsała nim. Za każdym razem – kawałek mnie umierał. Za każdym razem – bolało, nie ukrywam. Wiem, że od lęku – do wewnętrznej wolności to droga. Wiem, że idzie obok mnie. Po lewej stronie.

A może to dzieje się właśnie tak – gdy jest już miejsce w tym samochodzie, Śmierć podjeżdża. Niezbyt luksusowym, ale całkiem wygodnym pojazdem, drzwi otwiera uśmiechnięty, tysiący facet. Jest słońce, ciepło. Wsiadasz w samochód i po prostu jedziesz. Uwielbiam tak jechać – w letni dzień, muzyka gra, i droga przede mną.

Może to się niczym nie różni od innych podróży, po prostu kolejna podróż?



# „Żyję w nadziei, że mogę skoczyć, zanim zostanę zepchnięty”

tekst: Tamara Jurewicz

Popieram wolność i samostanowienie w każdej dziedzinie. Uważam, że o rzeczach tak intymnych, jak śmierć, powinno się móc decydować samodzielnie; niestety, kontekst społeczno-polityczny ma ogromny wpływ na najbardziej prywatne kwestie. Dlatego wprowadzanie rozwiązań liberalnych bez uruchamiania mechanizmów antydyskryminacyjnych, wspierających narażone na nadużycia osoby, często kończy się fiaskiem. Eutanazja, tak jak

aborcja, może być mieczem obosiecznym, ze względu na położenie klasowe, rasowe, płciowe itp. – niektóre osoby mają dostęp do eutanazji jako profesjonalnej usługi medycznej, inne narażone są na naciski ze strony służby zdrowia, by nie „przedłużyć” kosztownej terapii, lub na dramatyczne sytuacje, jak afera pawulonowa. Inną sprawą jest, że przy braku szerokiej społeczno-kulturowej akceptacji dla eutanazji – nawet ludzie o dużych zasobach finansowych mogą

jej dokonać jedynie w warunkach zepchnięcia w szara strefę – przedstawia to gorąco przeze mnie polecany film „Terry Pratchett postanawia umrzeć”<sup>2</sup>. Ośrodki „Dignitas”, do których podróżują bohaterowie tego dokumentu, umieszczone są w przemysłowych dzielnicach szwajcarskich miast, ponieważ liberalne prawo nie rozwiązuje problemu marginalizacji zjawiska i traktowania go zgodnie z zasadą „nie w moim ogródku”...

ilustracja: Marta Nieznayu



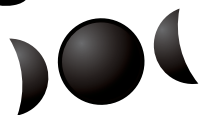
1. *I live in hope I can jump before I am pushed* – cytata z filmu „Terry Pratchett postanawia umrzeć”, patrz niżej.

2. Film można (w wersji oryginalnej) obejrzeć w sieci: <http://topdocumentaryfilms.com/terry-pratchett-choosing-to-die/>. Sir Terry Pratchett, autor serii „Świat Dysku”, w 2008 roku dowiedział się, że cierpi na chorobę Alzheimera. Od tego czasu zabiega o prawo do wyboru chwili własnej śmierci, między innymi lobbując na rzecz zmiany regulacji prawnych w Wielkiej Brytanii.



# „Saul porwał miecz i upadł nań”

tekst: Magdalena Piekara



Na przełomie marca i kwietnia 2005 roku, w odstępnie kilku dni, zmarły dwie osoby. Jedną z nich była Terri Schiavo, drugą Jan Paweł II. W przypadku papieża, który odmówił leczenia, mówiono o godnej śmierci, przytaczano ze wzruszeniem i szacunkiem jego ostatnie słowa („Pozwólcie mi iść do domu Ojca”), będące być może prośbą skierowaną do lekarzy. W przypadku śmierci Terri dość często padały oskarżenia o morderstwo dokonane w świetle prawa. Dwa lata po jej śmierci, nawet już po ogłoszeniu wyników sekcji zwłok, które powinno chyba pomóc w zakończeniu całej dyskusji, w specjalistycznym polskim serwisie internetowym („Medycyna Praktyczna” 2007/1) ukazał się tekst dr Andrzeja Musiała, który kończył się następująco:

„Nie można jednoznacznie stwierdzić, że stan wegetatywny Terri Schiavo był całkowicie nieodwracalny; zdarzały się bowiem wybudzenia z takiego stanu, opisane w medycynie przynajmniej w kilku przypadkach. Powyższe wnioski powinny być uwzględnione w dalszej dyskusji nad ewentualną kwestią zalegalizowania eutanazji w Polsce. Z przeprowadzonej analizy casusu Terri Schiavo widać, że wiele argumentów, które przytacza się szczególnie w prasie i telewizji, a które miałyby usprawiedliwić eutanazję jako »godną i dobrą« śmierć, nie ma uzasadnienia w rzeczywistości, ale jedynie służy do przeforsowania subiektywnych zamierzeń i przekonań”.

Nie mam pojęcia, jak Terri miała się wybudzić, skoro jej mózg nie pracował (sekcja ujawniła, że ważył jedynie połowę średniej masy tego narządu – kora mózgowa była zaś prawie pozbawiona neuronów), jednakże nie to w wypowiedzi lekarza jest najważniejsze. Znacznie istotniejsze jest autorytatywne stwierdzenie, co należy uważać za

właściwe, dobre i etyczne. Gdy przyjrzymy się dokładniej okolicznościom śmierci Amerykanki i Polaka, dość szybko zauważymy, że współczesna dyskusja o eutanazji często opiera się właśnie na autorytatywnych, apriorycznych stwierdzeniach, których podstawą jest dyskurs *stricte* religijny. Oczywiście trudno porównywać dwa przypadki śmierci, bo w jednym przypadku mieliśmy do czynienia z bezspornym wyrażeniem woli, w drugim zaś tylko z zapewnieniami męża o woli samej Terri, jednak nasuwa się pytanie: dlaczego w jednym przypadku mówimy o godności, wyborze i poddaniu się woli boskiej, w drugim zaś – o zanegowaniu tejże woli, o nadużywaniu prawa itp. Oczywiście, w tym miejscu katoliczka czy katolik powiedziałyby mi, cytując chociażby wypowiedź prof. PAT, dr hab. Tadeusza Biesagi SDB, wykładowcy w Katedrze Bioetyki Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, że:

„O ile to możliwe, należy wyraźnie odróżniać uśmiercanie z litości (czyli eutanazję) od rezygnacji z uporczywej terapii. Przeciwstawienie się eutanazji nie jest zatem opowiadaniem się za stosowaniem nadzwyczajnych, nieproporcjonalnych środków terapeutycznych, za podjęciem uporczywej, bezowocnej terapii” („Medycyna Praktyczna” 2005/11).

Czuję swąd relatywizmu, tak ochocho potępianego przez katolickich hierarchów. Jeśli dobrze rozumiem różnicę w świetle etyki chrześcijańskiej, to w przypadku śmiertelnej choroby Karola Wojtyły mieliśmy do czynienia z rezygnacją z uporczywej terapii, zaś w przypadku Terri – odłączenie sztucznego odżywiania było eutanazją. Papież nie dostał kolejnej kroplówki – jednocześnie wszyscy z jego otoczenia, zebrani wokół łóżka, nie przeżywali żadnego konfliktu teologicznego i etycznego – zaś rozhisteryzowani dziennikarze mogli ze

łzami w oczach mówić o jego godności i człowieczeństwie. Terri, która nie mogła się wypowiedzieć sama, umierała przez wiele lat, odłączana i podłączana na powrót do aparatury (trzykrotnie), a świat wokół niej dyskutował, czy to jest godne, słuszne i sprawiedliwe, bo życie jest święte, bo zabijając nie wolno, bo cierpienie uszlachetnia...

W *Pierwszej Księdze Samuela* (Biblia Gdańska, 1 Sm 31; 4-5) opisana została śmierć króla, teścia króla Dawida: „4 I rzekł Saul do wyrostka swego, który nosił broń jego: Dobądź miecza twego, a przebij mię nim, by snać nie przyszli ci nieobrzezańcy, i nie przebili mię, a nie czynili igrzyska ze mnie. Ale nie chciał wyrostek jego, bo się bardzo bał. Przełoż Saul porwał miecz i upadł nań. 5 A widząc wyrostek jego, iż umarł Saul, padł i on na miecz swój, i umarł z nim”.

Król Saul wiedział, że zabici zostali trzej jego synowie, że przegrał bitwę. Z jego świata nie ocalało nic. Nie jest wielkim władcą, nie jest dumnym ojcem, nie jest wielkim wojownikiem. Został sam, dokonuje wyboru, o którym czytamy w Starym Testamencie. Saul chce zakończyć życie na własnych warunkach, nie chce być ponizany, wyszydany i lżony przez wrogów. Chce mieć pewność, że coś nadal zależy od niego, od jego woli, od jego decyzji. W *Pierwszej Księdze Samuela* nie ma słów potępienia, nie dowiadujemy się z biblijnego tekstu, że Saul popełnił wielki grzech. Nie uważają tak także jego poddani, którzy zdejmują ciało króla z murów Betsan i palą miasto wroga. Następnie zaś grzebią szczątki władcy i jego synów, a na znak żałoby poszczą siedem dni. Najwidoczniej w czasach powstawania tekstu takie zakończenie życia było uznawane za honorowe i właściwe, stosowne. Żaden z późniejszych kopistów nie dodał komentarza do tego fragmentu, nie zmie-



nił sensu pierwotnego zapisu. Według Biblii człowiek, stworzony przez Boga, ma wolną wolę. Tak jak Saul...

Z dobrodziejstwa wolnej woli, w obliczu własnej śmierci, mógł skorzystać Karol Wojtyła. W imieniu Terri głos musiało zabrać społeczeństwo w osobach sędziów. Mieli oni udzielić tej kobiecie

przywileju człowieczego, o którym pisał Henryk Elzenberg, etyk: „Samobójstwo jest tą rezerwą, tą ostatnią linią obronną, stanowiącą dla nas rękojmię, że poniżej pewnego punktu poniżenia, upokorzenia, rozbicia wewnętrznego, nikt i nic nas zepchnąć nie może. Świadomość, że zawsze można popeł-

nić samobójstwo, to nasze kryte tyły w walce życiowej. Zupełnie inaczej można się wtedy ustosunkować do każdej sprawy. Życie nie tylko jest spokojniejsze, ale i o wiele piękniejsze”.

Każda\_y z nas jest Saulem, jego bezimiennym giermkim, Janem Pawłem II, Terri Schiavo... Musimy o tym pamiętać.

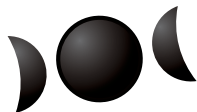
ilustracja: Marta Nieznayu





# Prawo do eutanazji w praktyce

tekst: Mijke van der Drift, Holandia  
tłumaczenie: Agnieszka Weseli/Furja



Eutanazja to prawo<sup>1</sup>. Szczególnie teraz, kiedy coraz powszechniej wchodzi w użycie technologie, które są w stanie utrzymać nas przy życiu dłużej niż nasze ciała, powinniśmy\_iśmy być w stanie wybrać moment naszej śmierci. Powinniśmy\_iśmy mieć prawo do przekazania tego wyboru komuś innemu na wypadek, gdybyśmy – na przykład będąc w śpiączce – nie mogli\_li zdecydować o sobie. Myślę też, że odpowiednie prawodawstwo powinno iść w parze z edukacją publiczną w zakresie podejmowania etycznych decyzji. Etyczne decydowanie to jedna z najtrudniejszych rzeczy w życiu. Dlatego właśnie należy więcej uwagi poświęcić wyposażeniu wszystkich obywateli\_li w odpowiednie psychiczne i emocjonalne narzędzia. Odpowiedzialnością państwa jest dostarczenie narzędzi (np. edukacja) oraz ochrona

naszych decyzji (np. przez ograniczenie mowy nienawiści).

A teraz praktyka. Moja przyjaciółka, matka pięcioletniej córeczki, musiała wybrać eutanazję. Umierała – i mogła albo umrzeć z czyjąś pomocą, albo kilka tygodni później, wyjąć z bólu. Rak zajął wszystkie jej wewnętrzne organy. Wybrała eutanazję, więc miała możliwość pożegnać się córką i umrzeć spokojnie. To było bardzo trudne, ale mogliśmy\_liśmy zorganizować pożegnalny rytuał, pasujący do naszego życia, jej życia, naszych emocji i kształtu jej rodziny (była lesbijką, samodzielną matką, a jej dzieckiem miała się zaopiekować była partnerka z obecną dziewczyną). Przed wszystkim dzięki eutanazji mogliśmy\_liśmy wszystkie\_cy jakoś przeżyć ten straszny okres, w którym młoda, ledwie trzydziestoczteroletnia kobieta umierała, pozostawiając córkę.

Lekarza, który to zrobił, mogę określić w jeden sposób: to bardzo odważny człowiek. Nie tylko był gotów czekać i czekać, i czekać, ponieważ do ostatniej chwili pacjentka\_pacjent może powiedzieć: „Nie” lub: „Jeszcze minuta”, albo wszystko odwołać, ale przez cały ten czas był przekonany o słuszności swojego działania i oddany. Bardzo dbał o nasze – indywidualne i wspólne – emocje. Kiedy należało, dyskretnie pozostawiał nas same\_ych. I naprawdę o nas dbał. Troszczył się. Być może doszły was słuchy o tym, że w Holandii [pod przykrywką eutanazji] lekarki\_rze zaryniają ludzi. To nieprawda. Pełne\_i poświęcenia, emocjonalnie zaangażowane\_i lekarze (niekiedy) dokonują w naszym kraju eutanazji. Robią to z miłości i z szacunku do pacjentek\_ów jako ludzi.

1. W Holandii eutanazja jest legalna.



# W obliczu Śmierci Miłość świeci jaśniej





Śmierć – Panna Młoda  
Beata Sosnowska



tekst: Tanna Jakubowicz-Mount

*„Sednem życia i śmierci jest miłość,  
a miłość jest nieśmiertelna.”  
„W obliczu śmierci bezcenny jest  
każdy gest miłości.”  
Sogjal Rinpoche*

Nie jestem specjalistką tanatolożką (choć zbieżność nazw pewnie nieprzypadkowa), ale sprawa śmierci stała się ostatnio bardzo żywa w moim życiu. Nie chce jednak traktować tego tematu śmiertelnie poważnie i epatować swoją wiedzą, lecz raczej dzielić się swoimi doświadczeniami, pytaniami i poszukiwaniami. Jednym z moich najważniejszych pytań jest: „Co mogę zrobić, żeby ludzie przestali zabijać życie?” Pojęłam, że lęk przed śmiercią jest największym siewcą zniszczenia i śmierci. Śmierć jawi się jako przerażający koniec i pustka. Jedną z moich intencji jest przekształcanie lęku przed śmiercią w głęboką miłość do życia. Sogjal Rinpoche, autor *Tybetańskiej księgi życia i umierania*, powiedział: „Sednem życia i śmierci jest miłość, a miłość jest nieśmiertelna”. To znaczy, że prawdziwą naturą życia i śmierci jest uniwersalna energia miłości, z której życie się rodzi i do której powraca. Lęk przed śmiercią wynika ze złudzenia oddzielenia od tej życiodajnej, duchowej przestrzeni, oderwania od Całości Istnienia, od prawdziwego źródła życia. Odcięte od korzeni życie zamiera w strachu, samotności i spazmach chwytania wszystkiego z zewnątrz, żeby jakoś wypełnić straszliwą pustkę, zagłuszyć lęk. Wierzę, że kiedy poczujemy znów w sobie mocny puls źródła, przestaniemy zabijać życie.



## Rytuały śmierci symbolicznej

Boi się śmierci ta\_en, kto nie widzi swojego odbicia w lustrze świetlistej pustki. Śmierć jest tajemnicą, znaną wtajemniczonym. Jest wielką niewiadomą. Dlatego człowiek stara się zająć śmierci w oczy, przejść inicjację śmierci za życia. Najpiękniejszym darem rytuału śmierci jest roztopianie złudzenia odrębności i stapianie się z naszą prawdziwą naturą, świetlistą pustką.

Nasi przodkowie odprawiali obrzędy Dziadów, biesiadowali na grobach, karmili duchy. Indianki\_ie w Ameryce Środkowej i Południowej też uczują ze zmarłymi. Latynoski\_i nie boją się śmierci; karnawał śmierci jest dla nich radosnym przeżyciem. Oni żyją z duchami przodków na co dzień, rozmawiają z nimi; wierzą, że umarłe\_li towarzyszą nam we wszystkich życiowych sytuacjach, czuwają i doradzają. Gdy chowają swoje\_ich zmarłe\_ych, nie rozpaczają i nie lamentują. Odprawiają bliskie\_ch wierząc, że przecież one\_i nie odchodzą. Życie i śmierć tańczą w wiecznym uścisku. Teraz prowadzi życie, ale już za chwilę poprowadzi śmierć. Oddzielenie między życiem i śmiercią jest umowne.

Toltecki\_kowie, starożytne\_i mędrzynie\_cy z Ameryki Południowej, wierzyli, że na naszym lewym ramieniu siedzi śmierć, najlepsza towarzyszka i doradczyni. Przypomina, jak cenne jest życie w obliczu śmierci. Zupełnie inaczej dzieje się w naszej zachodniej kulturze. My się śmierci boimy, ukrywamy ją, lekceważymy, wyrzucamy ze świadomości. Gdy tracimy najbliższe\_ych, przeżywamy dramat. Chcemy je\_ich zatrzymać przy sobie, głośno rozpaczamy. Skupione\_eni na sobie, na swoim bólu, utrudniamy bliskim ich proces umierania, przechodzenia przez bramę śmierci.

W Tybecie towarzyszy się umierającym w sposób spokojny i całkowicie skoncentrowany, życząc, aby inicjacja w krainę śmierci była jak najgłębszym, jednoczącym doświadczeniem, podnoszącym na wyższy poziom świadomości.

Tybetanki\_ńcycy wierzą, że wzdłuż kręgosłupa biegnie główny kanał, którym przepływa energia świa-

domości. Zaawansowana praktyka świadomego umierania o nazwie *phowa* umożliwia ujęcie świadomości z ciała poprzez otwór na czubku głowy.

## Ostatni rok mojego życia

W okolicach moich kolejnych urodzin Rick Jarow, mój nadworny astrolog, spojrział w mój horoskop i powiedział: „Wygląda to tak, że masz ten rok na dopełnienie rodzinnej karmy, a potem nie masz wyboru – musisz zrobić to, co do ciebie należy”. No dobra, myślę sobie, to znaczy ten rok skończy się 29 czerwca 2004 roku.

W dniu moich 57. urodzin, pilnując domu i psów mojej przyjaciółki, znajduję książkę Stephen’a Levine’a z z i postanawiam, że ten rok właśnie będzie ostatnim rokiem mojego życia. Chcę uzdrowić to, co pozostało do uzdrowienia, i wyjść poza dramat mojej osobistej historii.

## Pochówek Wojownika

I mam dzikie szczęście, bo z Meksyku przybywa z odsieczą Victor Sanchez, spadkobierca starożytnych Tolteczków, ze swoim warształem, którego zwieńczeniem jest Pochówek Wojownika. Kopiemy własnoręcznie grób na szerokość i długość ciała i 10 cm od nosa do krypty z gałęzi i płachty przysypanej ziemią. Na pierwszej łopacie darni pojawia się jaszczurka – żółta w brązowe kropki, zwinięta w kłębek. Rozwija się, okrąża miejsce na grób, zatrzymuje się i znika. Czytam w księdze wróżb – jaszczurka to pani śnienia – pomaga wejść w sferę ciemności i ujrzeć cień rzeczywistości, przejawiony w snach i wizjach.

Cały dzień przygotowujemy się do wejścia do grobu. Trzeba przysposobić się duchowo do umierania. Napisać testament z ostatnim przesłaniem do swoich bliskich, rozdać wszystkie swoje doczesne dobra. Najważniejsze są jednak intencja i prośba do Matki Ziemi.

Zwracam się do Matki Ziemi, aby pomogła mi oczyścić moje serce ze wszystkich pozostałości – warstw błota i skamielin – lęku przed odrzuceniem i zranieniem, gniewu i złości, nadmier-

nej kontroli jako ochrony przed nagością, przed nieoczekiwanym, bolesnym, nieznanym. Pragnę zrzucić wszystkie zasłony między sobą a innymi. Chcę uwolnić energię miłości, aby popłynęła jasnym strumieniem. Jeszcze tylko ostatnia spowiedź wobec Dziadka Ognia, który wg Tolteczków\_ków jest najstarszym żywiołem. Rozmawiam z nim jak z prawdziwym dziadkiem, którego nigdy nie miałam. Ofiarowuję mu moje postanowienie puszczania całej kontroli i poddania się temu co się pojawi i niech tak się stanie – *así serra*.

Życzliwy kolega z sąsiedniego grobu pomaga mi wejść do środka i zasypuje. Boję się, że się uduszę, ale oddycham z ziemią. Zaczynam prosić Matkę Ziemię, żeby przyjęła moje lęki, płacze, czuję jak otwiera się źródło i rozpuszcza grudy bólu. Czuję, że pragnę otworzyć się na moją matkę, głęboko ją zrozumieć i wybaczyć. Ale najpierw pojawia się moja mała dziewczynka, godna, krzyżąca w nocy z przerażenia. Słyszę bębny, biorę ją w ramiona i tańczę, a jej smutna buzia rozjaśnia się uśmiechem. Za chwilę już widzę moją matkę jako małą dziewczynkę z misiem i lalkami, która wzbudza we mnie mnóstwo współczucia i miłości. Przecież jesteśmy tym samym dzieckiem, ja noszę w sobie jej lęki i jej pragnienia. Docieram do sedna tego, co nas różni: jej strach przed byciem rozpoznaną jak Żydówka, jej ukrywanie się i ograniczanie mojej spontaniczności, żeby mnie też nie rozpoznano. Ten strach jest wyryty w jej ciele, pamięci, w jej sercu. Dociera do mnie, że ona musiała się ukrywać, żeby ocalić życie, a ja muszę się ujawnić, żeby ocalić duszę. Pragnę pochować moje dziecko, naznaczone piętnem wojny. Niech mu ziemia lekką będzie. Zapadam się w niebyt. Czy to na jawie, czy w półśnie tańczę taniec szkieletów. Otwieram oczy, kiedy bębny nawołują do wyjścia z grobu. Czuję ogromną wdzięczność do Matki Ziemi, że mnie przyjęła tak miłośnie i że dzięki niej mogłam całkowicie otworzyć się na moją matkę. Taniec do wschodzącego słońca i wyznanie wobec Dziadka Ognia pomagają nam się odrodzić i ugruntować doświadczenie nocy spędzonej w grobie.







## Kroki ku Wolności

Po warsztacie cały rok pracuję z małą grupą wg programu Sancheza *Steps of Freedom* – Kroki ku Wolności. Victor wyłożył nam swoją filozofię: śmierć to nie przeciwieństwo życia, śmierć to przeciwieństwo Ego, które udaje, że jedyną rzeczywistością, ale boi się, bo wie, że podszyte jest nicością. Dlatego zużywa tyle energii na tworzenie swojego wizerunku i obnoszenie go jako swojej prawdziwej twarzy. W rocznym treningu chodzi o rekapitulację – przepracowanie i uzdrowienie wszystkich relacji i powiązań z całego życia, uwolnienie się od wszelkich uzależnień, nawyków i innych energochłonnych schematów myślenia i działania. Jednocześnie podążam za wskazaniem Levine'a, aby uwolnić się od lęku przed śmiercią.

1 stycznia wychodzę do lasu i zostawiam pierwsze ślady na świeżym śniegu. Proszę las, żeby dał mi odpowiedź na pytanie: jak mogę przezwyciężyć swoją samotność, Wiem teraz, że uzbroiłam się w cały ten sztafaż siły, specjalnej roli i rangi, bo nie wierzyłam, że mogę być chciana i kochana po prostu taka, jaka jestem. Przecież nie jestem dość dobra, żeby mnie pokochać, przyjmując mnie całą. Dlatego musiałam poczuć się tak ważna i potrzebna.

Moja nauczycielka Zen Sonia zna mnie od podszewki i wspiera. Powiedziała: „Jak możemy żyć w prawdzie z tym cudownym, wolnym Nie-Ja, jeśli wychodzimy z jakiegokolwiek pozycji? Wierzę, że odnajdziesz siebie w piękny sposób”.

## Wyrocznia Tolteków

I znów po roku pojawia się Sanchez, jestem taka szczęśliwa, że mogę zakończyć ten ostatni rok w mocny, dobry sposób. Moją intencją jest rozstać się z osobistą historią i żyć w zgodzie z moim *medicine* – robić to, co do mnie należy.

Siadamy w kręgu przy Dziadku Ogniu. Victor przygotowuje nas do nocnego czuwania i opowiedzenia historii swojego życia. Pyta, kto chciałaby\_ chciałby czuć i mówić w obec-

ności drugiej osoby. Patrzymy na siebie z Jorgenem i razem podnosimy ręce. Siadamy przy ogniu o świcie, widzimy jeszcze gwiazdę poranną, a dwa kruki tańczą wysoko w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Zaczynamy od przywołania kierunków i okadzenia siebie nawzajem. Jak niesamowicie jest powierzyć swoje życie świadkowi, który jest bratnią duszą i tak pięknie potrafi mnie przyjąć.

Wieczorem Victor wychodzi naprzeciw mojej prośbie o mocną wizualizację i wprowadza nas z muzyką do głębokich podziemi, abyśmy zobaczyły\_li swoje drugie ja, swoją duszę. I zobaczyłam świecące jajo w którym tańczyły spirale światła, a kiedy wyszłam z podziemi, jajo zaczęło gwałtownie się rozszerzać, aż wypełniło cały świat. Kiedy Victor prosił, żeby każda\_y po kolei wyszła\_edł na środek. Po słowach: „To jest moment prawdy, gdybym zdjęła maskę...” staje się coś niesamowitego, bo kręcę się wokół własnej osi i krzyczę, że nie wiem, gdzie się kończę, bo czuję, że się wydłużam i rozciągam się w nieskończoność. Jestem oszołomiona i długo nie mogę wrócić do swojej skóry.

Następny dzień jest pełen pięknej pracy z żywiołami, zostaję ochrzczona wodą z jeziora, pierwszy raz w życiu przyjmuje chrzest i to z rąk kapłana, który modli się i błogosławi mnie w języku swoich przodków. A wieczorem szykujemy się do wyjścia do lasu na spotkanie cieni, ale przedtem Victor zatrzymuje nas, bo usiłuje sobie przypomnieć, co miał jeszcze komuś do przekazania. Patrzy kolejno na każde z nas i w końcu wbija wzrok we mnie: „Już wiem, Tanna ma zrobić *Oracle* (wyrocznia Tolteków), i to przed jutrem”. Jezu, czuję się w dziwny sposób wyróżniona i porażona, ale o nic nie pytam. Znów wstaję przed świtem, przywołuję kierunki, witam wschodzące słońce – Tajau – okadzam się i idę do stodoły, gdzie już czekają Księga i Wyrocznia Tolteków oraz Dziadek Ogień. Karmię Dziadka dobrym tytoniem, zwracam się do niego z prośbą o wsparcie mojej pracy z wyrocznią. Moje pytanie i intencja jest: „Kim jestem i co mam do

zrobienia, zanim umrę? Losuję kolejne karty i powoli, karta po karcie, odsłania się moje przeznaczenie.

Najpierw Ilama, Matka Ziemia, którą polewa się w Szafasie Potów, mówi mi, że muszę oczyścić i uzdrowić moje ciało i udrożnić przepływy energii, żeby przygotować wehikuł do pracy mojego życiowego projektu, który się rodzi z łona Matki, odżywiany przez jej łóżysko.

Następnie Kahullumari, Błękitny Jeleń, niosący księgę mądrości, w której zapisane są nasze zadania w tym życiu. Jeleń wzywa mnie, żebym prosiła o wizję, która pokaże mi ścieżkę serca. Muszę być czujna na znaki Wielkiego Ducha – zawrzeć z nim święte przymierze.

Teraz Takpatl, Krzemień, Krzesiwo – przekazuje, że tylko przebudzona świadomość jest jak lustro odzwierciedlające cały kosmos, pokazujące świętą jedność wszystkiego. Muszę „wyrzeźbić” swoją prawdziwą twarz, żeby widzieć jasno inne\_ych i być przez nie\_ich widzianą.

Teotl, Trzcina, wzywa mnie, żebym była niezłomna na swojej drodze i jednocześnie giętka, poddająca się wiatrom losu. „To, co najlepsze w Tobie, ujawni się tylko wtedy i oświełi świat, kiedy włożysz całą swoją pasję w to, co Cię naprawdę obchodzi, w to, co kochasz.” Mówi mi: „Szybciej niż myślisz iskra ducha zapali ogień Twojej pasji i zaczniesz walkę swojego życia”.

I w końcu karta serca – świętego środka mojej wyroczni – Tatewari, Dziadek Ogień!

W tolteckiej kosmogonii pierwszy był ogień, nie słowo. Iskra ognia jest energią, która stworzyła Wszechświat. To pierwsza manifestacja Jedności. Symbol starszyny: mądrości, mocy i potencji. To najmocniejszy i najmądrzejszy sprzymierzeniec, jakiego mogłam uzyskać. Dziadek towarzyszy mi w moim procesie dorastania do spełnienia misji mojego życia. Z wdzięcznością dokładam do ognia dwie pasujące do siebie kłody. Spalając się, tworzą paszczę pierzastego węża. Ujawnia się w pełni to, o czym marzyłam. Stworzę ośrodek – Kuźnię Serca – a Dziadek będzie palił w piecu i pomoże mi przekućwać przemoc w moc tworzenia.



Po tym przeżyciu kolejne spędzenie nocy w grobie jest już tylko błogim zespoleniem z Matką Ziemią, pulsowaniem we wspólnym rytmie serca.

### Vision Quest – Poszukiwanie Wizji

Kahullumari chce, żebym poszła na odosobnienie i prosiła o jasną wizję. Napomina mnie: „W swoim sercu trzymaj pytanie: »Jaki sen mnie śni, w co mam włożyć całą swoją energię?«, w swojej praktyce zawsze pytaj: »Jak mogę dać więcej światła światu«”.

Więc idę w góry, bo tak się składa, że Vision Quest jest zwieńczeniem roku naszej pracy. Wybieramy Kotlinę Kłodzką, bo tam mieszkają nasi przyjaciele i miejsce jest oswojone.

Szukam dla siebie dobrego miejsca, żeby siedzieć 3 dni i 3 noce bez wtrętów cywilizacji, i decyduję się na nasze kobiece miejsce z Szałasem Potów, bo bardzo chce siedzieć nad rzeką. Mała polanka pod lasem, pełna fioletowych ziemowitów – zakwitają w naszym Szałasie Potów i wszędzie dookoła.

### Sowa

Ale w nocy przed wyruszeniem śpię w Betlejemce i budzi mnie wołanie Sowy, najpierw z oddali dwa pohukiwania, jedno po drugim – pierwsze proste, drugie bardziej złożone, melodyjne. Nagle słyszę ją bardzo blisko i mocno – usiadła na dachu Betlejemki – coś w samym środku mojego ciała otwiera się na to wołanie.

Sowa – ptak ciemności –  
woła moją duszę  
o przebudzenie,  
o prawdziwe przejawienie.

Moja dusza jest sową wysiadującą w ciemności światliste jajo. Moja dusza jest świetlistym jajem, wysiadywanym w ciemności. Jak światliste jajo za lustrem jaskiniowej komnaty, w którym tańczą spirale, które samo jest tańczącą spiralą, zataczającą coraz szersze kręgi.

Czytam w księdze indiańskich wróżb, *Koło uzdrawiającej mocy*, że: „Moc sowy to jasnowidzenie, widzenie światła w ciemności”.

Przychodzę na miejsce odosobnienia zaraz po świcie, by zbudować krąg z kamieni, rozpalic ogień, swoim zwyczajem okadam się, wzywam strażników i duchy opiekuńcze wszystkich kierunków i buduję ołtarze wschodu, południa, zachodu i północy. Przywołuję Starszyznę – swoje\_ich nauczycielki\_i duchowe\_ych i przodkowie\_ów. Jak cudownie jest być zupełnie samej, nareszcie mogę siedzieć w medytacji do woli, bez dzwonek. I pamiętam, że mam tańczyć święty taniec dla słońca, przelatując fazami medytacji. Taniec ponosi mnie, tracę kontrolę nad ciałem, taniec mną tańczy – rytmy ni to głupka wiejskiego, ni to zwierzęcia. Innym razem wołam Wielkiego Ducha, żeby wskazał mi ścieżkę serca – czuje silny rozbłysk światła w oku, czy mam podążać za światłem?

Codziennie przed zachodem słońca idę nad rzekę, ulubione miejsce pod lipą wielopienną z wielką dziuplą – wagoną – naturalne schronienie. Siedzę i rozpuszczam się w wodzie i spływam jak topielica, twarz i ciało ścierając na kamieniach, aż znikną...

A potem wieczorem wyznaję Dziadkowi, że jestem zmęczona sobą, swoim życiem, chcę oddać Dziadkowi Tanhę – przyczynę mojego cierpienia – głód miłości, nienasycenie, pragnienie bycia zauważoną, ważną, godną podziwu. Już jej nie potrzebuję, odśłużyła swoje. Dziękuję jej za wierną służbę i wkładam do ognia, niech spłonie na popiół. Długo patrzę, jak czeźnie.

Noc zimna jak lód, odzywa się stara rwa kulszowa – myślę, cóż trzeba będzie się wycofać, przecież muszę dbać o ciało, mój wehikuł podróży, ale jakoś przeszło i mogę znów usiąść do porannej medytacji. Nareszcie ciepło, kładę się na słońcu i myślę sobie, że kiedy będę starą kobietą, pójdę przed śmiercią w dzikie ostępy, przestanę jeść i po prostu umrę. Poczułam nagle, że dzisiaj jest dobry dzień, żeby umrzeć. Czuję się naprawdę osłabiona. Chcę robić wszystko jakby ostatni raz w życiu. Uważnie, spokojnie, dokładnie, cierpliwie. Idę do rzeki, umyć się, zmienić ubranie. Ale nie, rozbieram się do naga i kładę na słońcu. I nagle pojawia się wołanie mojej duszy, które muszę wykrzyzczyć z głębi serca i trzewi.

### Pieśń Serca Wojowniczk

Cały świat i całe stworzenie cierpią z powodu oderwania człowieka od ziemi i odcięcia duchowych korzeni.

I właśnie z tego powodu,  
z powodu wielkiego duchowego głodu,  
jak kanibale pożeramy własną matkę!  
Wiecznie głodni, nienasyceci,  
Wyrwamy z brzucha Matki Ziemi  
Całe trzewia i przerabiamy na  
Gadżety, budy i fastfoody.  
Nie musimy zabijać, by żyć!  
By żyć, nam potrzeba Miłości!  
\*\*\*

Powróćmy pod prąd do Źródła  
I ugaśmy nasze pragnienie,  
Ugaśmy ogień trawiący nasz świat!  
Zaprześcimy podbojów i wojen,  
Bo dla wszystkich starczy żywiołów:  
Ziemi, Ognia, Wody, Powietrza.  
Żyjmy prosto i lekko na ziemi,  
Sycąc się światłem promieni słońca  
Bez końca....

A potem dopiero przyszła refleksja...

Najpilniejsza i najpiękniejsza praca, jaka nas czeka, to:

- zespolenie z naszą duchową naturą, która jest tożsama z duchową naturą Ziemi i Wszechświata,
- harmonizowanie i godzenie przeciwieństw w nas samych i tym samym na całym świecie.

Dlaczego ta praca jest taka pilna i piękna?

Otóż dlatego, że przyczynia się do uwolnienia cudownej, twórczej energii życia, która pochłaniana jest przez czarną dziurę w naszej duszy rozłączonej z Ziemią i spalana w wewnętrznym konflikcie.

### Epilog

I znów usiadłam nad rzeką o zachodzie słońca i prosiłam Tajau, Ojca Słońce, o pokazanie mi, jak mogę znaleźć się ramionach Wielkiego Ducha. A on napełnił rzekę świetlistymi refleksami i płynęła rzeka złota, aż wplynęła do królestwa Wakan Tanka, wypełnionego czystym światłem. I tak kończy się moja opowieść o ostatnim roku mojego starego życia.

1 sierpnia 2012





opowiedziała: Grażyna  
wysłuchały: Agnieszka i Ewa  
spisała: Agnieszka

# Prosta historia

Kiedy tata był starym człowiekiem i zachorował na chorobę nowotworową, zamieszkał ze mną. Opiekowałam się nim przez rok. Był coraz słabszy, choć nie cierpiał mocno. Choroba obeszkła się z nim łagodnie. Był osobą bardzo wierzącą i praktykującą, ale potwornie się bał śmierci. Postanowiłam, że oswoję go z nią, żeby mógł spokojnie przejść na drugą stronę. Opiekowałam się nim, gotując, pielęgnując go, ale on też się mną opiekował. Przez ten rok dostałam od niego pakiet miłości i wsparcia, który wystarczy mi do końca

życia. Uzmyslowiłam to sobie dopiero po jego śmierci.

Zacząłam rozmawiać z tatą o śmierci. Przynosiłam do domu książki w rodzaju *Życie po życiu*. Powolutku oswajałam go z tym tematem. Chciałam, żeby zobaczył, że ludzie, którzy byli w śmierci klinicznej, opisują to przejście jako piękne i łagodne. Były też trudne momenty. Na początku tata nie godził się z diagnozą. Pytał, dlaczego lekarze już go nie leczą, tylko dostaje środki znieczulające. Nie miałam żadnej odpowiedzi na takie pytanie. Potem tata się z tym pogodził.

Kiedy był już w dość ciężkim stanie, któregoś dnia stracił przytomność i myślałam, że to już koniec, że on umiera. Wydarzyło się coś niesłychanego. Byłam wtedy w domu z synem i obydwójce zaczęliśmy mówić szeptem, chodząc po mieszkaniu na palcach, czuliśmy się jak w świątyni. To było niezwykle. Dom przepelniony był jakąś cudowną, wręcz mistyczną atmosferą. Tata z tego wyszedł. Zmarł dwa tygodnie później.

Przez ostatnie 3 dni właściwie już prawie tylko spał. Jeszcze wiedział, co się do niego mówi, bo kiedy pytałam, czy chce

foto: Iwona Jędrusik





pić, odpowiadał pokazując oczami, że tak. Drugiego dnia nie przyjmował już napojów. Dostawał kroplówki, ale już nie pił ani nie jadł. Wydawało mi się, że nic do niego nie dociera, ale nadal mówiłam. Powiedziałam, że chce przyjechać jego ukochany wnuk i w tym momencie kącki jego ust się podniosły, uśmiechnął się. Zdałam sobie sprawę, że choć sprawiał wrażenie nieprzytomnego, był świadomy i słyszał to, co mówię. Trzeciego dnia nie wiedziałam, czy coś jeszcze do niego

dociera, czy nie. Przyjechała moja przyjaciółka, żeby się z nim pożegnać. Pocałowała go w czoło, odmówiła modlitwę. Ja nadal o wszystkim mu opowiadałam. Powiedziałam: „Tato, wyjdę z Gosią na kawę i wrócę za godzinę”. Wróciłam po 20 minutach, bo siedziałam na tej kawie jak na szpilkach. Tata zmarł godzinę później. Pomyślałam, że czekał na mnie.

Dość ciężko oddychał, więc podłożyłam mu rękę pod głowę, żeby ją trochę unieść, i w którymś momencie

zauważyłam, że nie ma następnego oddechu. Już nie oddychał. Przez te ostatnie dwa dni tata miał mętne oczy, takie jak czasami mają ludzie nieprzytomni. Kiedy skończył się ten ostatni oddech, a następny się już nie pojawił, tato otworzył oczy bardzo szeroko. Były bardzo błyszczące, tak jakby coś widział, jakby coś nagle zobaczył. To był bardzo dziwny moment. Wtedy, nie umiem tego inaczej określić, jakby mi ktoś wtłoczył nie tylko do głowy, do





umysłu, ale też do całego ciała wiadomość: „Śmierć niczego nie przerywa”.

W momencie śmierci taty nie było ani rozpacz, ani żalu, byłam w czymś pięknym. Tak jakby mnie zagarnęło coś, co jest bardzo piękne i ciche. Cały czas noszę w sobie to, co zostało we mnie wtłoczone w momencie śmierci, tuż po ostatnim oddechu taty. Mam głębokie przekonanie, że śmierć rzeczywiście niczego nie przerywa, że jest łagodnym przejściem.

foto: Iwona Jędrusik



To bardzo silnie we mnie tkwi. Myślę, że zostanie we mnie do końca życia.

Przypomniała mi się śmierć papieża. Pamiętam tamtą atmosferę, ludzi na ulicach. Wszystkie\_cy byliśmy\_liśmy z papieżem, który umierał. Miałam wrażenie, jakbyśmy wszyscy dotykali czegoś, albo jakby zagarniało nas coś transcendentnego, coś dużo większego od nas. To był też czas zadumy, piękny czas. Ludzie byli\_li z papieżem, ale też byli z czymś, co tworzy śmierć. Z czymś wielkim i pięknym.

Kiedy byłam dzieckiem, spędzałam u moich dziadków lato. Któregoś dnia babcia wzięła mnie za rękę, w drugą rękę wzięła gromnicę i poszliśmy do sąsiadki kilka domów dalej. Okazało się, że tam umiera kobieta. Weszliśmy do korytarza. W pokoju, w którym leżała umierająca, był ksiądz, więc nawet rodzina wyszła, ale drzwi zostały otwarte. Wszystkie sąsiadki i znajome klęczały w korytarzu, miały zapalone gromnice, modliły się, śpiewały pieśni. Byłam wtedy paroletnim dzieckiem, ale pamiętam atmosferę czuwania, bycia przy kimś, kto odchodzi, żeby nie odchodziła\_ł sama\_sam. Bardzo mocno to zapamiętałam. Uważam, że to okropne, że odeszliśmy\_liśmy od takich zwyczajów i nie towarzyszymy bliskim, kiedy umierają. Kiedyś to było naturalne, że się szło do umierającej osoby i czuwało.

Czasami rzeczywiście nie ma warunków na to, żeby ktoś do końca był w domu. Czasem chory musi być w szpitalu, bo tylko tam można zmniejszyć jego cierpienie, ale powinny być stworzone takie warunki, żeby rodzina mogła przy nim być. W hospicjum onkologicznym rodzinie wolno przebywać do 21.00. A jeśli ktoś umrze o 21.30? Przecież to jest miejsce, gdzie ludzie odchodzą, dlatego tym bardziej powinny być tam stworzone warunki, żeby umierającym mógł ktoś towarzyszyć. Całą noc. Istnieją teraz „hospicja domowe”. Ja korzystałam z takiego hospicjum. To było dla mnie wybawienie. Raz lub dwa razy w tygodniu przychodziła lekarka – cudowna, taktowna, ciepła, wspinała kobieta. Przychodziła także pielęgniarka, dwa razy w tygodniu. Z domowego hospicjum mogą jednak korzystać tylko osoby z no-

wotworami, a chore\_ry na wszystkie inne śmiertelne choroby, czy też po prostu umierające\_y ze starości, nie mogą liczyć na taką pomoc. Rodziny, jeśli tylko mogą, umieszczają chore\_ych w szpitalu, bo nie są w stanie zapewnić fachowej opieki bliskim. A przecież opieka rodziny i wizyty domowe lekarki i pielęgniarki są tańsze niż opieka szpitalna. Poza tym liczy się komfort chorej\_go, który przebywa w domu.

Boimy się kontaktu z ludźmi śmiertelnie chorymi. Boimy się, bo nie wiemy, jak się zachować. Czasem rzeczywiste może być to trudne. Spotykamy się z lękiem tych ludzi, z cierpieniem, z pretensjami „Dlaczego mnie to spotkało?”, z buntem. Nie znamy na to odpowiedzi, możemy tylko być z tą\_ym człowiekiem. Często chore\_ry zaczynają rozmowę, a my ją ucinamy: „Nie martw się, wyzdrowiejesz”. Umierające\_y mają wprawdzie iskierkę nadziei, że zdarzy się cud i wyzdrowieją, ale z drugiej strony wiedzą też, że umierają. Potrzebują rozmowy o tych rozterkach, ale często zostają z tym same\_i, bo my nie jesteśmy na to przygotowane\_i. Takie rozmowy dotyczą naszych własnych lęków, a przecież wszystkie\_cy przez to przejdziemy.

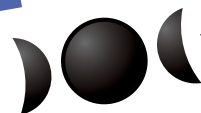
Tak do końca nie wiemy, na ile naszą obecnością pomagamy umierającym odchodzić w spokoju, a na ile to one\_i pomagają nam. Pomagają nam zaakceptować śmierć, zrozumieć, że to nie jest żadne nieszczęście, tylko dalsza droga. Że to jest brama, której nie trzeba się bać. To jest nauka z dwóch stron. Tata bardzo dużo mi przekazał, nauczył. Nie wiem, w jaki sposób. Ja uczyłam jego, ale w tym ostatnim momencie to on mnie w coś włączył, dopuścił mnie do tajemnicy śmierci. Nie umiem tego nazwać, to jest nie do nazwania. Śmierć taty była dla mnie pięknym, głębokim przeżyciem. Dzięki niej wiem, że to jest przejście w coś pięknego, wielkiego.

To jest prosta historia. Opowiadałam ją wielu osobom wiele razy. Myślę o tym, żeby nauczyć się pomagać ludziom przygotowywać się do śmierci tak, żeby mogły\_li pozbyć się lęku i żeby to przejście było dla nich naprawdę piękne i łagodne.



# Choroba i śmierć

tekst: Agnieszka Matyszewska



Ciężka choroba. W moim przypadku była to choroba mamy, zakończona śmiercią. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, dlaczego tego doświadczam. Ale z perspektywy czasu przeżycia te odbieram jako bardzo cenny i bardzo ważny dar.

Zmarła rok po wykryciu choroby, która spadła na nas znienacka – mama nigdy nie chorowała, ona była zawsze tą silną w rodzinie, która wszystkie\_ich trzyma. I nagle musiała zdać się na opiekę innych, zawierzyć lekarzom, rodzinie. Miałam już wtedy dziecko i wiedziałam, że człowiek może dużo poświęcić dla drugiej\_go, najbliższej\_go. Ale sama sobie nie zdawałam sprawy, że może aż tyle. Że może wydobyć z siebie tyle siły, cierpliwości i odwagi, że zdaje test za testem i pokonuje wyzwania za wyzwaniem. Największym wyzwaniem było powiedzieć wprost, sobie i innym, a przede wszystkim mamie, że to już koniec, że śmierć nadchodzi. Złamanie tabu, niby wszyscy już się domyślają, ale powiedzenie tego głośno – po prostu wyzwala. Wszystko staje się jasne i czyste. Słyszę czasem, jak bliskie\_cy rozpaczliwie walczą do końca o drugiej\_go człowieka. Rozumiem to doskonale, ale wiem też, że w którymś momencie trzeba z pokorą złożyć broń i pozwolić tej\_mu człowiekowi godnie odejść. W głębi serca każdy wie, czy i kiedy jest już taki moment. Potrzeba wtedy tylko odwagi i pokory, aby się z tym zmierzyć i uznać, że są sprawy większe niż my.

I po tym głośnym nazwaniu prawdy mama zaczęła umierać – wręcz książkowo, dzień po dniu. Parę miesięcy po śmierci mamy przeczytałam książkę Kto umiera Levina. I wszystko wróciło – pamięć o kolejnych etapach umierania. Najpierw oczyszczanie ciała – chociaż nie mogła jeść od paru tygodni, zażądała lewatywy i nie ustępowała w tym żądaniu, chociaż wszystkim wydawało się bezsensowne. Dokładna kąpiel, zmienianie opatrunków, aby ciągle były czyste. Potem czekała, aż kolejno, każdego dnia, przyjdą do niej ważne osoby, aby się pożegnać. Tak się jakoś złożyło, że przyszły\_li wszystkie\_cy, nawet te\_ci najbardziej odporne\_i. Potem oczyszczanie duszy – zażądała księdza. Ustaliła, że mam po niego jechać o 16.00, a gdy chciałam wyjść wcześniej, bo wydawało mi się, że to już koniec, przytrzymała mnie za rękę i pokazała na zegarek, że to jeszcze nie ta godzina. W sumie to też było zaskoczenie, ponieważ nie chodziła właściwie do kościoła, a okazało się, że zawsze nosiła przy sobie medalik – świadectwo, że każda\_y człowiek jednak dąży swoimi drogami do duchowości.

Na śmierć wybrała moment, gdy akurat nikogo przy niej nie było. Może wiedziała, że nie jesteśmy na tyle dojrzałe\_li, aby przez to przejść razem z nią, a może po prostu wolala być sama. To, że mama umarła, odkryta jej matka. I nagle zaczął się pradawny ry-

tuał pożegnania. Babcia, której o taką wiedzę i moc nie posądzałam, zaczęła wydawać dyspozycje, wszystko miało odbywać się w odpowiedniej kolejności. Babcia układała ciało mamy, mówiąc do niej, a ono samo się poddawało. Czuwałyśmy parę godzin, aż babcia orzekła, że dusza się odłączyła, i dopiero pozwoliła zabrać ciało. Niesamowite, łączące przeżycie, działanie z wyższego poziomu świadomości. Mam wrażenie, że rytuały te są tak naturalne, jak wiedza o tym, jak rodzić. W chwili śmierci drugiej\_go człowieka włączają się automatycznie, aby pomóc przejść mu na drugą stronę. Czasem próbujemy je kontrolować i „cywilizować”, ale stanowi to tylko zaburzenie naturalnego porządku. Tak samo człowiek doskonale zdaje sobie sprawę, że umiera. Jeżeli tylko dane jej\_mu jest odejść łagodnie, czyni wszystkie, powtarzające się przez wieki przygotowania.

Śmierć mamy w swoim czasie był dla mnie dramatem: przede wszystkim było nim cierpienie w chorobie, którego doświadczała. Potem przyszła refleksja, że śmierć, na którą możemy się przygotować, to łaska i mamie dane było takiej łaski doświadczyć. Jak też śmierć w domu, w otoczeniu bliskich, a nie w szpitalu, który tak na dobrą sprawę nie jest przygotowany na odchodzenie ludzi.

Ostatnio najtrudniejsza refleksja – po co była ta śmierć i co zrobić, aby



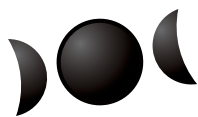
to cierpienie nie poszło na marne. Mama umarła, bo oddała panowanie nad własnym życiem innym ludziom, a przede wszystkim mężczyźnie. Nie dane jej było rozwinąć swoich talentów i darów – miała podcinane skrzydła. Do niedawna myślałam, że idę zupełnie inną drogą, że realizuję siebie, aż do momentu, kiedy runął mur złudzeń i okazało się, że powtórzyłam ten sam los. Trudne, bolesne, ciężkie doświadczenie. Musiałam, i nadal jeszcze

muszę, podejmować decyzje, co dalej. Ulec i poddać się w sumie wygodnemu życiu, ale oddając siebie, czy walczyć mozolnie o każdy przyczótek swej duszy. Poniekąd już podjęłam decyzję. Ale nadal walczę ze strachem, zwątpieniem, zatrzymuję się na tej drodze, jeszcze czekam, może oszczędzone mi będzie tej walki. Ale czerpię siłę z przeżyć mamy, słyszę w duszy jej głos, że to dobry wybór, że ona zapłaciła ogromną cenę za poddanie się.

Niedawno moja córka kończyła 18 lat. Z tej okazji przygotowałam zeszyt, do którego wpisywały się różne osoby, dzieląc się swoim doświadczeniem na jej dalszą drogę życia. Myślałam, że zeszyt jest gotowy, ale w nocy, nie do końca przebudzona, w półśnie, dopisałam jeszcze zdanie „Zamiast unicestwiać siebie, zmień okoliczności, w których żyjesz, masz taką moc – babcia”. W tych słowach objawiła się dla mnie ciągłość trwania i życia.

foto: Iwona Jędrusik





## opiekunka

po 11 grudnia  
zmieściłam się  
w zakrętce  
gęsta i lepka  
syrop ze mnie  
placebo

to ostatni odcinek  
bieg na krótki dystans  
przez białe korytarze

ślalom wśród chorych nóg  
korytarze  
cisza  
nad czasem  
samotność  
przetaczam jej wózek  
przez życie  
przez brudne kałuże

## o ścieleniu łóżek.

Mam  
2 minuty

Szare czerwone  
Wyglądanie  
Zielone  
Ranne obcowanie z kolorami

Po powrocie będzie lżej  
Potem w prawo  
I jeszcze w lewo  
Kolorowe kubki przy schodach.  
Pralka  
Wyciągnąć z gardła  
szarpnąć  
Będzie łatwiej  
sucho  
I w dół.  
Kolorowe kubki  
Woda w czajniku  
łatwiej

Gównu  
nie będzie łatwiej

## ZOL

Anna z szóstki  
białe rozwichrzone włosy  
zmarła nad ranem

wczoraj  
miała jeszcze czas

mgła  
wypełza z sal  
pozostawiając strach  
i wilgoć

telewizor ryczy obrazami

łóżko przy windzie  
obdarte z pościeli  
traci równowagę  
bez kroplówki

pielęgniarka  
pcha łóżko w kierunku ciszy  
iskrzą koła

To się nie rodzi z gniewu  
Nie ze smutku  
Nie z siły

ze zdziwienia

moja matka umiera  
nie modlę się o życie  
jak nikt

umieranie ciągnie się latami  
ojciec pod poduszkę co dzień wkłada duszę  
łóżko zbudowane z jego kości

już nie kocha  
jest stary  
nie pamięta że był kochankiem  
teraz ułatwia umieranie  
to trwa

Maria kładzie książkę na biurku  
Nuda  
Nie będzie czytała  
Nuda  
Nie dobrnie do końca  
Myślę  
Nie warto

Kluska miała wylew  
Kefir od lat umiera na raka  
Tutejszy odszedł  
sam  
Nie warto



### Przychodnia

proszę o rozmowę  
nie proszę o życie  
może o śmierć lżejszą  
o ptaka białego lub chociaż motyla na jej piersiach,  
dla kobiety która nie wiedziała co to nów ale tak pięknie składał ręce  
słowa wylewają się wewnątrz  
powstrzymać tży potokiem słów  
lawiną gniewu  
czy to już to cierpienie wypowiedziane podkrada się

kiedyś  
jeszcze nie dziś cień ściśnie wewnątrz  
mocno tak by słowo nie wydobyło się z ust  
jeszcze uwalniam słowa

gdzie jest  
obca  
co niosła  
jeżeli nic  
jeżeli  
to mnie nie ma.

### Książdz

ja cię proszę o odpowiedz  
proszę mów długo by dać mi czas  
będę słuchała  
zbiorę każdy dźwięk  
będę nosiła torbę z twoimi słowami

przy jej łóżku  
wyciągnę z niej paciorki  
będę  
dotykać  
drżącymi rękami  
nawijać na sznurki  
rózaniec

o co się modlić ?

### Repty Adam

napięcie mięśni  
obrazek erotyczny  
zapach mężczyzny przed piskiem kół  
kropla potu  
drżenie mięśni

wzrok zatrzymuje się w połowie  
dalej nie ma nic  
mężczyzny pełnia  
w połowie  
młodości pełnia  
w całości  
obrazek erotyczny  
w ciasnym korytarzu  
erotyczny wózek sportowy

Śmierć siedzi na ławce  
huśta na nodze motyla  
rano pozbieram połamane skrzydła  
owoce rozpadną się w trawie  
posprzątam

omijam wzrokiem białą ławkę  
szepczę

tu jeszcze ciepło  
w domu chłód  
to ciepła jesień  
jak cię przekonać  
kiedyś zawołam

nie zawołam  
ona nie przyjdzie  
wyniosę jej koce i kołdry  
przyjdzie ciepła zima

poczekamy na nowe kwiaty

nie wchodź  
masz czas

kochanka w żonę  
matka w córkę  
skrzydło w kamień  
rzeka w fosę

czarna



# Kilka słów o śmierci

tekst: Anna Zielińska





Boję się pisać o śmierci. Bo trudno mi się pisać o czymś tak bardzo ważnym, co podchodzi czasem blisko, a czego przecież do końca nie znam. To trochę jak pisać o Bogu. Strach, że każde słowo może okazać się nieprawdziwe. A jednocześnie, kiedy przeglądam swoje teksty i wiersze, to śmierć jest w nich wciąż obecna.

Zaczynam pisać ten tekst, otwieram worek ze wspomnieniami. I nagle, to zdarza się już nie pierwszy raz, Dziecko podejmuje temat, chociaż piszę w ciszy.

foto: Iwona Jędrusik



– Mamo, powiedz coś do mnie! Na mnie popatrz!!!

Patrzę.

– Nie żyję! .....

– Synku, a co to znaczy?

– Mamo, wiem, co to znaczy. Że już na świecie nie ma Tytusa.

Słucham uważnie, ale to już koniec wyjaśnień. Zamyśliłam się. I w tym momencie wielki pluszowy pies ląduje na mojej klawiaturze. To znak, że życie wciąż trwa, bryka, bawi, złości, hałasuje. Życie komunikuje się poza słowami. Myśl o śmierci znajduje drogę z mojego umysłu do umysłu pięciolatka. Umysł tę myśl słyszy wyraźniej od wielu innych. Wracam do pisania, do śmierci, do życia.

Śmierć może być jak telefon w środku nocy. Jak lawa wylana na świadomość o czwartej nad ranem. Jak wstrzymany oddech. Kiedy nie podnoszę słuchawki. W północy nie chcę jej podnosić. Wiem, że bardzo nie chcę tej rozmowy. Najbardziej na świecie nie chcę tej rozmowy. I chwilę potem dowiaduję się, że nie mam Brata. I to znaczy okropnie dużo. I jakby nie znaczyło nic. Bo umysł teraz i tak niczego nie przetyka.

Śmierć jest jak świat równoległy, w którym też jestem. Ja. Jestem na przykład kobietą, matką, mieszkanką dużego miasta, kimś, kto umie pisać po polsku; jestem nauczycielką, studentką, głosem, który śpiewa; jestem kimś, kto się wzrusza i kimś, kto potrafi zranić. Jestem też mężczyzną, kamieniem, oddechem, wodą, dzieckiem, staruchą. Jestem wreszcie tą, która umiera. I to nie jest metafora.

Śmierć może być jak rozstanie z Ojcem przed laty. Może mieć zapach bezradności, szpitala, smutku, strachu. Może wyznaczać rytm drogi przemierzanej co tydzień, żeby potrzywać wędną dłoń i pomilczeć. Kiedy coraz dotkliwiej przychodzi zrozumienie, że ciało jeszcze żyje, a poza tym nie wiem nic. I nawet chciałoby się modlić o cud uzdrowienia albo niecierpienia, albo o cokolwiek.

Śmierć może mieć swoje miejsca na cmentarzach, gdzie w kamieniach żyją litery, układają się w imiona. A głębo-

ko pod ziemią toczy się życie, o którym wolimy nie myśleć. Marmur jest gładki i dobrze zasłania ciemność. Odwiedzam groby i przysięgam, że nie wiem, po co to robię.

W domu często płonie świeczka. Bywa, że ona jest moją jedyną modlitwą. I ten płomień świeczki, i ta modlitwa są jak wołanie bez słów, bez głosu, dokądś.

Śmierć może być obecna w codzienności. Ociera się o moją skórę, zupełnie jakby się łaściła. Jest. Kiedy zabijam komara. Kiedy jem rybę. Kiedy dzwonię piąty dzień do Matki, a ona ciągle nie odbiera telefonu. Kiedy krew menstruacyjna oczyszcza mnie, a wraz z nią odchodzi możliwość początku życia. Kiedy zasypiam i nie wiem, gdzie jestem. A potem rano wracam i nie wiem, gdzie byłam. Kiedy patrzę na Księżyc i przychodzi znowu ta noc, że on gaśnie, cały. Kiedy Syn ma atak duszącego kaszlu, a ja zawijam go w koc i stoimy tak na balkonie, łapiąc oddech i spokój. Kiedy trawa zimą cała gaśnie i czeka długie miesiące, żeby wiosną od nowa się urodzić. Kiedy odchodzą ludzie, co mieli być na zawsze. Idą w swoją stronę i zostawiają tu puste miejsce. Kiedy ja sama odchodzę od siebie, tej, która wydawała mi się jedyną możliwą.

Śmierć może być alternatywą. Tak jak z tym światem równoległym. Żyję i nie żyję. Piszę teraz i słyszę odgłosy miasta. Poruszam dłońmi, oddycham, patrzę, myślę, przełykam ślinę, czuję ciężar siebie, ciepło. Jestem.

Kilka dni temu siedziałam w ciszy, ciemności, bez picia i jedzenia. I gdzieś tam spotkałam siebie na krawędzi. Zobaczyłam tę, która potrzebuje wybrać. Poczułam żal, że życie nie jest dla mnie jedną wielką lekkością. Radosnym darem, zachwytem. Eksplozją energii, działaniem, kreowaniem, ekstatycznym tańcem wśród ziół i kwiatów. Że jest też ta, która zanurza się w ciemność. Śmierć jak jedna ze stron życia. Dla mnie piękna i uwodząca. Wciąż jeszcze nie wiem, co znaczą słowa Don Juana, że śmierć może być wielkim sprzymierzeńcem, ale przeczuwam wartość tej nauki. Coraz bliżej.



# Wszystkie kolory śmierci

tekst: Dagny Agasz

Przyszła do mnie niedawno moja Przyjaciółka, która jest lekarzem onkologiem, chciała się podzielić dziwnymi odczuciami, uznała, że to właśnie ja wiem dużo o dziwnych odczuciach. Zapytała, co wiem o śmierci, bo Ona jako lekarz zna tylko naukową definicję zjawiska, która nic nie mówi o tym, że śmierć można poczuć na długo, zanim się pojawi. Przestraszyło Ją, że wie, kto dzisiaj umrze czy umarł poprzedniej nocy i to uczucie pustki i nieobecności, którego doświadcza, wchodząc do pokoju kogoś, kto niebawem odejdzie.

Pisałam już o śmierci, pisałam... że śmierci nie ma, tylko życie we wszystkich przejawach. Jednym z tych przejawów jest przemijanie.

Doświadczyłam odchodzenia Bliższych Osób, czułam, jak Dzieci umierały we mnie, spędziłam dużą część swojego dzieciństwa na cmentarzach, gdzie moja Ciotka zabierała mnie, żebym pomogła Jej przy myciu grobów. Uczyłam się umierać w czasie buddyjskiej praktyki przeniesienia świadomości w momencie śmierci.

Przemijanie, zmiana, jesień, zima, zachód słońca, noc.

Ktoś właśnie odchodzi, w moim życiu coś się kończy... umiera związek. Umieramy My, On i Ja, wyobrażenia o Nas, Nasza historia. Oczekiwania, plany, marzenia, dom, który tworzyliśmy\_liśmy, codzienność, intymność, tylko nasze rytuały. Smutek, ból rozrywanych więzów, które obrosły żywą tkanką, stały się Nami.

Przywiązanie boli. Na południu Afryki śmierć ma kolor czerwony. Czerwony jak krew, jak zachód słońca, jak ogień, jak jesienne liście, jak pożądanie. Rodzimy się, bo pożądamy. Żyjemy pożądamy... ludzi, związków, rzeczy, władzy, szacunku, miłości. W Chinach na czerwono ubiera się pannę młodą, bo to właśnie ona jest symbolem nowego życia.

Przywiązujemy się do tego, czego pożądamy. Przywiązujemy się do tego, co wydaje się nam, że posiadaliśmy\_edliśmy, przywiązujemy się do życia, odchodzimy... przywiązane\_i. Według buddystów między innymi dlatego się odradzamy.

Kiedy Ktoś/coś, umiera wszystko nieruchomieje, przestaje czuć serce, tak jakby skuł je lód. Jest cicho, tylko ciężkie płatki śniegu pokrywają wszystko bielą.

W niektórych kulturach, na przykład japońskiej, śmierć ma kolor biały. Kolor niewinności i doskonałości. Zima. Kiedy zamrzam, przestaje boleć... jest prawie dobrze, właściwie mogłoby tak pozostać... gdyby nie... wiosna.

I w końcu czarny, mój ulubiony, znajomy, jak mała czarna, kawa o poranku i ziemia, kiedy śniegi stopnieją. Jak noc i ciemność w tonie. Dla niektórych czerń to żałoba bez nadziei, to bezpowrotna strata, to pustka, w której nic się nie odradza. Dla mnie czarny to jeszcze nie koniec, a pustka, to nie nicość, w pustce wszystko się zaczyna, to nieskończony potencjał, wszystkie możliwości.

Czy umrę więc kiedyś naprawdę, czy kiedyś do końca umieramy?

Moja Śmierć ma wszystkie kolory tęczy, może zmieniając się w tęczę, zniknąć cała.



Edyta Bystrow  
2012

czarna



# Neofitka )●(

tekst: Iwona Jędrusik





foto: Iwona Jędrusik

Umieranie – ostatnie tchnienie, światło odbite na źrenicy, stygnące ciepło dotyku i szelest. Dobra śmierć. Co to znaczy dla mojej półprzutomnej matki? Która łapie chwile świadomości i próbuje mnie wyposażyć w ostatnie matczne rady: jakiś przepis na kapustę, jakiś okrucz wspomnienia z naszego bycia, wytyczne, co mam zrobić z rzeczami... i nagle w środku tego szamotania jedno ciepłe spojrzenie – jakbyśmy odnalazły się, matka i córka, po długim rozdzielaniu. To spojrzenie sprawia, że chcę walczyć o swoją matkę w nadziei na miłość. Nie chcę jej oddać, zanim nie przeżyjemy jeszcze raz całkiem od nowa naszego życia wspólnie i bez zranień. A to właśnie teraz trzeba się pożegnać. Co za ironia – myślę.

– Tak, czytałam tyle książek na ten temat, a teraz i tak jestem neofitką. Równie przejętą, co przerażoną, choć gdzieś tam głęboko we mnie jest ziarenko spokoju. Podobnie ostatni ze zmysłów umiera słuch, dlatego do umierających się mówi. Ale co można powiedzieć? Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to słowa ulubionej piosenki mojej mamy, więc zaczynam nucić: „Miłość ci wszystko wybaczy, smutek zamieni ci w śmiech. Miłość tak pięknie tłumaczy i zdradę, i kłamstwo, i grzech. Choćbyś ją przeklął w rozpacz, że jest okrutna i zła, miłość ci wszystko wybaczy, bo miłość, mój miły, to ja”.

Zawsze mnie wzruszała, choć jest tak tandetnie romantyczna. I dotyczy kobiety i mężczyzny. Dlaczego nie ma romantycznych piosenek o matce i córce? Tak, śmierć też jest tandetna w swojej realności, nie ma ostatnich słów, w amoku morfiny nie ma miejsca na pożeganie. Wchodzi pielęgniarka, sprawdza kroplówkę i wychodzi, zamykając za sobą cicho drzwi.

Przychodzi do mnie strach, jestem taka bezradna wobec jej bólu. Czuję go przez cienką skórę jej dłoni, jest taki żywy, taki mocny. Chciałabym uciec, zostawić ją. Zakłąć rzeczywistość jak małe dziecko – to, czego nie widzę, nie istnieje. Ale tylko kiwam się na niewygodnym krześle szpitalnym i zaczynam nucić moje mamie kołysankę: „Były dwie siostry: noc i śmierć. Śmierć większa a noc mniejsza. Noc była piękna jak sen. Śmierć była jeszcze piękniejsza...”

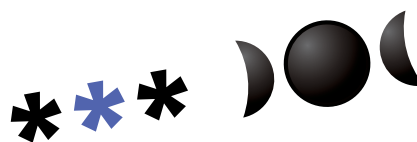
Wydaje mi się, że zasnęła, ale kiedy ściszam głos, widzę, że próbuje otworzyć oczy, więc śpiewam dalej: „Usługiwały te siostry dwie w gospodzie koło rzeczki. Przyszedł podróżny i woła: Hej! Usłużcie mi, szynkareczki...”

Pamiętam, że mama lubiła śpiewać, robiąc coś w domu. Jej głos był taki czysty i nie pasował do tej codzienności. Moja babcia też śpiewała ballady z wieloma zwrotkami, które snuły się jak nić z wrzeciona. Nie pamiętam ani melodii, ani słów. Kolejna strata, biała plama. Nie przerywam kołysanki: „Więc zaraz lekko podbiegła noc, ta mniejsza, wiecie ta modra. Nalała, gość się popatrzył w szkło: Zacny – powiada – kordiał. Lecz zaraz potem podbiegała śmierć podbiegiem jeszcze lżejszym. Podróżny cmok! A kielich brzęk! Bo kordiał był zacniejszy...”

Zasnęła. Zostało kilka godzin do świtu. Siedzę i patrzę zachłannie, jakbym chciała nauczyć się każdego skrawka jej skóry na pamięć.

(fragment pochodzi z książki, nad którą pracuję)





tekst: Iza Desperak

## Babcia

Babcia była jak stare drzewo, które skrzypli. Chorowała długo. Chorowała ciężko, jeszcze zanim urodziła się moja matka. Trafiała do szpitala 12 grudnia 1981 roku i wszyscy kombinowali, jak to zrobić, by nie dowiedziała się tam o stanie wojennym – kolejnej wojny nie przeżyłaby. Gdy zaczęłam ją odwiedzać w szpitalu, byłam w pierwszej klasie liceum. Wróciła do domu, za parę lat wróciła do szpitala, gdy umierała, byłam już dorosłą kobietą, matką całkiem dużej wnuczki, o którą babcia się wciąż dopytywała. Nie pamiętam, jak długo leżała w szpitalu, zanim umarła. O wiele za długo. Szpitale były wtedy oszańcowane godzinami odwiedzin od 16.00 do 18.00. W tym czasie trzeba było wykonać czynności pielęgnacyjne, bo obowiązek ten spoczywał na rodzinie – nieliczny personel być może oszczędzał siły na tych, do których nikt nie przychodził. Wizyta coraz częściej polegała na odkryciu, że kroplówka leje się nie do żyły, lecz obok. Że są odleżyny. Że nikt od wczorajszej wizyty nie zrobił nic. To rodzina miała zapobiegać odleżynom, choć o tym nie wiedziała. To rodzina miała kupić materac przeciwoleżynowy – ale rodzina nie mogła przez te 2 godziny zapewnić wszystkiego, czego potrzebowała nieprzytomna chora, jak choćby obracanie z boku na bok. Nieprzytomnym z odleżynami nie daje się leków przeciwbólowych – „Bo oni nic już nie czują”, zapewniał personel szpitalny. Pamiętam oszalały wzrok – przebłysk przytomności – zgaszony potwornym bólem. Pamiętam, że zwątpiłam wtedy w babciną wiarę w chrześcijańskiego Boga, która kazała jej śpiewać rano „Kiedy rano wstają zorze” i modlić się o to, by śmierć przyszła we śnie. Straciła troje z szóstki dzieci, widziała, jak jej trojaczki mrą z głodu – i wciąż wierzyła, była chodzącą księgą nauki miłości bliźniego. Uważała, zanim straciła na dobre przytomność, że każda y musi nieść swój krzyż. Ale chyba nie przewidziała szpitala. Któregoś dnia moja matka przyszła na swój dwugodzinny dyżur – i zastała puste łóżko.

## Kota

Kota chorowała, cierpiała i rozumiała. Była za stara na kolejne narkozy, więc zostawiono jej dziurkę w powłokach brzusznych, przez którą codziennie ściągałam gromadzący się płyn i którą przepłukiwałam roztworem soli fizjologicznej. Weterynarz podyktował mi proporcje do robienia jej w domu, by nie generować kosztów, ja jednak, zapłakana, przepisu nie zapamiętałam i kupowałam sól przeznaczoną do zakraplania oczu czy nosa. Kota nauczyła się procedury, sama na nią przychodziła, i zachowywała się tak, jakby rozumiała, po co te męki. Co jakiś czas coś nawalało, narkoza, operacja, pełne obaw wybudzenie z narkozy, kołowały kot kręcący się wokół własnego ogona. Któregoś ranka wychodziła jak zwykle na spacer, pękł szew, na półpiętrze znalazłam kota i osobno jego jelita. Zawinęłam wszystko razem w kocyk, zadzwoniłam po taksówkę, w taksówce ona najpierw się rozglądała, jaki ten świat ciekawy, zawsze lubiła jeździć samochodem, a potem popatrzyła nam mnie TAK, że już wiedziałam. Mimo że oferowano nam kolejną operację, wszczępienie kolejnej siatki mającej zastąpić nieistniejące tkanki, która wytrzymałaby może 6 tygodni – poprosiłam o to, by dalej nie cierpiała. Lekarka podała jej łagodny środek przeciwbólowy, potem delikatnie wygoliła żyłastą wychudzoną łapę, by podać lek do żyły. Trzymałam ją w ramionach tak długo, aż uspokoiły się drgania. Płakać zaczęłam dużo później.

Ten wzrok babci i koty przypomniałam sobie, jak sama leżałam na sali pooperacyjnej. Kroplówka dozowała mi w żyłę środek przeciwbólowy, jednak co jakiś czas budziłam się, by odkryć że ja, osoba uczulona na światło, leżę przy niezastoniętym oknie w pełnym blasku słońca. Być może lek przeciwbólowy kołił trochę mój ból pooperacyjny, ale każda próba powrotu do przytomności była uderzeniem bólu. I ten moment wybrała moja rodzina na odwiedzenie cierpiącej. Nie byłam w stanie ruszyć palcem, mrunąć powieką, nie wspominając o wy-

dobyciu z siebie jakiegokolwiek głosu. Córka zobaczyła mój błagalny wzrok – i rodzina powróciła, gdy byłam w nieco lepszym stanie.

Kota  
Marta Zabłocka





## Bieguni

W *Biegunach* Olgi Tokarczuk jest wątek dwojga ludzi, ona była jego pierwszą dziewczyną, on jej pierwszym chłopakiem. Obiecali sobie wtedy, że zawsze,

cokolwiek się zdarzy, będą mogli na siebie liczyć. Kilkadziesiąt lat później on leży pod kroplówką, ona na innym kontynencie pakuje się na drogę. Konstatuje, że już nie ma potrzeby pakować podpasek, zabiera jednak fiolkę z niemożliwym do

wykrycia nawet w czasie sekcji środkiem, o który prosił dawny ukochany. Przylatuje do Polski, wchodzi do szpitala, mówi, że nie trzeba się śpieszyć, ona ma co trzeba, ale poczeka, aż on będzie pewien. On jest pewien, że chce tego teraz.







# Patrząc w Słońce

tekst: Iza Jąderek

„Chociaż fakt śmierci niszczy nas, myśl o śmierci może nas zbawić”<sup>1</sup> – mówi do mnie, uśmiechając się jednocześnie zza swoich słów, Irvin Yalom. I ilekroć, kiedy myśl o Niej powraca, zastanawiam się czy to ja oswajam Ją, czy też to właśnie Ona oswoiła mnie.

Jej cień pojawił się we mnie niespodziewanie, ot tak sobie, chwilę przed Nowym Rokiem. Ułamki sekund sprzed wypadku nadal doskonale tkwią w mojej pamięci i dziś czasem, jak domino, wywołują lawinę wspomnień. Z łatwością przywołuję pierwszy moment zawahania, gwałtowną wątpliwość i nagły, nieoczekiwany spadek sił. A potem, przez jakiś czas, nie było już nic.

Budziłam się długo, bez świadomości siebie i tego, co wokół. Czułam, jak moje ciało walczy ze sobą, nie mogłam się poruszać i wydobywałam z siebie tylko dzikie, gwałtowne dźwięki. Raz za razem przesywał mnie srogi ból, a ja bezskutecznie próbowałam uwolnić się z nieruchomości. Szarpałam w rozpacz sztywnymi nogami, dłonie odmawiały mi posłuszeństwa i oczami wyobraźni widziałam już tylko jęk nieznośnie zmęczonego ciała. Czułam, jak opornie walczę z nieznanym, jak próbuję wydostać się z więzienia własnych ograniczonych ruchów, jak wołam, ale nikt nie może mnie usłyszeć.

Oczy otworzyłam w szpitalu. Byłam naga. Na widok nieznanych twarzy popłynęły mi łzy. Kobieta, której twarzy i głosu już nie pamiętam, pytała o imię i wiek. A ja nie umiałam jej odpowiedzieć. W mojej głowie nie było nic, nie znałam odpowiedzi na żadne zadane pytanie.

I wtedy właśnie pojawił się lęk. Gdzie jestem? Co się stało? Mój stan umysłu i pamięć były absolutnie wyzerowane. Łzy kapały z moich policzków – nigdy wcześniej ani nigdy później nie czułam się tak bezsilna i tak przeraźliwie samotna. Byłam w obcym świecie, w obcym nieruchomym ciele, bez śladu myśli, które dałyby mi szansę na dowód istnienia. Kompletnie poza sobą, bez żadnych wspomnień, żadnych pytań, otaczała mnie pustka głosów i twarzy, które nie wyrażały dla mnie kompletnie nic. Dziś, kiedy piszę te słowa i sięgam pamięcią wstecz, tak jak wtedy, nie potrafię dokładnie nazwać pojawiających się we mnie uczuć. Moje ciało biło na alarm, wykrzywiona w bólu twarz, trzęsące się ręce i gorące krople łez przypominały mi, że jednak jestem.

„Podpisz zgodę na leczenie”, „Wszystko będzie dobrze”, słyszałam zewsząd i zapadłam w sen. Obudziłam się pod tlenem, zmrużyłam oczy, chroniąc je przed światłem szpitalnych

lamp, a po chwili zobaczyłam twarze lekarzy. Powoli wracałam do siebie. Ale ta droga, ku sobie, była już inna.

Znam tylko relacje bliskich, które\_rzy mnie uratowały\_li. Od lekarzy wiem, że kiedy przyjechała karetka, nie oddychałam, moje serce nie pracowało, a masaż serca nie pomagał. W dniu wypisu, w Sylwestra, na kilka godzin przed rozpoczęciem Nowego Roku lekarz gratulował mi szczęścia. Karetka miała przyjechać do mnie w ostatniej chwili.

Nowy Rok spędziłam, „patrząc w Słońce”<sup>2</sup>. Nagle zobaczyłam to, czego widzieć do tej pory nie chciałam, usłyszałam to, co było skutecznie zagłuszone, z uwagą zaczęłam przyglądać się sobie i temu, kim jestem i co tworzę. „Samoświadomość rodzi lęk”<sup>3</sup>, powiada dalej Yalom. W moim przypadku jest to poczucie bezpieczeństwa emocjonalnego w najważniejszej relacji, jaką tworzę – ze sobą, zaufanie, akceptacja, pokora, bycie w pełni tu i teraz. To zadziwienie światem i nowe pytania, które sobie ciągle zadaje. Wątpię, więc jestem. A samoświadomości zawsze mi mało.

Yalom dodaje, że każda\_y z nas nosi w sobie pierwiastek śmierci<sup>4</sup>. Ja tylko przez chwilę miałam z jednej strony zamknięte oczy. Dziękuję.

1. Irvin Yalom, *Kat miłości*, Czarna Owca, Warszawa 2011.

2. Irvin Yalom, *Patrząc w Słońce*, Instytut Psychologii Zdrowia, 2008.

3. Irvin Yalom, *Kat miłości*, op. cit.

4. *Ibidem*.

czarna





*Dziecko*  
Zosia Hołubowska



Mama umarła o 17.10 w sobotę. Nie było mnie przy niej, mój dyżur wypadł w niedzielę. Sobota to był dobry dzień, umyłam rano głowę, wszystko się układało, miałam dobry nastrój. Po 17.00 zadzwoniła komórka i zobaczyłam wyświetlony numer brata. I już wiedziałam.

Jechałam taksówką, bez sensu, bo to tylko 15 minut piechotą, i miałam ochotę powiedzieć taksówkarzowi: „Czy pan wie? Mama umarła...”

Pobiegłam do pokoju w butach, miała jeszcze ciepłe ręce... Został mi z tamtego czasu mail, który napisałam do przyjaciółki w poniedziałek. Zaczynał się tak: „Wiesz, mama umarła. Kiedy przyjechałam taksówką, miała jeszcze ciepłe ręce...”

Potem na kilka dni stałam się nagle znowu dzieckiem. Siedziałam przy niej na podłodze przy łóżku, trzymałam ją za rękę i płakałam. W pokoju było ciemno, a ja się nie bałam. Chciałam położyć głowę obok niej i spać. I żeby nikt nam nie przeszkadzał. Siedziałam przy zmarłej, nie bałam się, a odkąd pamiętam, zmarłe\_li budziły\_li we mnie strach i często dawniej zastanawiałam się, co to będzie, gdy zaczną umierać mi rodzice.

Kiedy wreszcie przyjechał lekarz, by stwierdzić zgon, upewniałam się kilka razy, czy na pewno mama nie żyje. Potwierdził spokojnie, że absolutnie nie żyje, i dodał współczująco: „Ależ babcię połamano!” Miałam ochotę

wrzasnąć mu: „To nie żadna babcia! To moja mama!”

Bo to nie babcia moich dzieci, ani żona mego ojca, to mnie – dziecku – umarła mama! I przez kilka dni bałam się, jak sobie poradzę, świat był wielki, nieprzyjazny i pusty, a mamy nie było. Wszystkie moje przyjaciółki miały mamy. I chciałam mówić każdemu, nawet ekspedientkom w sklepach: „Wiedziecie, mama umarła...”

I już nikt mi nie powie: „Córciu” ani – „Moje dziecko kochane...” Czasem przyjaciółka rzuci w żartach: „Zuch dziewczynka!” Czasem Mężczyzna powie: „Dziecinko”, ale to już nie to samo...

Rok temu nieodwołalnie zaczęłam być Dorosłą.



# W twym początku jest mój kres

tekst: Marta Niedźwiecka

Pamiętam wrzenie społeczne, gdy Agnieszka Chylińska wypluła w „Machinie” całe swoje przerażenie i bezbronność wobec faktu posiadania w podółku małego, drącego twarz stworzenia. „Nooo, wiadomo, że jest »inna«, ale serio, to albo żartuje, albo odeszła od zmysłów”. Bo przecież kobiecie nie wolno kwestionować macierzyństwa. Nie w Polsce. Nie publicznie. Nie wolno i koniec.

## „W twym początku jest mój kres.”\*

Można wiele. Pokazać goły biust czy pośladek, pokazać się z jointem, zażartować z gwałtu. Zamachów na instytucję macierzyństwa czynić nie można. Kobiety marzą o posiadaniu dzieci. Wszystkie. Kobiety po urodzeniu dziecka są szczęśliwe i zadowolone. Wszystkie. Czasem bywają zmęczone, ale słodycz dziecięcego gulgotu osładza im chwile zwątpienia. To jest aksjomat. Tymczasem dla mnie i dla wielu znanych mi polskich trzydziesto- i czterdziestolatek, doświadczenie macierzyństwa przypomina skok z urwiska, bardzo często zakończony twardym lądowaniem.

Dlatego też poproszona o tekst mówiący o chorobie, traumie, śmierci i transgresji do tego wydania sabatnika, bez wahania piszę o wczesnym macierzyństwie. O czymś totalnym, co jednocześnie jest śmiercią starej tożsamości i przejściem w nieodwiedzany świat o nieznanym regułach, w którym, jak w mrocznym roleplayu, za wszystko grozi kara. Naturalnie, znaleźć się

w strefie Tanatosa, doświadczyć choroby można przez wiele innych wydarzeń, ale największe napięcie między spodziewanym a otrzymanym mieszka właśnie we wczesnej fazie bycia matką.

To truizm, że ciąża i macierzyństwo są krytycznie ważne dla tych grup, którym zależy na władzy nad kobietami, i że postrzeganie tych stanów zostało skutecznie wypaczone na potrzeby realizacji tejże władzy. Można też załamać ręce nad przerwany kontinuum – czyli opłakany sposobami, w jakie rodzą się nasze dzieci, jak są traktowane one i nasze ciała. Nie da się nie zauważyć, że kobiety rodzące dzieci są traktowane instrumentalnie, pozbawione wsparcia innych kobiet, a także wiedzy, co z dzieckiem, do cholery, zrobić. Wiedzę taką może mają mieszkanki wsi w Indiach, ale z pewnością nie córki postindustrialnej cywilizacji, w której uczymy się macierzyństwa z internetu. I to też jest powód, dla którego nasze wejście w macierzyństwo jest tak trudne.

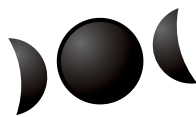
Frank Moody z serialu w „Californication”, pisząc list do swojej córki, określa rodzicielstwo, jako najbardziej profound and tormenting (głębokie i rozdzierające) doświadczenie życia. Frank jest facetem, Amerykaninem i postacią fikcyjną. Ale nie znalazłam w popkulturze lepszego określenia. Owszem, może z czasem macierzyństwo staje się doświadczeniem poszerzającym świadomość i dającym doznania, wiedzę, emocje niedostępne w innej sytuacji. Najpierw jednak zdarza się nam odbierać je jak śmierć. Do-

słownie śmierć fizyczną (wyczerpanie, stres, izolację) oraz śmierć emocjonalną. Koniec poprzedniego życia w starej formie. Zmiana stosunków „ja” z partnerką\_em, przyjaciółkami\_łmi, w miejscu pracy. Zmiana stylu życia, która jest przewidywalna, hormony, towarzyszące kobietom dylematy o powrocie do pracy lub poważne wyzwania finansowe, związane z utrzymaniem dziecka, nawet wespół z partnerką\_em. Identyfikacja psychiczna, wszystkie kody: stroju, zachowania, rytuałów społecznych ulegają zawieszeniu lub zniesieniu. Przestajesz być, kim byłaś. I już nigdy nie wrócisz do stanu bycia istotą pojedynczą, niezależną. Kobiety uginają się pod ciężarem odpowiedzialności, emocji z którymi sobie nie radzą, koniecznością konfrontowania się z własnym dzieciństwem i relacją z matką. Które to matki nader często występują w roli patriarchalnych egzekuterek. Kolejnym krokiem takich rozważań jest pytanie, dlaczego doświadczenie, które mogłoby być kondensacją kobiecości, w naszej kulturze oznacza z tej kobiecości ograbianie. I jak długo jeszcze przyjdzie nam czekać na rozszerzenie ilości ról społecznych, w które może wejść kobieta, będąca matką, bez bycia traktowaną jak uciekinierka od właściwej powinności.

Nie mam pojęcia, czy wejście w macierzyństwo wygląda wszędzie tak samo. Tutaj wydaje się mocnym testem na siłę psychiczną i wolę przetrwania. I eksperymentem z transgresji. W każdym razie zachęcam. Po dekadzie zostają już same przyjemności.

\* Trawestacja tytułu zbioru poezji T. S. Eliotta *W moim początku jest mój kres*.





## Moja mama

09.03.2004

Niezjedzone  
 Wspólne niedzielne obiady  
 Nieprzegadane wspólne rozmowy  
 Niepołączone rozmowy telefoniczne  
 Niezrobione wspólne zakupy  
 Niespełnione marzenia  
 To jest moja mama  
 Wspomnieniem tylko  
 Jasną twarzą zamgloną nade mną  
 Dotykem delikatnym i pięknym  
 Dobrym słowem  
 Szukającym bólu spojrzeniem kojącym  
 Uchem życzliwym pochylonym  
 To moja mama  
 Pięknem  
 Życzliwością  
 Miłością  
 Jest  
 Była  
 Będzie  
 Moja mama

## Odchodzisz

styczeń 2012

odchodzisz  
 krople  
 jak mrówki  
 w ę d r u j ą  
 podtrzymują  
 odchodzisz  
 już nigdy  
 nie zaśpiewasz  
 o swojej miłości do życia  
 czerwonej jak krople  
 co jak mrówki  
 spacerują  
 w ę d r u j ą  
 ku twojemu sercu  
 aż oddech zamilknie  
 odchodzisz  
 od miłości  
 i świata  
 a krople czerwone  
 p o w ę d r u j ą  
 zupełnie jakby nie bolały



czarna



Złowieszcze zwierzęta  
Marta Zabłocka



MARTA ZABŁOCKA





# Snem było życie

tekst: Lidia Barc

Podobno katoliczki\_cy najbardziej boją się śmierci. Jeśli ateizm traktować jak etykę i politykę doczesności to można w takie przypuszczenie uwierzyć. „Ateizm z tej perspektywy okazuje się humanizmem (...). Nie ma Boga i dlatego powinniśmy dbać o bardziej egalitarne stosunki społeczne, o dobrobyt, o to, by nie było ubóstwa, cierpienia, przemocy, wyzysku. Ateizm jest więc obroną polityki, kultury, cywilizacji realnie działających ludzi przeciwko religijnym zaświatom czy, jak mówi Bożena Keff, przeciwko chrześcijańskiej »kulturze śmierci«<sup>1</sup>”.

W ateizm wpisane jest zatem kształtowanie świeckiej obyczajowości. Podobnie jak postawa równości czy neutralności państwa. Równoległe do przekonań towarzyszą nam określone emocje. W czterdziestotrzystopniowej skali stresu wg Holmsa i Rahe na pierwszym miejscu występuje śmierć współmałżonki\_a, na 5. śmierć bliskiej\_go członkini\_a rodziny. Do uczuć rozpacz, bezsilności, poczucia straty i żalu dochodzi jeszcze stres związany z techniczną stroną pochówku. Opłatą za miejsce na cmentarzu, pomnik, honorarium dla księdza i koszty stypy. Od 1 marca 2011 roku zasilek pogrzebowy wynosi 4 000 złotych. Za całość

zapłacimy minimum kilkanaście tysięcy. Jest się o co martwić.

Brałam udział w kilku takich pogrzebach. Dziadka, ukochanej babci, ojca. Za każdym razem było tak samo. Strach rodziny o to, czy na wszystkie świadczenia wystarczy pieniędzy, pośpieszna i nieuważna konsolacja, podliczanie kosztów nad kotлетem – resztkami ze stypy. Bez miejsca na żal, pożegnanie i pochylenie się nad zmarłym i sobą samą. Podobne odczucia towarzyszą mi w trakcie uczestnictwa w chrzcinach, komuniach świętych i ślubach. Więc ich unikam, jak ludzi, z którymi jest mi nie po drodze.

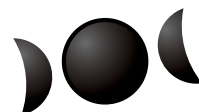
Na moje przekonanie wpłynęło też inne osobiste doświadczenie. W 2008 roku zmarła, śmiercią samobójczą, szesnastoletnia siostra mojego przyjaciela. Sławek zaplanował dla Doroty świecki pogrzeb. Poprosił mnie o reprezentowanie rodziny podczas jej pożegnania. Zgodziłam się bez zastanowienia. Przyjaźnimy się – może mnie prosić, o co zechce. Potem przyszło opamiętanie – przecież nie mam doświadczenia, kompetencji i wiedzy. Ale nie wycofałam się. Napisałam fikcyjny życiorys Doroty, w którym opisałam jej życie takim, jak mogłoby wyglądać, gdyby zechciała je przeżyć. Sparafrazowałam wiersz Szym-

borskiej *Kot w pustym mieszkaniu*, żeby być przy Sławku, kiedy będzie sobie odpowiadał na pytanie: „Umrzeć – tego nie robi się Bratu. Bo co ma począć Brat w pustym mieszkaniu?”

Sławek zadbał o to, żeby przy urnie z prochami Doroty grała jej ulubiona muzyka – melodie szesnastolatki. I Leitmotiv. *Dwie bajki* Virgin. Tę piosenkę kojarzę od tamtego czasu z głębokim przeżyciem duchowym. Melodia jest marna, słowa jeszcze gorsze, a jednak przy tej piosence zaczęłam histerycznie drapać się po głowie. Moją partnerkę prosiłam o wyjęcie mi z włosów motyli i poczwarek. Bo byłam pewna, że tam są. Musiałam wyjść z domu pogrzebowego, bo zamiast na zdjęcie uśmiechniętej Doroty żałobnicy zaczęli się ze zdumieniem gapić na mnie. Takie psychosomatyczne objawy zdarzają się wielu osobom. Ale raczej w zaciszu domowym lub w czterech ścianach zakładu psychiatrycznego. Tam, gdzie mamy poczucie bezpieczeństwa. Mnie to spotkało na świeckim pogrzebie, który prowadziłam. Mam nadzieję, że czasem doświadczają tego księża, popi i rabini. Bo to by znaczyło, że żyją. Do tego jednak trzeba przekonania, że śmierć jest końcem. Że ważne jest tu i teraz. Jak dla psa.



# Urwane tory



tekst: Iwona Jędrusik

Cemeterio San Fernando razem z Tannatorium (domem pogrzebowym) jest na peryferiach miasta, tuż za Szpitalem San Lorenzo. Jak sądzę pochodzą z tego samego okresu – początku XIX wieku. Sewilczycy niechętnie myślą o śmierci i nie lubią na ten temat rozmawiać. To prawda, że nie są w tym wyjątkowi, ale wydawało mi się, że kultura hiszpańska jest oswojona ze śmiercią. Nie tyle za sprawą katolicyzmu ale zmysłowości. Oswojenie to dotyczy jednak anonimowej, odległej czy mitycznej śmierci w zamierzczłych czasach wojen, zarazy albo dyktatury, ale nie takiej zwyczajnej, która materializuje się tuż obok i dotyczy kogoś dobrze znanego.

Oddzielenie świata żywych od zmarłych dokonuje się nie tylko przez tradycyjny mur, wysoki na jakieś 3-4 metry, ale też przez odcięcie komunikacji – tuż przy cmentarzu są stare tory tramwajowe, ale zaczynają się przy głównej bramie i kończą 20 metrów dalej efektywnym zakrętem do nikąd. Więc może to nie przypadek, że dotarcie tutaj nie jest proste, daleko od centrum, po drodze sam beton i coraz biedniejsze dzielnice. Zresztą miałam dwa podejścia, za pierwszym razem cmentarz był zamknięty (czynny jest od 8:30 do 17:30 – jak na Hiszpanię bardzo nietypowe godziny), a za drugim udało się, ale szukałam jakiś czas wejścia, bo główne jest w remoncie. W tym celu, obeszłam wysoki jak w Alcazarze mur, prawie dookoła.

Na tyłach cmentarza znalazłam osiedle slamsów – życie na peryferiach śmierci. Zanedbane dzieci wałęsają się razem z wychudzonymi psami. Kobiety gotują w prowizorycznych kuchniach, a mężczyźni skupieni w grupie żywo o czymś rozmawiają. Jakiś mężczyzna przyglądał mi się badawczo, więc zawróciłam bez ociągania się. Dzięki temu znalazłam boczne niepozorne wejście.

Cmentarz jest stary i dość rozległy, ale spotkałam zaledwie cztery

osoby. Żywi nie często odwiedzają swoich zmarłych. A jeżeli już to gromadnie – Sewilczycy tutaj, tak jak i w inne miejsca, chodzą grupami. Tylko stare kobiety w czerni chodzą same. Przypuszczam, że one już nie boją się ani żywych ani tym bardziej martwych.

Groby nie są zanedbane ale też nie są zbyt często odwiedzane, kwiatów ciętych się nie przynosi bo w upale szybką więdną, znicze też nie są tutaj w użyciu. Grób się stawia i przychodzi kilka razy w roku. Budownictwo sepulkralne ma do spełnienia podobne cele jak budownictwo mieszkalne – ma być trwałe. Poza tym, ważne żeby groby zajmowały mało miejsca i dawały cień w upalne dni, których jest tutaj około 300 w roku. Właściwie nie ma grobowców pojedynczych – z wyjątkami: sławny matador, utalentowana śpiewaczka i kilku artystów. A tak same grobowce rodzinne: bogatszych rodzin w formie kaplicy z podziemną kryptą, skromniejsze tylko z płytą nagrobną i piwnicą wpuszczaną w ziemię – po 3-4 trumny są zamurowane na półkach po dwóch stronach – jak przedział z kuszatkami, a w środku zejście po drabince i niewielki ołtarz z krucyfiksem albo Marią. I wersja najbardziej ekonomiczna – rodzaj ossuarium – jak cztero piętrowy garaż naziemny w centrum handlowym, miejsce po dwóch stronach na wsunięcie trumny i zamurowanie. Tutaj po śmierci można nabawić się klaustrofobii.

Od głównej bramy, która jest imponująca, wiedzie przez całą długość cmentarza szeroka aleja z ogromnymi drzewami i girlandami bluszczu. „Jak na górze, tak i na dole” więc miasto umarłych jest odwzorowaniem Sewilli, zatem posiada place z fontannami i niewielkimi sadzawkami, ale wszystkie nieczynne i wyschnięte. Ma też patio z drzewkami pomarańczowymi i rabatami kwiatów oraz rondo z ogromnym krzyżem, na którym wisi Jezus patrzący z uwagą w niebo.

Spędziłam tutaj całe popołudnie, zaglądając do uchylonych grobów i kaplic przez dziurki od klucza, chodziłam z futerałem od aparatu przytroczonym do paska na wysokości kości łonowej,

foto: Iwona Jędrusik





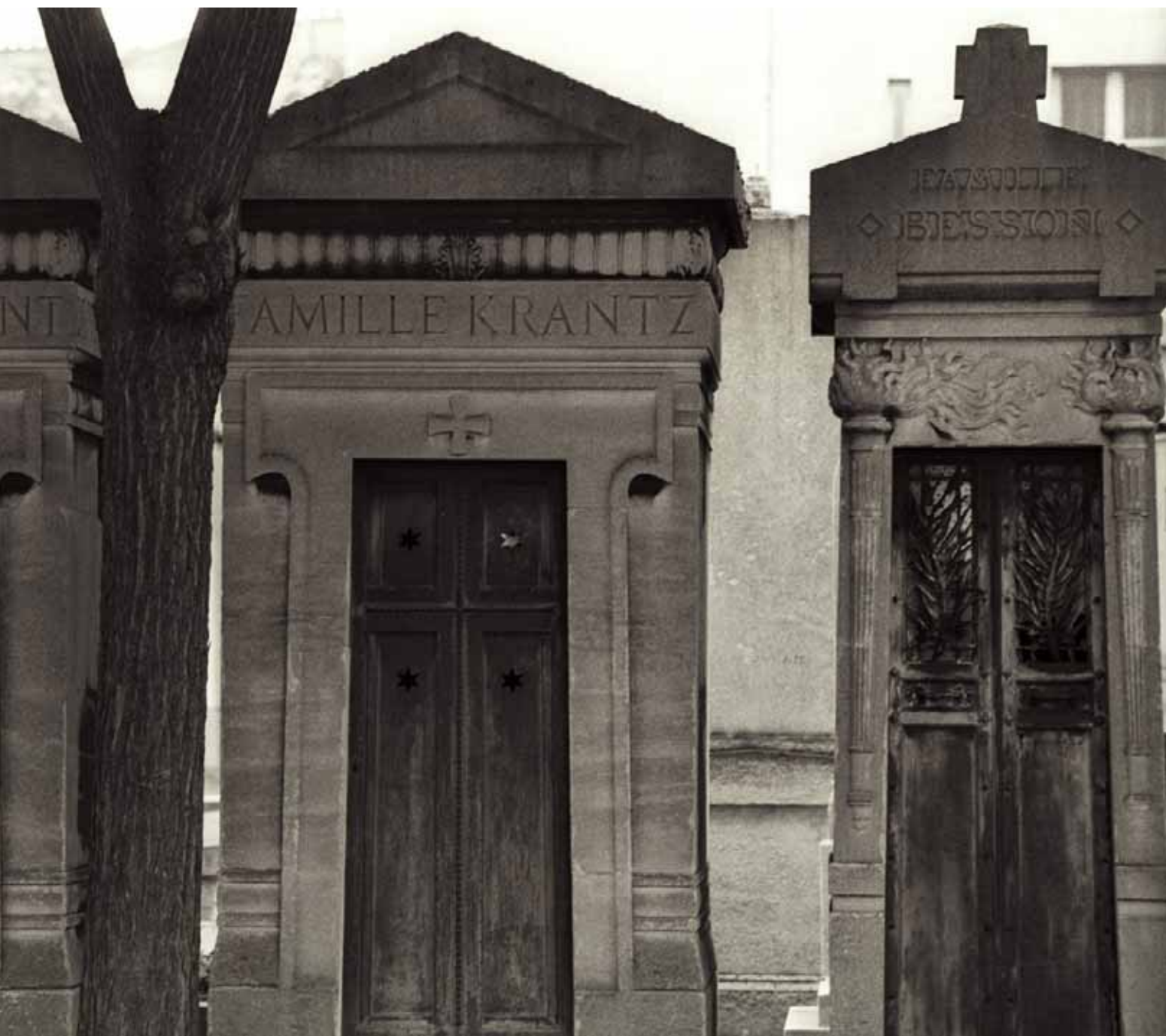
w czym przypominałam Śmierć z obrazów Malczewskiego – która miała podobnie przytroczony uchwyt na ostrzałkę do kosy. Ona zatrzymywała się by popatrzeć na ostatnie chwile życia osoby po którą przyszła a ja patrzyłam na niepozorne "potem". Choć ilekroć jestem na cmentarzu mam wrażenie, że najważniejszego nie widzę, tylko jakieś drugoplanowe dekoracje...

Mieszkają tutaj, oprócz stałych rezydentów, także koty, jaszczurki różnych

gatunków i ptaki – widziałam drzemącą na krzyżu sowę. Typowe zwierzęta cmentarne, wiodą tutaj w miarę spokojne życie z dala od zgiełku miasta.

Zaskakującym zwyczajem jest wietrzenie grobów... Te groby przypominające przedziały z kuszetkami są zamykane płytą metalową, rzadziej kamienną. Widziałam wiele grobów z odsuniętą albo uchyloną płytą, kojarzy się to nieco ze zmartwychwstaniem. Takie wiosenne wietrzenie grobów, umarłym też dobrze

zrobi świeże powietrze i trochę słońca. W środku groby wyłożone są płytkami ceramicznymi, zazwyczaj białymi, podobnie jak domy, chroni to przed nagrzewaniem ale też jest łatwe do mycia. Półki jeszcze nie zajęte przez trumny wykorzystuje się jako schowki na zmiotkę, wiadro czy detergenty – praktyczne i takie życiowe. To zetknięcie użyteczności z wiecznością przekonuje mnie, że może jednak Sewilczycy w niektórych aspektach są oswojeni z kołem życia-śmierci-życia.





# Śmierć i dziewczyna

tekst: Aga Dellfina Dellert

Ostatnie dni lata zawsze kierują moje myśli w stronę przemijania. Maszeruję właśnie przez Pola Mokotowskie ze słuchawkami w uszach, oddając się *Der Tod und das Mädchen* Schuberta... I jak tu nie myśleć o śmierci. Czy dożyję starości? Jak umrę? Czy będzie bolało? Pewnie każda\_y z nas chociaż raz zadawała\_ał sobie te pytania. Czy kursy świadomego umierania w czymkolwiek mi pomogły? Czy w ogóle można oswoić się ze śmiercią, a jeśli tak, to czy jest to „normalne”? Czyż lęk przed nią nie jest czymś absolutnie naturalnym? Przecież życie jest naszą największą wartością. Wszystkie\_cy Kochamy życie.

Ale czy na pewno wszyscy je Kochamy?

Skąd w takim razie tyle jest śmierci i okrucieństwa w naszej codzienności czy nawet w nas samych? Wystarczy otworzyć gazetę, obejrzeć wiadomości, pójść do kina albo włączyć pierwszą lepszą grę wideo, żeby uświadomić sobie, jak wielką rolę odgrywa zabijanie. Każda\_y z nas prowadzi swoją wewnętrzną walkę dobra ze złem. Pytanie tylko, w jakich proporcjach one się mieszają. A może być różnie, od pinakolady po koktajle Mołotowa.

Według Fromma „[d]obro jest to szanowanie życia, wszystkiego, co sprzyja życiu, wzrostowi, rozwojowi. Zło jest tym, co ogranicza życie, zawęża je i dzieli na części” (1994). Idąc dalej tym tropem, wyróżnia on dwa przeciwstawne typy charakterologiczne: biofilijny i nekrofilijny.

Pierwszy z nich emanuje miłością, żyje w zgodzie z naturą, jest ciekawy siebie i świata, twórczy, optymistyczny, empatyczny, nastawiony na rozwój, poszukujący szczęścia i spełnienia. Chętnie dzieli się z innymi, wspiera, ale ceni sobie wolność i niezależność.

Typ nekrofilijny jest patologią i dokładnym przeciwieństwem pierwszego. Ma zamiłowanie do tego, co martwe, brudne i negatywne. Jest destrukcyjny, zimny, zdyscyplinowany, często pedantyczny i pesymistyczny. Lubi hierarchię społeczną i stara się zdobyć władzę nad innymi. Wierzy w słuszność przemocy (fizycznej, bądź psychicznej). Traktuje życie i ludzi w sposób mechaniczny, rutynowy i przedmiotowy. Ma problem z bliskością oraz rozpoznawaniem i okazywaniem emocji. Zdecydowanie woli mieć niż być. Uwielbia technikę i technologię za ich odczłowieczenie. Nie lubi zmian, jest konserwatywny i zachowawczy. Jego główną siłą napędową jest strach, gdyż boi się wszystkiego czego nie umie uporządkować i kontrolować. Nie jest w stanie uciec od rozpaczliwej sytuacji z niemożności znalezienia sensu życia, więc jedyne, co mu pozostaje, to satysfakcja z odbierania go. Zamiast kochać, nienawidzi, zamiast dawać, odbiera, zamiast tworzyć, niszczy, zamiast dążyć do jedności, odseparowuje się.

Oczywiście w życiu codziennym zarówno biofilia, jak nekrofilia charakterologiczna rzadko występują w czystej postaci i większość z nas nosi w sobie obydwa te pierwiastki. Niestety, warunki współczesnego świata sprzyjają rozwojowi modelu nekrofilijnego. Coraz szybciej pędzimy za wciąż oddalającym się szczęściem, często rezygnując z bliskości i intymności na rzecz zdobywania i posiadania dóbr materialnych czy pozycji społecznej. Gwałtowny rozwój przemysłu, technologii i kultury masowej sprawia, że coraz częściej na własne życzenie ograniczamy się do świata symulakr i symulacji, nie zauważając już nawet wszechobecnego kryzysu wartości. Uczucie bezsensu, samotności i bezsilności wypieramy bądź tłumimy powierzchow-

nymi, kompulsywnymi przyjemnościami, tonąc w ekskrementach izmów (seksoholizm, pracoholizm, zakupoholizm...), trzymając się karty kredytowej jak przysłowiowej brzytwy. Jesteśmy w najlepszym wypadku świadkami stworzenia nowego typu człowieka, czyli homo consumens, osadzonego w kulturze i relacjach, w których przeważa orientacja handlowa. Jak ironicznie zauważyła jedna z moich ulubionych artystek, Barbara Kruger, motto współczesnego człowieka to: „Kupuję, więc jestem” (*I shop therefore I am*).

„Współczesny kapitalizm potrzebuje ludzi, którzy zapewnią mu sprawną i masową współpracę; ludzi, pragnących coraz więcej konsumować; których upodobania są zestandaryzowane, dają się łatwo przewidywać i kształtować. (...) Na skutek tego nowoczesny człowiek wyobcowuje się od siebie, od swoich bliźnich, od natury. Został przekształcony w towar. Traktuje swoje siły żywotne jak inwestycję, która musi przynieść mu maksymalny zysk”, pisał Fromm w *Zdrowym społeczeństwie*.

Te okoliczności nie pozwalają człowiekowi dopuszczać do głosu jej\_go najbardziej podstawowych ludzkich pragnień, tęsknoty za wyjściem poza samego siebie i za zespoleniem. Według Fromma jedynym sensownym antidotum na współczesną bolączkę samotności jest miłość. Dlatego ważne jest dostrzeganie w sobie przejawów tendencji biofilijnych i pielęgnowanie ich, oraz dostrzeganie przejawów tendencji nekrofilijnych i próba ich zmiany. Spróbujmy więc w wirze codziennego życia chociaż na chwilę zatrzymać się i postarać znaleźć w sobie to, za czym tak szaleńczo pędzimy, a jeśli uda nam się to odnaleźć, może warto jest podzielić się tym z najbliższymi... jeśli jeszcze przy nas są :)



# Literatura

Erich Fromm, *Wojna w człowieku*, Gdańska Inicjatywa Wydawnicza, 1991  
Erich Fromm, *Rewizja psychoanalizy*, Wydawnictwo Naukowe WPN, 2006  
Erich Fromm, *O sztuce miłości*, Rebis, 2012  
Erich Fromm, *Serce człowieka*, Wydawnictwo Naukowe WPN, 1996  
Erich Fromm, *Anatomia ludzkiej destrukcyjności*, Rebis, 2005

*Kupuję, więc jestem*  
Barbara Kruger

**I shop  
therefore  
I am**





# Droga

tekst: Patrycja Niagara

Jestem tutaj, na Ziemi, z miłości. Z miłości do Matki Ziemi i ludzi. Ty także jesteś tutaj z miłości, podobnie jak każda\_y człowiek na naszej planecie. Wstępujemy w przeznaczone nam ciała z miłością – w ten sposób zaczyna się każda ziemska podróż. I choć rodzimy się nagie\_dzy, każde niemowlę przywozi ze sobą bagaż w postaci skryptów utrwalonych w swoim DNA oraz karmicznych lekcji, które ma potrzebę odrobić. Będąc tam, w górze, zapominamy, jak to jest być człowiekiem. Jak bardzo intensywne i trudne jest bycie w ludzkim ciele z ludzkimi emocjami i myślami. Traumatyczne wydarzenia, które przeżywamy, mogą spowodować, że jakaś część duszy wyjdzie z naszego ciała, pozostawiając po sobie poczucie braku i niespełnienia. Niestety, często zdarza się to już podczas porodu – dusza dziecka chce być przyjęta z miłością, a kiedy tej miłości brakuje, wycofuje się i ucieka. Nie chce się urodzić. Czasami jej kawałek pozostaje w bezpiecznym łonie matki. Takie dzieci od początku czują się samotne i nieszczęśliwe, brakuje im woli życia. Nie czują, że są autentyczne w tym ciele. Nie wiedzą, co czują. Zmagają się, targane pomiędzy życiem a śmiercią.

Może to zdarzyć także ludziom, które\_rzy doświadczyli niezwykle traumatycznych przeżyć. Tak trudnych, że nie umiały\_eli sobie z nimi poradzić. Kawałek duszy ucieka w przerażeniu i trwa w wiadomym tylko sobie miejscu, poza czasem, związany cieniutką

nicia energii z ciałem, w którym miało mieszkać. Po tej nici możemy dojść do naszych rozczepionych kawałków i pozbierać je, przyjąc z powrotem w swoje ciało, zapewniając ochronę i miłość. Razem z nimi powracają do naszych ciał cudowne dary: niewinność, odwaga, spokój, radość itd. Ludzie, które\_rzy w swoim życiu doświadczyli bardzo dużo bólu i strachu, miewają niekiedy ciało energetyczne podziurawione jak sito. W takich wypadkach warto spotkać się z uzdrowicielką\_em, by w ten sposób przyspieszyć znacznie proces integracji. Miałam kiedyś klientkę, której duszy szukały pszczoły, bo zaginionych kawałków było tak wiele.

Bądźcie uważne\_i i pełne\_i miłości, kiedy przyjmujecie w siebie utracone fragmenty swej duszy. Jest to bardzo szczególny moment – dusza musi się zrosnąć z ciałem na nowo, a najlepszym „klejem” dla niej są bezwarunkowa miłość i wybaczenie sobie samym i innym. Nawet najlepsza\_y uzdrowicielka\_el nie pomoże, jeżeli wciąż będziemy żyć w starych, szkodliwych wzorcach. Dusza żyje w teraźniejszości. Stary ból jest dla niej bólem dzisiejszym, od którego ponownie może chcieć uciec. Dlatego kochaj siebie i swoje ciało. Dawaj sobie miłość i troskę. Pozwól swemu ciału cieszyć się przyjemnością. Szczęśliwe ciało podnosi swoje wibracje i przyciąga utracone kiedyś kawałki duszy. Sama\_sm dla siebie jesteś największą\_ym uzdrowicielką\_em. Wsłuchuj się w swoje ciało i pozwól mu się prowadzić.

Poranione ciało energetyczne przyciąga inne energie. Energie nienasze. Czasem są to dusze tych, które\_rzy nie odnalazły\_eżli po śmierci swojej świetlistej ścieżki. Dusza zmarłej osoby mocuje się w ciele emocjonalnym żyjącego człowieka i pobiera z niego energię potrzebną do życia. Takie dusze mogą nawet nie wiedzieć, że umarły. Mogą tkwić w momencie śmierci, po raz kolejny przeżywając traumatyczne wydarzenie. Mogą bać się pójść w świetlistą ścieżką, trzymane poczuciem winy i wstydu za swoje życie, lub świadomie podjąć decyzję pozostania w tym świecie, aby pomóc swoim bliskim. Czasami trzyma je w tym świecie strach przed śmiercią, a czasem są tu, ponieważ nie dopuszczają do siebie myśli, że zginęły\_li... Dusze, które nie odeszły, znajdują ranę w ciele energetycznym żyjącej\_go człowieka i podłączają się pod nią. Takie podłączenie trwa, dopóki nie uzdrowimy zranienia. Możemy też pomóc znaleźć duszy świetlistą drogę, wysyłając jej miłość i światło. Zawsze wysyłam takiej duszy białe i fioletowe światło. Wołam Anioły, aby po nią przyszły. Przyzywam energie Archaniołów Michała i Gabriela. Dusza potrzebuje dużo miłości, która oczyści jej strach i ból. Potem jest gotowa odejść. Kiedy odnajdzie swą prawdziwą istotę, wysyła ku osobom pracującym z nią olbrzymi strumień miłości. Po tym można poznać, że odnalazła swoje miejsce. Uzdrowiona dusza staje się uzdrowicielką żywych. Znowu jest miłością, która może powrócić na Ziemię.



# Matka Aya

tekst: Patrycja Kowalska

Matka Aya wyglądała jak Czarna Madonna. Złote szaty zamieniła na czerń i trwała wpatrzona we mnie nieskończenie długo, choć może to były tylko minuty, może tylko sekundy... Jej spojrzenie przenikało przez moje oczy, strachy, lęki, oczekiwania i pragnienia, dotykając duszy. W tym czasie ciało drżało w cyklicznych atakach skurczy, wyrzucało z siebie wszystko, co niepotrzebne, i w krótkich chwilach powrotu do tu i teraz zastanawiałam się, czy jeszcze coś zostało mi w środku. Wydawało mi się, że jestem pustym naczyniem z wielkimi płucami i sercem. Oddech wypełniał mnie, rozdymając płuca jak balon, a potem wyrzucał sam siebie z głośnym westchnieniem ulgi. I właśnie w tych momentach pojawiała się miłość... Nie wiadomo skąd i nie wiadomo jak... Wykraczająca poza to, co znam i co czuję. Utulała ciało, a przede wszystkim umysł, trwający w przerażeniu swego niezrozumienia i w spazmatycznym kołowrotku jednego zdania: NIECH TO SIĘ WRESZCIE SKOŃCZY!

Zaczęło się całkiem zwyczajnie. We śnie. Z ziemi wychodziły pędy i oplatały moje ciało. Jak węże. Wrastały moje ciało, aż zanikała granica,

gdzie jestem ja, a gdzie roślina. Połączone w jedno, zaczynałyśmy kwitnąć i zaczynałyśmy śpiewać. Wraz ze śpiewem pojawiało się światło, tak mocne i piękne, że nawet przez sen czułam płynące ze wzruszenia łzy. W dzień tęskniłam do takiego połączenia i zastanawiałam się, kto mnie woła. I któregoś dnia, podczas spotkania z Namah (Nogą Meir), opowiedziałam jej swoje sny, a ona uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Matka Ayahuaska Cię woła”. Wtedy zaczęłam płakać. Czułam, że to jest prawda, a jednocześnie czułam strach budzący się w moim ciele. Strach ego, które bało się zniknąć. Znałam już go dobrze – niejednokrotnie wyrzucał mnie z głębokiej wizualizacji z krzykiem rozpaczony tonącej go. Bałam się. Bałam się porzucić kontrolę i zniknąć. I jednocześnie chciałam tego. Pójść dalej, głębiej. Matka Aya pojawiła się, aby mi pomóc.

Kilka miesięcy później leciałam razem z siostrami do Peru na duchową podróż zorganizowaną przez Namah. Dwa dni po przylocie odbyłyśmy ceremonię San Pedro, który okazał się dla mnie wspaniały i dobry. Otworzył mi oczy i serce, które śpiewało w zachwycie, wychwalając piękno i doskonałość

tego świata. A potem niemal oślepiłam na kilka godzin. Punkt na czole, w którym znajduje się szóstą czakra, pulsował i przeszywał bólem. I wiedział już, że z Matką Ayą będzie inaczej. Zaczęłam się modlić i prosić: „Bądź dla mnie łagodna, bądź łagodna...” I rzeczywiście, płyn, który piłam, nie był aż tak obrzydliwy, jak opowiadali, a zaraz potem pojawiła się muzyka. Chciałam ją wyłączyć, ale nie mogłam. Gwiazdy śpiewały, nie zważając na to, że potrzebowałam ciszy. Było coraz głośniejsze, tak jakby wszystko na zewnątrz i wewnątrz znajdowało się w centralnym punkcie aparatu słuchu. Umysł szarpał się w klatce dźwięków, dając sobie nadzieję: to kiedyś się skończy... a ciało zaczęło wyrzucać z siebie wszelkie nieczystości, zmieniało kierunek, znikowało i pojawiało się, wstępowało do piekieł i w niebiosa, aż w końcu umarło.

Bałam się. Znajdowałam się w ciemności kosmosu, wśród wystrzelujących światłem gwiazd, daleko od domu, który znam. Gwiazdy śpiewały, mówiły i szeptały do mnie, ale nie byłam w stanie ich słuchać. Chciałam tylko wrócić. Nie, nieprawda. Chciałam też się nie bać, ale nie mogłam. Gdzieś tam, ponoć na Ziemi, w państwie Peru,





leżało moje ciało. Czułam je, było mu strasznie zimno, ale żadna ręka nie chciała mnie posłuchać, aby okryć je kocem. Marzło. Inni ludzie wchodzili i wychodzili, a ono leżało. „Chcę do łazienki” – krzyczałam, ale nikt mnie nie słyszał. Byłam za daleko od swego ciała i od innych ludzi. Chciałam je puścić i odlecieć, ale przychodziły wspomnienia mego synka i męża, czekających na mnie w Polsce. Nie umiałam ich zostawić. I trwałam, rozszarpana pomiędzy gwiazdami i swoim ziemskim życiem, i błagałam: niech ktoś mi pomoże...

A potem byłam już w Polsce. Opowiadałam mężowi swoje przeżycia, wtrącając co drugie zdanie: NIGDY WIĘCEJ, NIGDY WIĘCEJ. Ten słuchał i uśmiechał się, aż w końcu powiedział: „Wiesz, ile razy to mi już powtarzałaś? I zawsze to samo robisz”. Potem rozbłysnął w Supernowej i gwiezdna muzyka wlała się w mą pamięć, przypominając wiele moich doświadczeń ze świętymi roślinami z kolejnych żyć. Widziałam, jak wnikam w kolejne ludzkie ciała i po raz kolejny zapominam, kim jestem i skąd pochodzę. Potem, wstrząsana skurczami, leżę przy ognisku, aby sobie przypomnieć. Poczułam, jak ogromny żal wylewa się ze mnie, gdy uświadomiłam sobie, że ZNOWU TO ZROBIŁAM. ZNOWU ZAPOMNIAŁAM, KIM JESTEM I PO CO TU ŻYJĘ. Czarna Madonna podeszła do mnie i pogłaskała mnie po twarzy. Żal zniknął i pojawiło się zrozumienie. Zaczęłam pojmować, po co schodzimy na Ziemię i co jest dla nas najważniejsze. Najważniejsze jest życie. Takie po prostu. Być w ciele i doświadczać. Nie uciekać od bólu i nie uciekać od szczęścia. Wróciłam do ciała.

Było mi bardzo niewygodnie. Skostniała, mogłam wykonywać tylko niewielkie ruchy. Na dodatek Javier z Julianem, prowadzący ceremonię, przestali śpiewać. Próbowalam coś powiedzieć, ale moja szczeka nie poruszała się. Nie dałam rady wstać, choć musiałam pójść do toalety. I znowu nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Czułam, że jestem w sytuacji bez wyjścia. Wrócił lęk. Chciałam uciec, ale nie

miałam dokąd i nie miałam jak. Gwiazdy znowu zeszyły na Ziemię i zaśpiewały. CZY MÓGŁBY KTOŚ WŁĄCZYĆ ŚWIATŁO I WYŁĄCZYĆ MUZYKĘ!!!

Nie ma nikogo. Jestem tylko ja, która nie jestem już mną. Mam ciało, nad którym nie panuję, i pojawiają się we mnie głębokie współczucie i miłość do wszystkich niepełnosprawnych, a zaraz potem wdzięczność, że pomimo wszystko jestem zdrowa, mogę chodzić i jeździć. Nie umiem pływać, ale mogę się nauczyć. Właściwie mogę wszystko. WSZYSTKO. Znaczenie tego słowa dociera do mojego umysłu, który momentalnie odnajduje w pamięci te wszystkie dziwne, niemożliwe zdarzenia i doświadczenia, o których on wie, że nie powinny się zdarzyć. Staję się samym lękiem przed wszystkim, kim jestem. Najgorzej, że wiem, że nie śpię. To wszystko dzieje się naprawdę. I sama połknęłam to coś, co miało otworzyć mnie na prawdę. A prawda jest taka, że się BOJĘ. Czuję cholerny strach, że wszystkie moje wyobrażenia na temat światów, duchów, aniołów, mocy, energii, bogów, ludzkich możliwości itd. są prawdą. Uciekam. Zakopuję się w ciemnej jaskini i staram się nie wpuszczać do niej tej cholernej muzyki. Robię dokładnie to samo, co robiłam jako kilkulatka, kiedy zostawiano mnie i mojego brata bliźniaka w domu. Chowam się pod koc i udaję, że mnie nie ma. I wtedy ci wszyscy dziwni ludzie i stwory, które chodzą po naszym domu, też nas nie widzą. A ja odnajduję swoją gwiezdą drogę do gwiazd i zasypiam.

Tym razem nie zasnęłam. Czułam swoje przerażenie, słyszałam gwiazdy śpiewające mi do ucha i trzepot skrzydeł. Ktoś mnie podniósł i wyciągnął spode mnie śpiwór, abym mogła się przykryć. Ktoś zza ściany. To pewnie anioł. Zawsze wiedziałam, że są, i niejednokrotnie obwinałam swojego Anioła Stróża, że za mało się mną opiekuje, ale w chwili, kiedy w pełni zmysłowo poczułam, że dmucha w moje czoło i oczyszcza moją szóstą i siódmą czakrę, naprawdę zadrżałam. Lękałam się tego spotkania. Na szczęście pa-

mniałam, że anioły są dobre i mają mnie chronić, więc mantrę „nigdy więcej” zmieniałam na: „Dziękuję ci bardzo i przepraszam, że tak bardzo się boję, ale w tej chwili inaczej nie potrafię”. Zasnęłam w podmuchu skrzydeł.

Budzę się. Idę przy ścianie do łazienki. Jest poranek. Prawie nikogo nie ma w ceremonialnej Sali. Muzyka wycisza się. Jest niesamowicie piękna i wspaniała w świetle dnia. Zataczając się, odnajduję drogę do swojego łóżka i kładę się spać. Płaczę. Jeden dzień jestem nieprzytomna. Namah i siostry opiekują się mną. Chce mi się spać i płakać na zmianę. Nie rozumiem, co dokładnie się wydarzyło. Javier tłumaczy, że zostałam skonfrontowana ze swoimi lękami i możliwościami. Złoszczę się. „Tyle to i ja wiem”, mówię do niego. Chciałam czegoś innego. Po południu śni mi się Matka Aya, rozmawia ze mną i tłumaczy wiele rzeczy, a potem znów śnię swój sen o roślinie, której pędy oplatają mnie. Matka Aya znów woła do mnie...

Myszę o śmierci, o tym, jaka będzie. Jak to będzie, kiedy poznam to wszystko, co jest w tej chwili dla mnie tajemnicą. Wtedy ceremonia nie skończy się w ciągu jedenastu godzin (bo tyle trwało moje spotkanie z Ayahuaską), ale poprowadzi mnie dalej, aż do spotkania z moją duszą, z nieśmiertelnością. Wzdrygam się, kiedy przypominam sobie, jak bardzo się bałam. Bałam się przyznać, że jestem kimś więcej niż tylko człowiekiem.

Czy będę jedną z tych wszystkich zabłąkanych dusz, które\_rzy odwiedzają mój dom, abym wskazała im drogę do światła? Jak mogę to robić, skoro sama boję się śmierci? A jednak to robię. Wznoszę słup światła i otwieram jasne drzwi dla tych, które\_rzy przychodzą. Więc czy naprawdę boję się śmierci? Czy może chodzi o przekroczenie granicy pomiędzy światem fizycznym a duchowym, granicy, której naprawdę nie ma?

Tyle rzeczy dzieje się poza naszym rozumem, niech tam pozostaną. Rozpuszczam swoje ego i otwieram swoje serce. Aya, Matko, Aya... wołam...



# Bez narodzin, bez śmierci

tekst: Alek Kowalski

Znak *dai* ułożony z ognisk podczas japońskiego święta zmarłych Obon



## Początek

Zimny, mroczny wieczór, półtora roku temu. Rozmowa z żoną.

- Kobieta, którą znam, ma potrzebę odprawić buddyjską ceremonię w intencji swojego zmarłego chłopaka, i szuka kogoś, kto chciałby ją poprowadzić. Chciałbyś?

- Nie wiem. Sprawdzę, czy w ogóle mogę.

Ściągam z półek wszystkie książki o buddyzmie, otwieram przeglądarkę internetową i po paru godzinach wytężonej pracy tonę w chaosie i natłoku informacji. Cztery Szlachetne Prawdy, dwanaście ogniów współzależnego powstawania, sześć krain ponownych narodzin, karma, nirwana, samsara... i wszędzie śmierć, która nagle zaczyna jawić się niemal centralnym, a co najmniej wszechobecnym punktem nauk buddyjskich. I podziw, który nagle zaczyna się budzić – w samej już strukturze nauk widać prawdę o pustce wszelkich przejawień, bo każde z tych

## Źródła

Pisząc powyższy tekst, korzystałem z wielu źródeł, tak pisanych, jak i mówionych:

- Opis pogrzebu powietrznego pochodzi z tekstu *Witness to*

*a Tibetan Sky-Burial. A Field Report for the China Exploration and Research Society* (Byłam świadkinia tybetańskiego pogrzebu powietrznego. Raport dla Towarzystwa Odkrywa-

nia i Badania Chin) autorstwa Pameli Logan, w mojej adaptacji i tłumaczeniu; pełny, oryginalny tekst dostępny na stronie: <http://alumnus.caltech.edu/~pamlogan/skybury.htm>.





pojęć zażębia się z pozostałymi, żadne nie istnieje w próżni i oderwaniu od innych; to tak, jakby obcować z czymś, co nie ma początku ani końca. Innymi słowy, weź tu, człowieku, wytłumacz samemu sobie, gdzie zaczyna się koło.

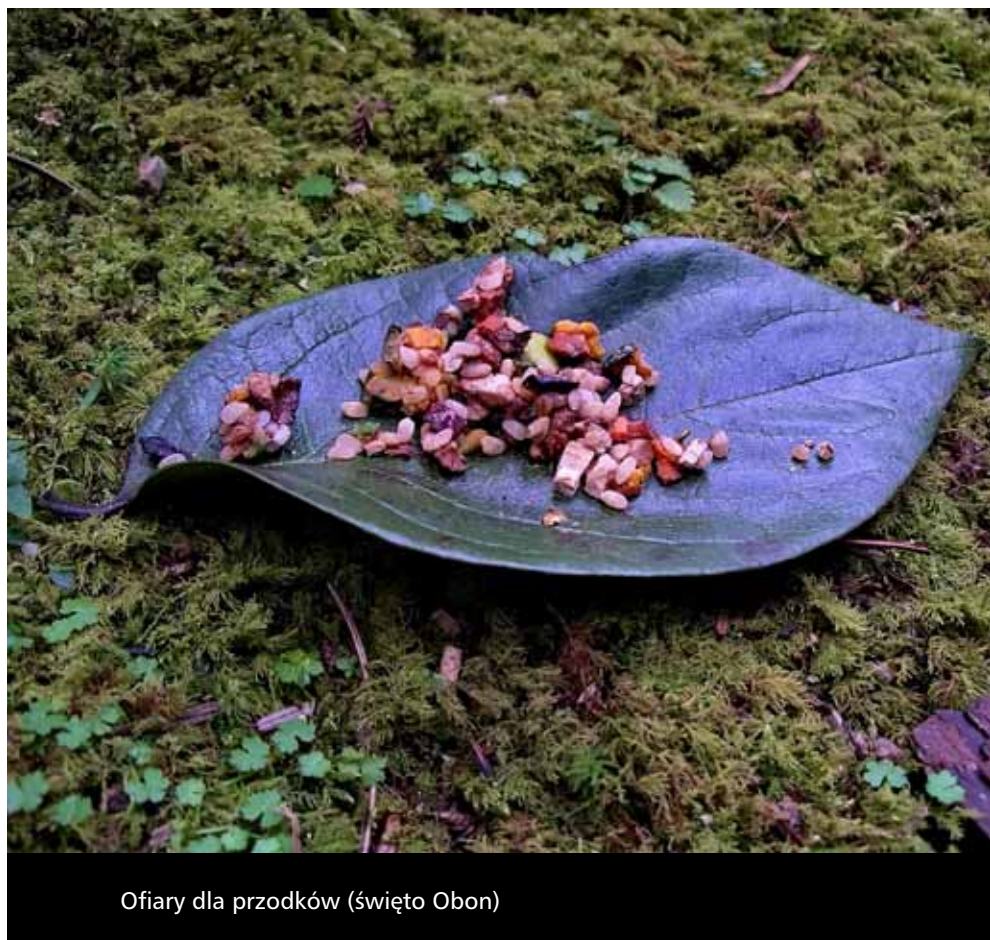
W poszczególnych tradycjach buddyjskich można znaleźć różne ceremonie odprawiane w intencji osób, które opuściły krainę ludzi. W tradycji japońskiego buddyzmu zen istnieje święto O-bon, obchodzone w połowie sierpnia, kiedy to duchy zmarłych przodków odwiedzają swe domy na ziemi, witane przez żyjących wieszanymi w domach papierowymi latarniami. Buduje się także ołtarze z ofiarą z kwiatów i pokarmów. Ostatniego dnia święta lampiony są kładzione na wodzie, by wskazały duchom przodków drogę powrotną. Z tym radosnym w swym charakterze świętem często łączą się barwne festiwale, podczas których specjalne miejsce zajmuje taniec Bon Odori, specyficzny dla każdego regionu Japonii. Taniec wg tradycji stworzył uczeń Buddy o imieniu Maha Maudgalyayana, któremu po wykonaniu wskazań Buddy udało się uwolnić swoją matkę, nie szczęśliwie wcieloną w krainie głodnych duchów – jego radość była tak wielka, że zaczął tańczyć, i to dlatego do dziś w Japonii tańczy się radośnie dla upamiętnienia zmarłych przodków.

Od znajomych z sanghi dowiaduję się tymczasem o tybetańskiej ceremonii, zwanej Sukhavati. Samo to słowo oznacza w sanskrycie Czystą Krainę, czyli miejsce zamieszkałe przez istoty oświecone, bodhisattwów, najszcześniejsze miejsce, w którym może odrodzić się umysł – rytuał jest odprawiany właśnie w tej intencji, by zmarła\_y tam się odrodziła\_ł. W Tybecie ceremonia odbywała się w jak najkrótszym

czasie po śmierci, najlepiej w pokoju, w którym znajdowało się ciało. Należało zbudować niewielki ołtarz, na którym stawiano fotografię zmarłej\_go, kwiaty, świecę i kadzidło. Sama ceremonia wymagała uzupełnienia ołtarza o ofiarę w postaci ulubionych potraw i napitków zmarłej\_go. Rytuał rozpoczynał się od krótkiej medytacji, np. tonglen, po czym następowały krótka mowa osoby prowadzącej o życiu i śmierci i ich znaczeniu w buddyzmie, a po niej laudacje. Na koniec recytowano lub śpiewano specjalny tekst modlitwy o pomyślne odrodzenie, przy ostatniej strofie podpalając zdjęcie lub inne wyobrażenie

zmarłej\_go, przymocowane do stojącej w misce z ryżem lub piaskiem pałeczki – inkantacje ostatniego wersu *Namo Amitabhaya Hri* (co można przełożyć jako: „Chwała Buddzie Amithabie, Buddzie Nieograniczonego Światła, źródłu życia i światła”) powtarzano aż do momentu całkowitego spalenia fotografii i rozwiania się dymu. Ryż z miseczki oraz potrawy z ołtarza należało następnie w godny sposób oddać naturze.

Ceremonię taką odprawia się również w dzisiejszych czasach; co ważne, może prowadzić ją dowolna osoba praktykująca, nie są wymagane dodatkowe inicjacje.



Ofiary dla przodków (święto Obon)

- Opis i fragmenty komentarza do „praktyki trupowiska” zaczerpnięte z mowy Dharmy Pemy Cziedryn *Awakening In The Charnel Ground* (Przebudzenie na trupowisku), dostępnej za darmo

poprzez iTunes w ramach podcastu Mangala Shri Bhuti – The Link (emisja z 24 lipca 2011); strona podcastu: <http://itunes.apple.com/us/podcast/mangala-shri-bhuti-the-link/id350035466> - tam

mowa dostępna w całości.

- Rozważania o chmurze, oczach Dharmy i nirwanie na podstawie mowy Dharmy Thich Nhat Hanha *No Birth No Death* (Nie ma narodzin, nie



No dobrze. Jestem buddystą od czterech miesięcy. Co ja właściwie wiem o śmierci w buddyzmie?

### Teoria

niezmiennym „ja”, z którym utożsamiamy się przez całe życie, a które – jak nam tłumaczono – po śmierci stanie przed Sądem, skąd trafi do Nieba (najchętniej), Czyśćca (ewentualnie) lub Piekła (co nie daj Boże). Łącząc to z reinkarnacją wy-

samo (choć z jakiegoś powodu nie pamięta tego, co przydarzyło mu się w poprzednich wcieleniach). Nie brak poglądów i religii, które bazują na takiej wizji, ale buddyzm do nich nie należy.

W buddyzmie samo zdarzenie śmierci postrzegane jest jedynie jako zakończenie przejawienia w cielesnej formie indywidualnego strumienia (czy też kontinuum) świadomości, który jednak nie ma nic wspólnego z duszą w potocznym rozumieniu, wyniesionym z naszego kręgu kulturowego. Po śmierci ciała strumień świadomości najczęściej wciela się ponownie, a forma tego wcielenia zależy od zgromadzonej karmy, czyli skutków wcześniejszych działań (wcieleniach). Wcielenie może nastąpić w jednej z sześciu krain ponownych narodzin, przedstawianych tradycyjnie w formie tzw. koła życia. Są to krainy bogiń\_ów, półbogiń\_ów (tytanek\_ów), ludzi, zwierząt, głodnych duchów oraz istot piekielnych. Odrodzenie w pierwszych trzech z nich uznawane jest za pomyślne, w przeciwieństwie do trzech kolejnych. Warto znów zwrócić uwagę na znaczenie słów – w kręgu kultury europejskiej na hasło „kraina bogiń\_ów” widzimy od razu Olimpy i Asgardy, tymczasem w tradycji buddyjskiej światy bogiń\_ów i półbogiń\_ów nie są wcale wiele lepsze od świata ludzi. Tak samo jak nas, istoty z wszystkich pozostałych światów coś pęta w kole wiecznych odrodzeń. Dla ludzi głównym uwiązaniem są ignorancja i egoizm, tymczasem np. boginie\_ów trzyma tutaj fakt, że, podążając ścieżką rozwoju duchowego, osiadły\_edli na laurach postępów – jest im na tyle dobrze, że przestają dążyć do oświecenia. W efekcie, mimo iż świat ludzi znajduje się niejako „poniżej” światów bogiń\_ów i półbogiń\_ów,



„Wcielenie może nastąpić w jednej z sześciu krain ponownych narodzin”.

Z buddyzmem kojarzy się często niemal automatycznie słowo „reinkarnacja”, w najbardziej potocznej wersji rozumiane jako „wędrowka dusz”. Wychowane\_i w tradycji i kulturze judeo-chrześcijańskiej, słysząc „dusza”, automatycznie myślimy o jakimś trwałym,

obrażamy sobie, że jakimś sposobem to „ja”, zamiast znanego nam jednorazowego przejścia z życia doczesnego do wiecznego, wędruje raz po raz z ciała do ciała, przekraczając kolejne bramy śmierci i narodzin – w różnych ciałach, lecz wciąż co do esencji to samo i takie

## Źródła

ma śmierci), udzielonej 31. marca 2011 r. na Uniwersytecie Buddyjskim Mahachulalongkornrajavidhayalaya (MCU) w Bangkoku; mowa w całości dostępna pod adresem [\[dio.org/2011/04/28/understanding-our-mind-no-birth-no-death/\]\(http://dio.org/2011/04/28/understanding-our-mind-no-birth-no-death/\).](http://tnhau-</a></p>
</div>
<div data-bbox=)

- Medytacja z przodkami na podstawie mowy Dharmy Thich Nhat Hanha *Growing Corn* (Wzrastanie ziarna kukurydzy),

udzielonej 11 sierpnia 2011 roku na University of British Columbia w Vancouver; mowa, skierowana do dzieci, w całości dostępna pod adresem <http://tnhaudio.org/2011/08/12/growing-corn/>.





to odrodzenie w nim uważane jest za najszczęśliwsze, jako dające możliwość osiągnięcia Oświecenia (nirwany), czyli wyjścia poza odwieczny krąg kolejnych wcieleń (samsarę); dzięki nagromadzonej karmie nawet po narodzinach w gorszym ze światów możliwe jest ponowne, bardziej pomyślne odrodzenie, dające możliwość zbliżenia się do osiągnięcia Oświecenia. Warto też chyba zaznaczyć, że, podobnie jak wiele innych pojęć, „sześć krain ponownych narodzin” czasem rozumie się dosłownie, kiedy indziej jedynie jako metaforę, w tym przypadku dla różnych stanów ludzkiego umysłu.

Ponieważ w momencie fizycznej śmierci strumień świadomości nie przestaje istnieć i doświadczać, sama śmierć jest tylko kolejnym doświadczeniem, po którym przyjdą następne. To, co dzieje się po niej, opisane jest dość dokładnie w tradycyjnym tybetańskim tekście *Bar-do Thodol*, czyli Wielkie wyzwolenie poprzez słuchanie w stanie Bar-do, szerzej znanym jako *Tybetańska księga śmierci* (lub *umierania*). Bar-do to kilkuetapowy stan pośredni pomiędzy śmiercią a kolejnymi narodzinami, mogący trwać od kilku aż do 49 dni. W tym czasie pozbawiona ciała świadomość może zarówno dostąpić Oświecenia i wyzwolenia od konieczności kolejnych narodzin, lub znaleźć nowe ciało, zgodne z uzbieranymi karmicznymi nasionami. A czemu „...poprzez słuchanie”? W *Księdze śmierci* zaleca się czytanie tekstu na głos w obecności osoby umierającej, a później samego już jej ciała – wierzy się, że świadomość po opuszczeniu ciała jest bardzo wyczulona i receptywna, czytanie księgi ma jej posłużyć za instrukcje poruszania się po stanie pośrednim i ułatwić osiągnięcie Oświecenia lub co najmniej pomyślnych kolejnych narodzin.

Sam moment śmierci ciała jest bardzo istotny. W buddyzmie tybetańskim uważa się, że szanse na uwolnienie z samsary lub pomyślne odrodzenie w dużym stopniu zależą od stanu umy-

oraz przygotowanie odpowiedniej oprawy: ołtarza z wyobrażeniami buddów i nauczycielek\_i, kwiatów, czytania sutr, wszystkiego, co może podnieść nastrój i wzmocnić świadomość. Najbliż-



„W buddyzmie tybetańskim uważa się, że szanse na uwolnienie z samsary (...) zależą od stanu umysłu w momencie śmierci”.

stwu w momencie śmierci – jeśli umysł będzie świadomy, spokojny i pogodny, szanse te rosną. Dlatego bardzo istotne są pomoc najbliższych wobec umierającej osoby, zapewnienie jej spokoju, komfortu, pomoc w załatwieniu ostatnich spraw lub rozwiązaniu konfliktów

szere\_i i osoby pozostające w kontakcie z umierającym powinny\_i też powstrzymać się od wyrażania żalu i poczucia straty, związanych z odejściem tej osoby, jako że te emocje mogą wzbudzać w niej przywiązanie i ignięcie do formy cielesnej, zmniejszające szanse na po-

• Informacje nt. święta O-bon zawdzięczam artykułowi Ewy Wydrzyńskiej *Radosna uroczystość – Obon* ze strony [http://szybkajazda.pl/kultura/article,radosna\\_uroczystosc\\_obon,4235,1,1,1.html](http://szybkajazda.pl/kultura/article,radosna_uroczystosc_obon,4235,1,1,1.html).

Choć niecytowane dokładnie, na powyższy tekst miały również wpływ wszelkie inne nauki buddyjskie, które przeczytałem lub których wysłuchałem, pochodzące od wspomnianych

w tekście Pemy Cziedryn, Fleeta Maulla, Czogiama Trungpy Rinpocze i Thich Nhat Hanha, a także Sakjonga Miphama Rinpocze, Dzigara Kongtrüla Rinpocze, Dzongsara



myślne odrodzenie. Z tych wszystkich powodów samobójstwo uważane jest zazwyczaj za wyjątkowo nieszczęśliwy sposób umierania, obarczający świadomość eksplozją negatywnych odczuć i emocji.

Po tym czasie wstępuje do światła lub przechodzi w kolejne etapy stanu bardo, w którym zdaje już sobie sprawę ze swego położenia. Od tego momentu ciało jest już tylko pustym naczyniem. Wkrótce następuje pogrzeb, najczęściej w formie

## Rozdziobią nas

Wysokogórskie powietrze, rzadkie i ostre, niesie zapach dymu z jałowca. Wszędzie wokół błękitne do bólu niebo, po którym krążą sępy. Nie brak ich też za ogrodzeniem niewielkiej łąki, porastającej skalisty grzbiet. Szybują. Siedzą. Czekają.

Raptem parę metrów od nich, po wewnętrznej stronie ogrodzenia wiadać kamienny krąg. Obok niego mary, na których leży owinięty w biały całun zmarły. Podchodzą mężczyźni w długich, białych fartuchach i odsłaniają zwłoki, nagie, zeszytwniałe, obrzmiałe. Idą w ruch ogromne tasaki, połykujące w jaskrawym słońcu – najpierw ostrzone wprawnymi ruchami o okoliczne skały, później rozcinające ciało, by wydobyć zeń organy wewnętrzne. Już po pierwszym cięciu sępy zaczynają się zbliżać, więc niektórzy mężczyźni machaniem kijów i krzykiem odganiają niecierpliwie ptaki. Nagle, na sygnał jednego z tnących, mężczyźni wycofują się. Stado spada na ciało, zakrywając je kompletnie. Łyse głowy sępów jedna za drugą nurkują w dół, a twarde dzioby odrywają fragmenty mięsa.

Mija niecały kwadrans, podczas którego słychać tylko szelest piór, krótkie, gardłowe dźwięki i odgłos rozszarpywanego ciała, aż wreszcie zaspokojone ptaki odstępują, zostawiając jedynie okrwawiony szkielet. Mężczyźni ponownie podchodzą, odganiając ostatnie sępy, i wielkimi pałkami rozkruszają kości na drobne kawałeczki. To, co zostało, mieszane jest z mąką jęczmienną i rzucane krukowi i jastrzębiom, czekającym nieopodal na swoją kolej. Najchciwsze z pozostałych wciąż w okolicy sępów rzucają się na większe fragmenty chrząstek i łapczywie je pożerają. Nie mija pół godziny, gdy z ciała



„W kulturach okołohimalajskich (...) trupowisko jest bardzo ważne nie tylko ze względu na swoją fizyczną funkcję”.

Po śmierci ciało pozostawiane jest w domu przez 3 lub 4 dni w otoczeniu kwiatów. Towarzyszą mu mniszki\_si lub bliskie osoby, modlące się o pomyślnie narodziny. Wierzy się, że w tym czasie świadomość pozostaje przy ciele, nie wiedząc jeszcze, że doświadcza już śmierci.

kreacji. Ale nie w Tybecie, gdzie nie ma w nadmiarze ani drewna opałowego, ani miękkiej ziemi, w której można wykopać grób. Są natomiast wzgórza, skały i sępy. I miejsca zwane *durtro*. Po polsku znaczenie tej nazwy najlepiej oddaje nieco zapomniane słowo – trupowisko.

## Źródła

Dżamjanga Kjence Rinpocze, Charlotte Joko Beck oraz Dorothei Gädeke, Beate Kirchhof-Schlage, Magdy Branciewicz i wielu innych, wspaniałych nauczycielek\_li. Jeśli

w napisanych słowach udało mi się zbliżyć do prawdy, to jest to ich zasługa, jeśli natomiast popełniłem błędy lub przeoczenia, to jedyną osobą za to odpowiedzialną jestem ja sam.

Osoby zainteresowane dalszym zgłębieniem tematyki buddyjskiego spojrzenia na śmierć – perspektywą metafizyczną, opisem przebiegu śmierci, pomocą osobom umierają-





nie pozostaje ani jeden kawałek. Zniknęło. Mężczyźni również odchodzą, ich praca na dziś skończona – to był trzeci tego dnia powietrzny pogrzeb. Na szczyt wzgórza powraca spokój.

Tak wygląda tzw. pogrzeb powietrzny w dzisiejszym Tybecie, jeśli bliscy zmarłej osoby mogą pozwolić sobie na pełną ceremonię. Dawniej, gdy bliskich nie było stać na kremację ani pełen rytuał, ciała zmarłych po prostu zostawiano w wyznaczonych do tego celu miejscach. Z czasem zwłoki ulegały rozkładowi i niszczały pod wpływem sił natury, zarówno ożywionych, jak i nieożywionych.

W kulturach okołohimalajskich – głównie w hinduizmie i buddyzmie – trupowisko jest bardzo ważne nie tylko ze względu na swoją fizyczną funkcję, ale również poprzez symbolikę i moc znaczeń, które ze sobą niesie. To miejsce makabryczne, przerażające, zwłaszcza nocą, wypełnione wydzielającymi właściwy im zapach ludzkimi szczątkami w różnych stopniach rozkładu, nawiedzane przez dzikie bestie, ghule oraz lgnące do strachu, wygodniałe duchy, miejsce przepelnione tym, co odrażające. To wszystko sprawia, że *durtró* jest idealnym i zalecanym miejscem do praktyki medytacji, która ze względu na swoją intensywność może przynieść kres przywiązaniu do ciała i życia, lgnięciu do ciała w przyszłym życiu, strachowi przed śmiercią i obrzydzeniu nietrwałością ciała; pozwala uzmysłowić sobie, że to wszystko, co widać wokół, dotyczy też tego ciała, w którym właśnie jesteśmy, i pogodzić się z tym.

Niezwykle jest to, że wcale nie trzeba jechać do Tybetu, by skorzystać z dobrodziejstw takiej praktyki. Każdy człowiek ma swoje własne trupowisko, ukryte głęboko w sercu.

### Praktyka

Pema Cziedryn może jawić się jako specjalistka od spraw trudnych i beznaocznych. *Kiedy życie nas przerasta, Za-*

my świadome\_i w tych przerażających miejscach, możemy się czegoś o sobie nauczyć, a może i od czegoś uwolnić.

W ubiegłym roku trafiłem na dostępny w internecie wykład Pemy *Przebudze-*



Pema Cziedryn – buddyjska mniszka i nauczycielka

*cznij tam, gdzie jesteś, Miejsca, które budzą lęk* – same tytuły jej książek mówią o tym, że nie zawsze jest tak, jak byśmy chcieli\_eli. Gdy otworzymy jej książki i przyjmujemy zawartą tam mądrość, dowiadujemy się, że to wcale nie jest tak źle, jak nam się wydaje. Że jeśli pozostanie-

nie na trupowisku (*Awakening In The Charnel Ground*), który ukazał się w ramach podcastu *Mangala Shri Bhuti – The Link* (normalnie można tam co tydzień usłyszeć mowę Dharmy Dzigara Kongtrüla Rinpocze, który jest obecnie jednym z nauczycieli Pemy, ale zdarzają się też

cym i pogrążonym w smutku – mogą sięgnąć po książkę *Tybetańska księga życia i umierania* Sogjala Rinpocze; trudno o tytuł bardziej kompletny i wyczerpujący w tej dziedzinie.

Zaintrygowanym sylwetką Fleeta Maulla polecam wysłuchanie jego wykładu *The Only Way Out Is Through* (Żeby wyjść, trzeba przejść) na stronie Instytutu i Centrum Zen Upaya, <http://>

[www.upaya.org/dharma/the-only-way-out-is-through/](http://www.upaya.org/dharma/the-only-way-out-is-through/). Tamże dostępny jest również cykl wykładów *Dharma on the Edge* (Dharma na krawędzi), prowadzonych wraz z roshi



goście). Pema opowiada, jak trudne doświadczenie obezwładniającej, wszechogarniającej emocji – jak choćby strachu, gniewu, rozpacz – można spróbować potraktować właśnie jako praktykę medytacji na naszym wewnętrznym trupowisku).

Podobnie jest z prezentowaną przez Pemę dużo prostszą odmianą tej praktyki, dostępną zasadniczo dla wszystkich, którzy posiadli już wstępne obycie z pracą z uważnością. Pema zaleca, by w obecności intensywne-

głąb. I, jak mówi Pema, jeśli nie możesz tam długo wytrzymać, to dobrze – „nie-długo” to jak na początek wystarczająco długo. 5, 15, 30 sekund – minuta to już sporo jak na początek tej praktyki.

Pema przytacza również słowa swojego pierwszego nauczyciela, Czogiama Trungpy Rinpocze; mawiał on, by traktować to nasze wewnętrzne trupowisko – czyli miejsce, w którym spotykamy się z tym, co w nas przerażające, czego się boimy, co w nas samych budzi niepokój – jako swój matecznik, ziemię, z której się wyrosło i na której możemy uczyć się i wzrastać. To jednakże nastąpi wtedy, gdy pozwolimy sobie na uważną i akceptującą obecność w tym miejscu, bez ucieczki, bez przekonywania samych siebie, jak powinno być, bez oszukiwania samych siebie.

### Piekło

Inny uczeń Czogiama Trungpy Rinpocze, Fleet Maull, spędził na różnego rodzaju trupowiskach mnóstwo czasu i wciąż tam wraca. Jeszcze za życia swojego nauczyciela, w 1985 roku został skazany za przemyt narkotyków na karę 25 lat więzienia w zakładzie o zaostrożnym rygorze. Gdy zapadł wyrok, udał się do swojego nauczyciela z pytaniem, co ma zrobić – chciał uciec. Usłyszał odpowiedź: „Zostań, nie uciekaj od swojego życia” i zapewnienie, że w więzieniu będzie mógł kontynuować praktykę i wciąż być jego uczniem. I faktycznie, mimo ekstremalnie trudnych warunków i ciągłego zagrożenia, Fleet Maull podjął w więzieniu praktykę, czym ostatecznie zdobył szacunek współwięźniów, którzy podziwiali jego konsekwencję i dyscyplinę. Zaczął też pracować z chorymi i umierającymi w więzieniu, by wreszcie założyć Prison Dharma Network (Wię-



Thich Nhat Hanh – wietnamski mnich, mistrz zen

wisku. Pierwotną rolą fizycznego pójścia w takie miejsce było wstrząśnięcie osobą praktykującą: jeśli była w stanie praktykować, utrzymać świadomość i uważność mimo intensywności wielopoziomowego strachu o swoje życie, miała szansę na osiągnięcie głębokich wglądów i odmia-

go doświadczenia obezwładniającej emocji spróbować pozwolić jej po prostu być i doświadczyć jej takiej, jaką jest; należy robić to w sposób możliwie otwarty, bez uciekania w opowiadanie sobie swojej historii na temat tego doświadczenia, bez niekontrolowanego nurkowania w jego

## Źródła

Joan Halifax, dotyczących drogi buddyzmu społecznie zaangażowanego – wiele tu faktów, przemyśleń i ćwiczeń związanych z działalnością Berniego Glassmana i Zen Peacemakers

Institute, jak również odniesień do osobistych doświadczeń Fleeta z więzienia oraz odosobnień ulicznych i wydarzeń typu „Dawanie świadectwa” – tych w Auschwitz-Birkenau, ale

też na miejscu ludobójstwa w Rwandzie (<http://www.upaya.org/dharma/dharma-at-the-edge/> i <http://www.upaya.org/dharma/dharma-on-the-edge-all-10-parts/>). Oprócz Prison





zienną Sieć Dharma), organizację popularyzującą medytację wśród więźniów. Odbывая karę przeszedł również szkolenie w tradycji zen pod kierunkiem roshiego Berniego Glassmana i roshi Joan Halifax, by już po wyjściu z więzienia (ostatecznie odsiedział 14 lat) otrzymać od roshi Joan święcenia i tytuł sensei. O swoich doświadczeniach za kratami napisał poruszającą książkę *Dharma w piekle* (oryg. *Dharma in Hell* – niestety, niedostępna w jęz. polskim).

Dziś Fleet Maull, służąc jako *aczarya*, czyli wysoki rangą nauczyciel w tradycji buddyźmu Szambali, jest również zaangażowany w wiele projektów związanych z pomocą osobom w więzieniach, również śmiertelnie chorym, pracą z bezdomnymi, mediacją w konfliktach; należy do założonego przez Berniego Glassmana Zen Peacemakers Institute (Instytutu Niosących Pokój w Duchu Zen, w Polsce reprezentowanego przez Polską Wspólnotę Pokoju), który krzewi buddyzm społecznie zaangażowany. To właśnie ta organizacja stoi za zwoływanymi rokrocznie od 17 już lat jesiennymi odosobnieniami ekumenicznymi pod hasłem „Dawanie świadectwa” (ang. *Bearing Witness*), odbywającymi się na terenie obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Przyświecają im trzy zasady, będące jednocześnie podstawą działania samych Zen Peacemakers: pusty umysł (brak uprzedzeń i oczekiwań), dawanie świadectwa i pełne miłości działanie. Podobnie wyglądają tzw. „odosobnienia uliczne”: przyszli pracownicy pomocy społecznej i inni – i chętni i mieszkają po prostu w biednych, tonących od problemów społecznych dzielnicach, często na ulicy, wśród ludzi, którym być może już wkrótce będą niosły eśli pomoc.

Trudno mi nie myśleć o siedzeniu w medytacji po kilka godzin dziennie na zwirowisku, peronach śmierci czy w slumsach inaczej, niż właśnie o dzisiejszym, tak bardzo nam przecież nieodległym

formujących postrzeganie – nie sposób nie dostrzec, że mimo innego miejsca i czasu, rdzeń, forma i efekty tej praktyki pozostają dokładnie takie same, jak dawnym Tybecie.



„Za godzinę, a może dopiero jutro, chmury już tu nie będą. Spadnie deszcz lub śnieg”.

sposobie na praktykę w *durtro*. Czytając świadectwa osób, które uczestniczyły w tych odosobnieniach, ich pełne pokory relacje z doświadczeń pracy ze swoimi radykalnymi emocjami, które pojawiają się w tych niewyobrażalnych miejscach, doświadczeń niekiedy całkowicie trans-

### Chmura w szklance herbaty

Jako jeden z pierwszych i ważniejszych wglądów, do których można dorzeć podczas praktyki medytacji na trupowisku, Pema Cziedryn podaje osiągnięcie świadomości, że te przerażające,

Dharma Network, Fleet Maull utworzył również National Prison Hospice, instytucję zajmującą się opieką paliatywną w więzieniach – o pracy z umierającymi w tak ekstremalnych

warunkach traktują kolejne cztery wykłady w cyklu *Contemplative Care* (Opieka kontemplacyjna): <http://www.upaya.org/dharma/contemplative-care-series-all-4-parts/>

Zainteresowanym naukami Czogijama Trungpy Rinpocze, wizją Szambali i Wielkiego Słońca Wschodu polecam lekturę wydanych po polsku książek tego autora, *Mit wolności*



obezwładniające emocje nie są niczym trwałym, że dając im świadomie uwagę uczymy się dostrzegać, że nie bardzo możemy je dotknąć czy zlokalizować. To jedno z najbardziej głębokich spostrzeżeń, ponieważ za nim otwierają się drzwi do całkiem nowego świata. Takiego, w którym nie ma początku i końca, przychodzenia i odchodzenia, narodzin ani śmierci. I nie ma też strachu przed nimi.

Thich Nhat Hanh, wietnamski mnich i nauczyciel buddyjski, wskazuje na różnicę pomiędzy naszym odbiorem i opisem świata, a czymś, co nazywa „rzeczywistością ostateczną”. Różne sanskryckie słowa opisują tę ostatnią – jednym jest *thatata*, czyli „takość”, innym nirwana, czyli „ujednoznacznienie”. Koniec końców zawsze chodzi o to, że rzeczywistość ostateczna wymyka się pojęciom i koncepcjom, wszystkie je przekraczając. Ujednoznacznienie oznacza tutaj właśnie przekroczenie wszelkich pojęć i tak lubianych przez nasze umysły dychotomii: istnienia i nieistnienia, narodzin i śmierć, tożsamości i rozłączności... To wszystko są pojęcia, słowa, których używamy, by jakoś poruszać się w otaczającej rzeczywistości; tylko że po drodze zapominamy, że rzeczywistość nie jest z nimi tożsama, że jeśli coś określiliśmy jakimś słowem, za którym stoi całe pole znaczeń, nie oznacza to, że ta właśnie rzecz jest taka, jak nam się wydaje. Słowa i pojęcia stały się dla nas bardziej realne i ważniejsze niż rzeczywistość, i jakże często zapominamy o tym, by wyjść poza stworzony przez nie filtr i spróbować po prostu doświadczyć tego, co wokół, tego, co Czogiam Trungpa Rinpocze w swoich naukach i wizji Szambali nazywał „podstawową dobrocią”. Pojęcia i to ciśnienie powstające między dwoma biegunami każdej dychotomii

stają się źródłem strachu, gniewu, niepokoju, które trawią nas jak płomień. Jeśli przekroczymy same pojęcia, to ogień opartych na nich trawiących nas emocji również zaniknie.

Jak to się ma do nas? Do naszej śmierci, której tak często tak bardzo się boimy? W jednej z swoich mów Dharmy, udostępnianych na bieżąco w internecie, Thich Nhat Hanh przytacza poniższy przykład.

„Spójrzj na chmurę. Tę, która jest teraz za oknem. Godzinę temu jej tu nie było. Czy to oznacza, że ta chmura właśnie się narodziła? Jeśli spojrzysz w nią głęboko, zobaczysz, że aby ta chmura powstała, potrzebny był jakiś zbiornik wodny – pobliskie jezioro lub rzeka, a może daleki ocean, może również para wodna, w którą zmienił się twój pot – oraz ciepło Słońca. Chmura była wcześniej obecna, tylko w innej formie, dopiero gdy nastąpiły odpowiednie warunki, przybrała tę formę, którą widzisz teraz na niebie.

Za godzinę, a może dopiero jutro, chmury już tu nie będzie. Spadnie deszcz lub śnieg. Czy chmura w ten sposób umrze? Jeśli spojrzysz w nią głęboko, zobaczysz, że wciąż tu jest – w wodzie, która wniknęła w glebę, zmoczyła dachy, drzewa i ptaki. Bez tej chmury nie byłoby wody, odżywiającej wszystkie żywe stworzenia wokół ciebie. Być może ta chmura jest teraz w szklance herbaty, którą właśnie pijesz.

Chmura postrzegana w ten sposób, oczami Dharmy, nie przychodzi ani nie odchodzi, nie rodzi się ani nie umiera, jest nielokalna względem zarówno czasu, jak i przestrzeni (to zresztą też tylko kolejne dwa pojęcia, które tworzymy w naszych umysłach). Takie spojrzenie pozwala osobie praktykującej dotknąć nirwany w dowolnym miejscu i o dowolnej porze – dotknąć dosłownie, nie tylko umysłem,

ale też dłońmi i stopami. Z odpowiednią uważnością i koncentracją, spoglądając głęboko w otaczający nas świat możemy dostrzec ich prawdziwą naturę, poza narodzinami i śmiercią, istnieniem i nieistnieniem. Chmura jest teraz w nirwanie – nie musi w nią wkraczać czy jej szukać, to jej własna, zawsze obecna natura. Jej – i nasza też. Bo bez ciebie i mnie, bez naszego potu, nie byłoby tej chmury. Bez tej chmury, bez wody z niej, nie byłoby twojej herbaty. Nie byłoby ciebie i mnie. Chmura, herbata, ty i ja – jesteśmy wszyscy indywidualnymi jednostkami, ale żadne nie mogłoby istnieć bez reszty. To prawda, jesteśmy całkiem różnymi, osobnymi osobami, ale nie jesteśmy też całkowicie rozłączni”.

Tak bardzo utożsamiamy się ze swoim własnym wyobrażeniem o sobie, że bierzemy je za jakąś realną, trwałą, niemal dotykającą rzecz – wydaje nam się, że istnieje jakieś rzeczywiste „ja”. Nie zwracamy uwagi, że to „ja” ciągle się zmienia, ewoluuje i transformuje z dnia na dzień, z chwili na chwilę. Dzisiejszy trzydziestolatek nie jest tą samą osobą, co wtedy, gdy miał 5 lat – ale nie jest też kimś zupełnie innym; jeden nie może istnieć bez drugiego, jest jego bezpośrednią kontynuacją, a jednak nie jest tym samym.

Gdybyśmy byli w stanie spojrzeć oczami Dharmy na siebie samych, mogliśmy z pomocą uważności i koncentracji dostrzec naszą własną naturę, tak jak dostrzegamy naturę chmury. Zobaczylibyśmy, że nie istniejemy w próżni. Że istnieliśmy na długo przed narodzeniem naszych ciał. Że poprzez to, w jaki sposób dotykamy teraz świata i zmieniamy go swoim działaniem, zostaniemy na tym świecie – że świat nie może istnieć bez nas, właśnie takich, jakimi jesteśmy. Że nasze działania mają realny wpływ na otaczającą nas rzeczywistość, mogą

## Źródła

a droga medytacji i przede wszystkim Szambala. Świąta ścieżka wojownika, obecnie dostępnych niestety niemal wyłącznie na rynku wtórnym.



Można również udać się do jednego z polskich ośrodków Szambali – dane kontaktowe, jak również kalendarz medytacji i programów, znajdują się

na stronie [www.szambala.pl](http://www.szambala.pl).  
źródło zdjęć: [www.wikipedia.pl](http://www.wikipedia.pl)



zwiększyć ilość cierpienia lub przysporzyć szczęścia, a to przełoży się bezpośrednio na jakość życia tych wszystkich, którzy pozostaną na tym świecie po śmierci naszego ciała, w tym tych, których najbardziej kochamy. Wtedy moglibyśmy przekroczyć strach i niepokój i po prostu cieszyć się tym czasem, który jest nam dostępny. Nirwana jest dostępna tu i teraz, nie trzeba jej nigdzie szukać – to takłość, nasza prawdziwa natura.

### Bez końca

Do prowadzenia przeze mnie ceremonii Sukhavati ostatecznie nie doszło, pamięć zmarłego została uczczona w inny sposób. Tymczasem dokładnie dziś mijają 2 lata od śmierci mojej babci.

Dobrze pamiętam ten dzień. Żona, syn i ja, wakacje, gorący dzień w ogrodzie pałacu w Kurozwękach, oczekiwanie na zaprzęgnięty do traktora wóz drabiniasty, który miał nas zawieźć do stada pasących się nieopodal bizonów. Synek, wówczas niespełna dwulatek, biegający radośnie z miejsca na miejsce, śmiejący się głosem, oczami, całym ciałem. Błękitne niebo, kilka chmur, przyjemny podmuch wiatru. Telefon, mama. „Babcia umarła.”

Akurat dziś wieczorem, pełnym przypadkiem nocuję w pokoju, w którym spędziła dużą część ostatnich lat swojego życia. Utuliwszy synka do snu, gdy słyhać jeszcze telewizor i głosy rozmów zza ściany, zapalam świeczkę, składam pokłon Buddzie, Dharmie i Sandze, siadam i obserwuję swój oddech. Czekam – jak szklanka świeżo wyciśniętego soku, aż miąższ codziennych spraw opadnie powoli na dno i osiądzie w delikatnym drzeniu. I patrzę głęboko w siebie.

Skąd się wziąłem? Kim jestem? Skąd pochodzę?

Czy pojawiłem się na tym świecie dopiero wtedy, gdy wyjęto mnie z łona mojej mamy? Nie, przecież byłem tu wcześniej, od co najmniej 9 miesięcy.

Czy powstałem wtedy, gdy plemnik mojego taty wniknął w komórkę jajową mojej mamy? Też nie, ten plemnik istniał w moim tacie już wcześniej, podobnie komórka jajowa w mamie; a więc po części istniałem już w każ-

dym z moich rodziców jeszcze zanim powstało to ciało, które wciąż odruchowo nazywam „mną”.

A to oznacza jednocześnie, że tak jak ja istniałem w mamie i tacie, tak oni istnieją we mnie. Bez nich nie byłoby

*Wydech.*

Widzę moich rodziców obecnych w każdej komórce mojego ciała.

*Wdech.*

*Wydech.*

Widzę moje babcię i moich dziad-



Brama Torii – dosłownie „miejsce dla ptaków”, brama prowadząca do świętych miejsc *shintō*.

mnie. Połowa mojego DNA pochodzi od każdego z nich. Jestem ich bezpośrednią kontynuacją. Nie jesteśmy całkowicie rozłącznymi, oddzielnymi istotami, choć jesteśmy przecież jednocześnie osobnymi ludźmi, indywidualnymi jednostkami, każde z własnym ciałem i umysłem.

Ale to znaczy również, że jak moi rodzice żyją we mnie, tak ich rodzice żyją w nich samych. I we mnie też. Bez mojej babci nie byłoby mnie. Moja babcia wciąż we mnie żyje, tak jak ja żyłem w niej nawet wtedy, gdy moja mama nie przejawiała się jeszcze jako indywidualna osoba, ze swoim ciałem i umysłem.

*Wdech.*

Wiem, że robię wdech.

*Wydech.*

Wiem, że robię wydech. Czuję spokój.

*Wdech.*

ków w każdej komórce mojego ciała.

*Wdech.*

Babciu, proszę cię, zapraszam ciebie żyjącą we mnie, byś usiadła i oddychała wraz ze mną.

*Wydech.*

Babcia i wnuk radują się wspólnym oddechem.

*Wdech.*

Uśmiecham się, a babcia we mnie uśmiecha się razem ze mną. Uśmiechamy się razem w spokoju i radości, my dwoje oraz moi rodzice i wszystkie\_cy przodkinie\_owie, które\_rzy żyją we mnie i są obecne\_i w każdej komórce mojego ciała.

*Wydech.*

Moja babcia umarła 2 lata temu. Moja babcia żyje we mnie i uśmiecha się, gdy ja się uśmiecham.

Uśmiecham się.





# Zgroza nagłych cisz

tekst: Monika Chmielewska

Upadł ci jej koniec nosa,  
Z oczu płynie krwawa rosa (...)  
Nie było warg u jej gęby...

Rozmowa mistrza Polikarpa ze Śmiercią (początek XV w.)

Turpizm jako cecha estetyczna (jej nazwa wywodzi się od łacińskiego słowa turpis – brzydki) był ważnym składnikiem światopoglądu pokolenia literackiego '56. Wyrażał się ona spostrzeganiem i eksponowaniem „brzydkiego” aspektu rzeczywistości, antyestetycznego w odniesieniu do wcześniejszych konwencji, stanowiącego bunt wobec opisywania socrealistycznej idylli panującej w kraju. Turpiści w dużej mierze zafascynowani byli średniowiecznym *danse macabre* i barokową *vanitas*.

Naczelnymi reprezentantami turpizmu w Polsce byli Stanisław Grochowiak, Bolesław Leśmian, kontynuatorami zaś Andrzej Bursa, Ernest Bryll i Rafał Wojaczek. Elementy turpizmu znajdziemy w poezji Mirona Białoszewskiego, Tadeusza Różewicza, Zbigniewa Herberta.

Stanisław Grochowiak przekonywał, że poezja nie może uciekać przed brzydotą, jeżeli chce być prawdziwa w mówieniu o ludzkiej egzystencji, ale należy pamiętać także, że poza cierpieniem, bólem, chorobą, śmiercią jest także piękno świata, zaznaczane jedynie, jako świadectwo kruchości. Nawet kiedy poezja opisuje rozkładające się ciało, nie przestaje być sztuką. Tu ukłón do poetów baroku.

Poeci pisali o śmierci dosłownie, nie nadawali jej pięknych epitetów, nie ubierali w wymyślne metafory. Z samego założenia turpizmu śmierć

miała być tak, jaka jest, fizyczna, często połączona z cierpieniem.

Śmierć u turpistów jest literalna, ma wiele twarzy. Jaki bohater taka śmierć, bo każdy z nich umiera inaczej, umiera „śmiercią własną” (B. Leśmian, *Ubóstwo*). Mamy śmierć, która stanowi granicę, jak u Leśmiana przejście przez mur, śmierć groteskową i absurdalną.

Wydawać by się mogło, że śmierć u turpistów jest tylko fizycznym aktem, przemianą form życia, zakończeniem ziemskiego etapu. Nie, jest to raczej pewne doświadczenie człowieka. Z drugiej jednak strony jest okrutna, zupełnie obca człowiekowi i wykracza poza jego rozumienie. Poezja w tym przypadku, zdaje się, jest tylko próbą poznania i pokazania.

W niebie Leśmiana nie ma nic, „...nic tylko płacz i żal, i mrok, i nieświadomość, i zatrata”, „Nicość rozścierwiona od padołów aż do wyżyn”.

„I była zgroza nagłych cisz. I była próżnia w całym niebie!” (B. Leśmian, *Dziewczyzna*).

Śmierć jest bezsensowna, bo sensowne może być tylko coś, co istnieje. Śmierć to próżnia i nicość. „Czemuż tak patrzysz w otchłań bezczasu – (...) / (...) las pokochaj! Nic nie ma prócz lasu”.

Chrześcijańskim aspektem śmierci u Leśmiana są wiążące się z nią otwarte drzwi do wieczności, które niestety już w chwili śmierci wyrwywają człowieka ze wszystkiego, co związane z bliskimi.

Nie ma niczego radosnego w umiarniu, bo przejście z życia ziemskiego do nicości nie jest rajem....

Grochowiak odarł śmierć z jej „woalu piękności”, zostawił same kości. Ukazuje ją środkami groteski, co sprawia, że śmierć staje bardziej przystępna, ale zarazem odpychająca, straszna, brzydka – „totalnie” fizyczna. Grochowiak w opisywaniu śmierci upatrywał prawdę o życiu.

Jak u Leśmiana śmierć jest momentem przejścia, tak u Grochowiaka jest końcem. W pewnym sensie ściąga na ziemię tę patetyczną, poetycką wizję śmierci, jako smutną, co prawda, ale dającą nadzieję na cudowne „życie po”. Ubrana w zwiewne szaty, lub habit, dzierżącą w szkielecim rękę kosę. Ten ostatni element kojarzy się już raczej z wizją Grochowiaka, którego śmierć jest taka, jaka jest, taka, jaką widzimy, a o której boimy się nawet pomyśleć. Jest prosta, zwykła i ohydna, jak brzydkie jest ciało zmarłego człowieka. Nie ma w niej nic z piękna i poezji, kimkolwiek jest umierający, w jakichkolwiek okolicznościach traci swe życie, umiera – kończy życie.

Estetyka brzydoty, groteskowa deformacja przedstawianego świata, dekompozycja języka, przedstawianie zwyczajności, ułomności, potoczności, wszelkiego rodzaju nieoficjalności i prywatności to część światopoglądu artystycznego turpistów, na którego czele znajdowały się tematy śmierci i umierania.

Ileż się pani musiała  
nacierpieć, że  
Ma pani taką białą twarz...  
Że kiedy pani leży,  
włosy jej są jak druty,  
A smutek wisi na uszach  
i brwiach.

Ileż się pani musiała  
nachodzić, że  
Ma pani taką białą twarz...  
Że kiedy pani tak leży  
z podeszwami na wprost,  
Sinieje gwasz.

A ja tu sterczę – kukła –  
a ja tu sterczę – kukła,  
I utrwalam to wszystko  
dla sławy.  
Och, jakże strasznie ta żyła  
jest wypukła,  
Ta gruba gruba żyła nad –  
skrzywionymi brwiami!

Ileż się pani musiała  
nakrzyczeć, że  
Umarła pani tak cicho.  
Tak słabo jak kura,  
Że nie błysnął ani jeden –  
ani najdalszy – grzmot,  
I rozplynęła się  
w kałużach chmura.

Stanisław Grochowiak

# Portretowanie umarłej

*Żałoba – Stavanger, foto: Ela Korolczuk*





# Marija Gimbutas Marija Gimbutas

*Dorobek twórczy Starej Europy nie uległ zatraceniu. Symbole te, mimo przekształcenia, ogromnie wzbogaciły europejską duszę. Historia zachodniej cywilizacji zaczyna się wraz z kulturą grecką i rzadko kiedy zadajemy sobie pytanie, co poprzedzało jej zaranie. Cywilizacja europejska nie zrodziła się w ciągu kilku wieków, jej korzenie sięgają głębiej – sześć tysięcy lat wstecz. To znaczy, że ślady mitów i artystycznych koncepcji Starej Europy, istniejącej między siódmym a czwartym tysiącleciem p.n.e., przeniesione zostały to współczesnego zachodniego świata i stały się częścią jego kulturowego dziedzictwa.*

Przyszła na świat 21 stycznia 1921 roku w Wilnie jako Marija Birutė Alseikaitė. Ojciec, Danielius Alseika (1881-1936), był lekarzem wykształconym na estońskim uniwersytecie w Tartu. Chyba jeszcze bardziej ciekawą postacią była matka, Weronika Janulaitytė-Alseikienė (1883-1971). W 1908 roku obroniła ona doktorat na Uniwersytecie Berlińskim, a potem została pierwszą litewską okulistką. Wraz z mężem założyła szpital w Wilnie. Jej braćmi byli Pranciškus (1874-1952) i Augustinas (1878-1950) Janulaitis, ksiądz katolicki i litewski działacz narodowy oraz prawnik, historyk literatury, członek Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej oraz dyrektor w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Julija Janulaitytė – Biliūnienė Matjošaitienė, ich siostra, stomatolożka, należała do Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej. Krewne Mariji były więc kobietami aktywnymi na niwie publicznej. Jej starszym bratem był Vytautas Kazimieras Alseika (1912-2002), późniejszy litewsko- amerykański dziennikarz i prawnik.

Marija urodziła się w samym apogeum polsko-litewskiego sporu o Wilno. W 1920 roku miał miejsce tzw. „bunt Żeligowskiego”, którego oddziały wkroczyły do miasta. Proklamowano wtedy powstanie tzw. Litwy Środkowej, którą w 1922 roku włączono do Polski. Rodzina Mariji w owym czasie zajmowała stanowisko opozycyjne w stosunku do nowych władz. Trzeba zaznaczyć, że w owym czasie Litwini stanowili zdecydowaną mniejszość mieszkańców miasta (2,09%

według spisu z końca grudnia 1916 roku). Najwięcej było tam Polaków (53,67%) i Żydów (41,45%). W 1931 roku Weronika wraz z dziećmi zamieszkała w Kownie, faktycznej stolicy Litwy, zaś Danjelus pozostał w Wilnie, aby walczyć z Polakami. Siedem lat później Marija rozpoczęła studia na kowieńskim Uniwersytecie im. Witolda Wielkiego. Potem przeniosła się na Uniwersytet Wileński, gdzie pobierała nauki z zakresu archeologii, językoznawstwa, etnologii, folkloru i literatury. Już wtedy zaczęła interesować się dawnymi litewskimi zwyczajami funeralnymi. Napisała pracę magisterską na temat „Rodzaje pochówków na terenie Litwy w epoce żelaza”.

Nie dane było jej jednak kontynuować kariery naukowej w ojczyźnie. W 1939 roku wybuchła II wojna światowa, która zmiotła z powierzchni ziemi cały dotychczasowy świat młodej uczoney i jej rodziny. Po inwazji niemieckiej Marija wróciła do Wilna, gdzie od uchodźców z Białorusi zebrała około 5000 pieśni. W 1941 roku wzięła udział w litewskim powstaniu czerwcowym, skierowanym przeciwko radzieckim władzom okupacyjnym. Rozpoczęły się egzekucje, aresztowania i deportacje. Marija ukrywała się w lasach niedaleko Pożajścia. Jej matka zawsze miała przy sobie truciznę – nie chciała zostać pojmana żywcem. W owym czasie „zniknęło” 25 członków ich rodziny. Kolejnym miejscem, do którego uciekła Marija, było Kowno. W 1941 roku jej mężem został architekt Jurgis Gimbutas, z którym

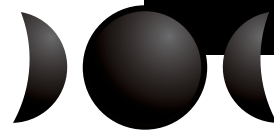
miała trzy córki: Danutė (ur. 1942), Živilė (ur. 1947) i Rasę (ur. 1954). 22 czerwca 1941 roku III Rzesza Niemiecka najechała Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Młodym rodzicom dodatkowych zmartwień dostarczało to, że maleńka Danutė miała alergię na mleko matki. Dwa lata po jej narodzinach Marija wraz z mężem musiała uciekać przed Sowietami do Wiednia, a następnie do Innsbrucku w Austrii, gdzie Jurgis pracował w fabryce, zbombardowanej potem przez aliantów. Wojska radzieckie wkroczyły do tego kraju w kwietniu 1945 roku. Rodzina Gimbutas uciekła do Niemiec rowerem przez góry. Najpierw zatrzymali się na farmie, a później zamieszkali w Tybindze. Rok później doktoryzowała się z archeologii na tamtejszym Uniwersytecie Eberharda Karola. Tytuł jej pracy doktorskiej brzmiał *Die Bestattung in Litauen in der vorgeschichtlichen Zeit* (Prehistoryczne rytuały pogrzebowe na Litwie). W 1947 roku wraz z rodziną wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. Od 1950 roku wykładała na Uniwersytecie Harvarda, a potem na Uniwersytecie Kalifornij-



# spoza czasu

tekst: Sebastian Kotlarz



## Marija Gimbutas Marija Gimbutas

źródło: <http://en.wikipedia.org/wiki/File:Gimbutas.jpg>

Podobizna Mariji Gimbutas na tablicy pamiątkowej w Kownie, przy ulicy Mickiewicza



chizacji i dominacji. Gimbutas pisała o tym tak:

*W Starej Europie mit nie polaryzował rzeczywistości na męską i żeńską, jak miało to miejsce wśród Indoeuropejczyków i wielu innych ludów nomadycznych czy pastersko-stepowych. Obie zasady przejawiały się obok siebie. Męska boskość, w postaci młodego mężczyzny lub samca, zdaje się afirmować wzmagając się moc kreatywnej i aktywnej kobiecości. Żadna z nich nie jest podporządkowana drugiej, a dopełniając się wzajemnie, podwajają swą siłę.*

Owe społeczności, zdaniem badaczki, cechowały także mocno rozwiniętą architekturą i sztuką. Według Gimbutas istniało sześć odmian tej cywilizacji: egejsko-bałkańska, adriatycka, naddunajska, wschodniobałkańska i mołdawsko-ukraińska. Wyznawcy Bogini mieli zamieszkiwać najpiękniejsze części Europy w harmonii z naturą oraz w przekonaniu, że wszyscy ludzie są równi za życia i po śmierci. Sama Gimbutas mawiała, że był „to rodzaj komunizmu w najlepszym znaczeniu tego słowa”. Około III tysiąclecia tzw. p.n.e. owe zogniskowane wokół kobiecości cywilizacje zostały pokonane przez wojowniczych indoeuropejskich koczowników z północnego Kaukazu i stepowych terenów Rosji i Ukrainy.

Zetknęły się **dwa zupełnie odmiennie systemy mitycznych wyobrażeń**. Symbole reprezentujące męskość zastąpiły wyobrażenia Starej Europy. Niektóre stare elementy stopiły się z indoeuropejskimi, współtworząc nowy system symbolicznych wyobrażeń, ale zarazem zatracając swoje pierwotne znaczenie. Jeszcze inne symbole trwały dalej, niejako równolegle, wprowadzając chaos do pierwotnej harmonii. I tak, gubiąc coś i dodając, rozwijały się nowe kompleksy

indoeuropejskiej. Świadectwem tego miały być kurhany oraz zmiany językowe. W latach 1967-1980 prowadziła wykopaliska w Europie (m.in. w Macedonii i byłej Jugosławii), podczas których natrafiła na liczne artefakty z neolitu. Wyniki swoich prac opublikowała w 1974 roku w klasycznej dziś pracy zatytułowanej *The Gods and Goddesses of Old Europe* (Boginie i bogowie Starej Europy).

Potem pojawiły się jeszcze: *The Language of the Goddess* (Język Bogini) (1989) i *The Civilization of the Goddess: The World of Old Europe* (Cywilizacja Bogini. Świat Starej Europy) (1991).

Gimbutas była zwolenniczką tezy o tzw. „cywilizacji Starej Europy”, gynocentrycznej i skupiającej się wokół kultu Wielkiej Bogini, personifikacji sił natury i transformatorce śmierci w życie. Cywilizację tę tworzyły społeczności pokojowo nastawionych rolników. Obowiązywał tam matryfokalny i matrylinearny system społeczny, w którym kobiety były przywódczyniami klanów i królowymi-kapłankami (wspieranymi być może przez braci lub wujów). Do zajęć mężczyzn należały myślistwo i budownictwo. Rozdzielność ról płciowych nie prowadziła jednak do hierar-

skim.

W 1960 roku brała udział w Kongresie Orientalistycznym w Moskwie. Na dwa dni pojechała do Wilna, gdzie po raz pierwszy od 16 lat spotkała się z matką. Po powrocie na uczelnię oskarżono ją o to, że jest rosyjskim szpiegiem. Trzy lata później otrzymała tam stanowisko profesora.

W 1956 roku w Filadelfii po raz pierwszy przedstawiła tzw. „teorię kurhanową”, która uczyniła ją sławną. Teoria ta była związana z rozwojem i rozprzestrzenieniem się ludności pra-





źródło: <http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/c/cf/Marija-Gimbutas-newgrange.jpg>

*symboliczne, które najlepiej odzwierciedlone zostały w greckiej mitologii.*

Głównymi cechami najeźdźców miały być: słabo rozwinięte rolnictwo, wysoko rozwinięta hodowla koni, patriarchalna struktura społeczna i patriarchy system dziedziczenia, silna agresja i dobrze rozwinięta produkcja broni. Ich wierzenia skupiały się wokół trójcy bóstw męskich: boga niebios, boga podziemi i boga piorunów. Boginie odgrywały podrzędną rolę. Gimbutas rozwinęła nową interdyscyplinarną dziedzinę badań, zwaną archeomitologią, za pomocą której starała się zrekonstruować system wierzeń neolitycznych.

W cywilizacji staroeuropejskiej główną rolę odgrywały boginie lub jedna Bogini, objawiająca się pod wieloma postaciami. Mieszkanki\_ncy Starej Europy były\_li zafascynowane\_i cyklicznością życia i śmierci oraz ich związkami z kobiecością. Kobiece ciało symbolizowało wszechświat jako źródło życia i śmierci zawierającej w sobie zacyk ponownych narodzin. Miało ono być wzorem dla neolitycznych budowli sakralnych (np. irlandzkie grobowce megalityczne). Komora grobowa byłaby łonem Bogini – miejscem narodzin i śmierci. Z początku Gimbutas uważała, że staroeuropejski panteon składał się z kilku bóstw. W wydanej w 1987 roku *Encyklopedii religii* (pod redakcją Mircei Eliadego) napisała, że było ich ponad dziesięć. Potem, pod wpływem feministycznego ruchu duchowego, coraz częściej dawała wyraz przekonaniu, że czczono jedną Boginię.

Najstarszymi bóstwami o paleolitycznym pochodzeniu miały być „Ptasia Bogini” (przedstawiano ją w paleolicie w postaci figurek ptaków wodnych, jakiego znamy z terenów dzisiejszej Ukrainy) i „Wężowa Bogini”. Z początku Gimbutas widziała w nich dwie emanacje jednej Bogini Matki, działającej we wszechświecie. Potem doszła do wniosku, że są to dwie odrębne boginie o odmiennych polach działania. „Ptasia Bogini” to dawczyni życia, bogactwa, żywności oraz tkaczka ludzkiego losu.

Na myśl przychodzi tutaj chociażby greckie Mojry lub rzymskie Parki, boginie losu i przeznaczenia: Lachesis lub Decima, Kłoto (z gr. prządka) lub Nona i Atropos lub Morta. Ptasia Bogini miała związek z wodami, bagnami i niebiosami. Przedstawiano ją jako istotę o kobiecych piersiach, wystających pośladkach, skrzydłach, długą szyją i ptasim (bądź wąskim) nosem. Malowano ją także jako kaczkę lub innego ptaka wodnego. Jej symbolami były meandry, równoległe linie, litery V, cyfra 3 lub fale, a świętym zwierzęciem – baran.

Pole działania „Wężowej Bogini” stanowiły płodność i opieka nad rodziną. Być może była także bóstwem regeneracji. Wiązano ją ze słońcem i księżycem. Przedstawiano ją jako istotę o wężowych dłoniach i stopach, która nosi na głowie wężową koronę, symbol mądrości. Jej symbole to spirale i wężowe zwoje. Według Gimbutas obu boginiom oddawano cześć w kulturach kretańskiej i minojskiej, dzięki którym ich kult przetrwał w starożytnej Grecji pod postacią kultu Ateny (jej ptakiem była sowa) lub Hery, pani niebios.

Z paleolitu wywodziła się również Bogini Matka, którą czczono pod postacią łani jako matkę wszechświata. Spokrewnione z nią lub tożsame były: Bogini Narodzin, Bogini Regeneracji, Biała Pani i Ciężarna Bogini. Pierwszą z nich, będącą również boginią śmierci, przedstawiano pod postacią drapieżnego lub padlinożernego ptaka. Kojarzono ją z wizerunkami pochwy, labiryntów, pępowiny i podwójnych toporów symbolizujących życie. Wyobrażano ją sobie pod postacią łani lub żaby. Pod tym samym wizerunkiem miała występować także Bogini Regeneracji, którą przedstawiano również jako rybę, jeża, pszczołę, motyla, kobietę-rybę, kobietę-jeża lub bycze głowy. Twarz Białej Pani, kobiety z rękoma złożonymi na piersiach i złączonymi nogami, zakrywała maska, a łono było silnie wyeksponowane. Jej wyobrażenia sporządzano z kości lub z podobnych materiałów i wkładano do grobów. Macierzyński aspekt Bogini Matki materializował się pod postacią figurek kobiet niosących



Marija Gimbutas w Newgrange,  
Irlandia, wrzesień 1989



dziecko, garbatych kobiet, kobiet z nosidełkami, kobiet w maskach niedźwiedzi, niedźwiedzi lub innych zwierząt z małymi. Do tej pory mało naświetlony jest jej związek z psami. Marija Gimbutas uważała, że pozostałością tego kultu był kult greckiej bogini Hekate, którą często przedstawiano w otoczeniu psów.

Ciężarna Bogini była nazywana przez Gimbutas także Matką Ziemią. W społeczeństwach rolniczych uosabiała ona życiodajną siłę ziemi. Podobnie jak Bogini Matka, była zarówno matką żywych i umarłych. Z czasem miała występować pod postacią diady matka-córka (np. Demeter-Kora/Persefona), z których jedna reprezentowała lato, a druga – zimę. Przedstawiano ją pod postacią kobiety z rękami złożonymi na wydatnym brzuchu. Jej symbole to romb z punktem w środku, dwa romby, trójkąty, podwójne lub poczwórne linie i węże. Świętym zwierzęciem tej bogini była świnia.

Mieszkanki\_ńcy Starej Europy czcili dwóch bogów płci męskiej: „Smutnego Boga” i „Mężczyznę z Pastorałem”. Ten pierwszy ukazuje się nam jako siedzący mężczyzna z rękami złożonymi na kolanach lub przyciśniętymi do twarzy. Czasem jest otoczony przez kobiety, które Gimbutas interpretowała jako „boginie żniw”. „Smutny Bóg” symbolizuje śmierć, zamierającą wegetację. „Mężczyzna z pastorałem” jest duchem puszczy oraz opiekunem zwierząt i myśliwych. Jego wizerunki występują głównie na obszarze nadnadańskiej kultury Tisza. Z początku Gimbutas przypisywała pierwiastkowi męskiemu znacznie większą rolę w panteonie staroeuropejskim. „Bóg Roku” miał być bóstwem wegetacji równym swej partnerce. Wyobrażano go sobie pod postacią mężczyzny-kozła, mężczyzny-byka lub postaci ityfalicznej. Jego symbolami były grzyby, fallusy i formy cylindryczne. W owym okresie uczona kojarzyła z nim postaci dzieci, które miały symbolizować życie wieczne.

Jej hipotezy spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony śro-

dowisk feministycznych i związanych z ruchem wicca. Do prac Gimbutas nawiązuje m.in. teolożka feministyczna Rosemary Radford Ruether, autorka książki *Goddesses and the Divine Feminine: A Western Religious History* (Boginie i boska kobiecość: historia religii zachodnich). Jej admiratorkami są także współczesne czarownice Starhawk i Zsuzsanna Budapest. Ma ona także swoich przeciwników. Zarzuca się jej selektywność w doborze badanych figurek, arbitralność w przypisywaniu im znaczeń oraz brak zainteresowania kontekstem opisywanych znalezisk.

Marija Gimbutas w czerwcu 1993 roku została uhonorowana tytułem doktora honoris causa przez władze Uniwersytetu im Witolda Wielkiego w Kownie. Zmarła 2 lutego 1994 roku w Los Angeles na nowotwór. Spoczęła na Cmentarzu Pietraszuńskim w Kownie przy ulicy .... Gimbutienė (nazwanej tak na jej cześć). W 2004 roku kanadyjska reżyserka Donna Read i wspomniana wcześniej Starhawk nakręciły o niej film „Signs Out of Time” (Znaki spoza czasu).

Gimbutas wierzyła w to, że człowiek nie jest z natury agresywny, oraz w to, że jesteśmy w stanie budować pokojowe społeczeństwa oparte na równości i współpracy. Jej prace budzą i będą budzić kontrowersje, ale jej wielkimi zasługami pozostają interdyscyplinarność i otwarcie na nowe perspektywy. Jej wizja przeszłości może stać się dla nas utopią przyszłości, z której możemy wiele zaczerpnąć. I to jest właśnie znak dla nas.

Przy pisaniu tego artykułu korzystałem z notki biograficznej poświęconej Gimbutas, umieszczonej na stronie internetowej „Dziki Gon” (<http://dziki-gon.pl/>) oraz artykułu Marzenny Jakubczak Natura i Bogini. Ekofeministyczna rewizja mitów według Mariji Gimbutas (<http://www.kulturaihistoria.umcs.lublin.pl/archives/3009>) i artykułu Macieja Szymkiewicza *Od Bachofena do Świętej Historii. Archeologia i antropologia wobec koncepcji matriarchatu i Wielkiej Bogini* (<http://www.antropologia.uw.edu.pl/AR/ar-04-01.pdf>).

# Pussy! Riot!

tekst: Lidia Barc

Zelimchan Jandarbijew, poeta, były prezydent Czecheńskiej Republiki Iczkeria. Zginął 13 lutego 2004 roku w terrorystycznym zamachu bombowym, przeprowadzonym w Katarze przez dwóch agentów rosyjskiej FSB. Agenci, po ekstradycji do Rosji, zostali tam powitani z pełnym ceremoniałem wojskowym

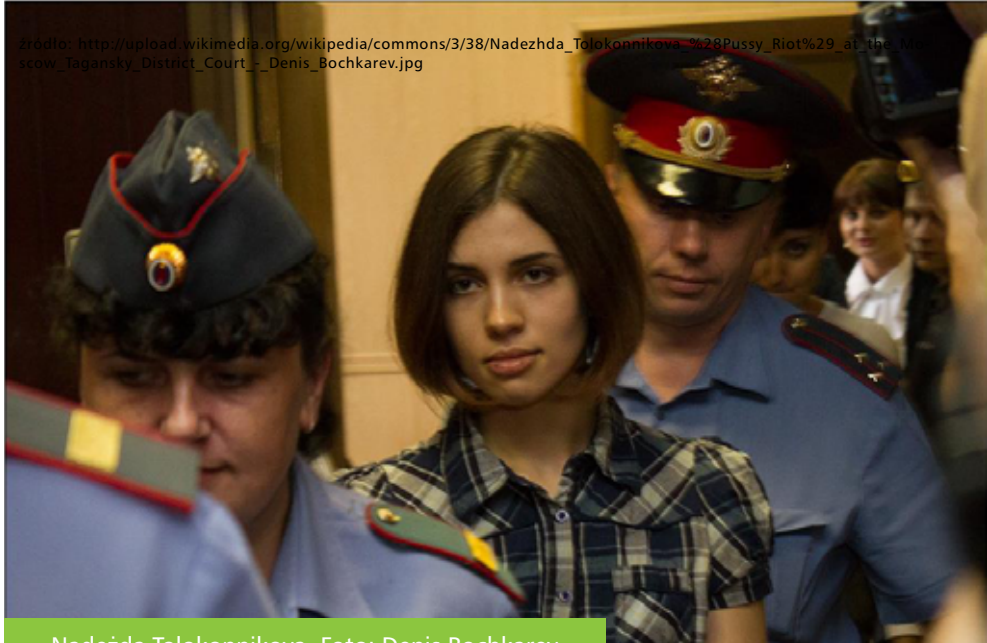
należnym bohaterom. Aleksander Litwinienko, były podpułkownik KGB/FSB. Otruty w 2006 roku w Wielkiej Brytanii izotopem polonu, podanym w herbacie. Zabójca Litwinienki został deportowanym do Dumy. Natalia Estemirowa, dziennikarka, działaczka na rzecz praw człowieka. Uprowadzona w domu

w Groznych i zastrzelona. Zleceniodawca zabójstwa bezpośrednio nadzorował śledztwo w sprawie jej śmierci. Anastazja Baburowa, dziennikarka „Nowej Gazety”, była współpracowniczką anarchistycznej Akcji Autonomicznej. Zamordowana w styczniu 2009 roku przez dwoje nacjonalistów ze zdelega-

źródło: [http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/a/a1/Pussy\\_Riot\\_by\\_Igor\\_Mukhin.jpg](http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/a/a1/Pussy_Riot_by_Igor_Mukhin.jpg)

Pussy Riot. Foto: Igor Mukhin





Nadezhda Tolokonnikova. Foto: Denis Bochkarev

lizowanej organizacji Rosyjska Jedność Narodowa. Wreszcie moja bohaterka, Anna Politkowska, niezależna rosyjska dziennikarka, pisarka. Zastrzelona w windzie w swoim mieszkaniu 7 października 2006 roku. Nieprzypadkowo w dniu urodzin Władimira Putina. Wszystkie wymienione osoby znane były z krytycznego stosunku do administracji prezydenta Putina. Nieoficjalne wyroki śmierci ciąży także na Achmedzie Zakajewie i Borysie Bieriezowskim. Obaj przebywają na uchodźstwie w Londynie.

Dlatego tak wystraszyłam się kiedy zapadł wyrok w sprawie Marii Aliochiny, Nadezhda Tołokonnikowej i Jekateriny Samucewicz, powszechnie znanych jako 3/5 składu rockowej grupy Pussy Riot. Zostały skazane na 2 lata łagru. Boję się, że stamtąd nie wyjdą. Albo wyjdą zmienione. Nie znam swoich możliwości, nie byłam na wojnie ani w sytuacji gdy musiałam walczyć na śmierć i życie o swoją moralność. Ale wyobrażam sobie, że wystarczyłoby mnie kilka razy zgwałcić, kazać urodzić i zabić na moich oczach dziecko. To może się zdarzyć.

Za co się dostało dziewczynom? Piszę o nich „dziewczyny”, ponieważ są mi bliskie z tym, co robią, a przecież chodzi o Artystki, którym uchodzi więcej niż mnie – odbiorczynie Sztuki. Zaśpiewały niepełną wersję „punkowej modlitwy” pod tytułem „Bogurodzico, przegoń Putina” w świątyni Chrystusa Zbawiciela. Uderz w krzyż, a nożyce się odezwią. I skróć cię o głowę, o szacunek, o dobre imię. U nas podobnie było z Dodą. W styczniu tego roku Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa skazał Dodę na 5 000 złotych grzywny za obrazę uczuć religijnych. W jednym z wywiadów powiedziała, że „bardziej wierzy w dinozaury niż w Biblię, bo ciężko wierzyć w coś, co spisał jakiś napruty winem i palący jakieś zioła”. W procesie Dody prokuratura uznała, że wypowiedź artystki była prowokacyjna. Co nie ma nic wspólnego z wolnością słowa, ponieważ Doda wyszła poza zwykłą krytykę. Według sądu naruszyła uczucia religijne w sposób

obiektywny, bo tak to jest odbierane „w kręgu kulturowym, z którego się ona wywodzi”.

Wywodzę się z tego samego kręgu kulturowego, co Doda, ławnicy i prokurator. Nie czuję się obrażona. Czuję się zainspirowana. Do odważnego wyrażania swoich poglądów, do walki z wszechobecną głupotą, systemem sankcjonującym przemoc wobec kobiet, dzieci, osób starszych, niepełnosprawnych i zwierząt. Chcę być człowiekiem w swoim kraju. Tego samego chcę dla swoich siostr w Rosji, Iranie i Nepalu. Bogurodzico przegoń Putina, Gowina, Hołownię, Pospieszalskiego, Cejrowskiego, Tuska, Zanussiego, Terlikowskiego, Marka Jurka, arcybiskupa Michalika\*.

\*Nie wszystkie poglądy wyrażone w artykule zgadzają się z podejściem, jakie prezentuje kolektyw redakcyjny „Trzech Kolorów”.

Marija Alochina. Foto: Denis Bochkarev



Jekaterina Samucewicz. Foto: Denis Bochkarev





# Sa'ah naaghái bik'éh hózhó

## Świat Nawaho



tekst: Ewa Bury

Nawahowie to wyjątkowe plemię. Nawet dziś ich rezerwat – leżący na terenie stanów Arizona, Utah oraz Nowy Meksyk – jest największy ze wszystkich w USA, równy wielkością terytorium Czech. Panuje tam największa autonomia, podobnie jak świadomość praw i tożsamości. Nawahowie, czyli *Naabeehó Dine'é* – *Diné* oznacza po prostu ludzi – stworzyli wyjątkowy system społeczno-kulturalny, na którym mogą śmiało wzorować się rozmaitej maści wolnościowcy, poszukujący nowych rozwiązań dla naszej upadłej cywilizacji.

Obecnie życie Nawaho różni się zdecydowanie od życia w ich świecie sprzed przybycia białych ludzi. Jednak obyczaje Nawaho są nadal pilnie badane i, wciąż na nowo odkrywane, inspirują kolejne pokolenia. Tu będę opisywać społeczno-kulturalne zdobycze *Diné* z czasów sprzed przybycia białych isotot i w skrócie opisywać ten czas jako Świat *Diné*.

Świat *Diné* opiera się na dwóch podstawowych wartościach – *hózhó* i *k'é*. *Hózhó* to piękno i dobro i najpełniej wyraża się w istocie Zmieniającej się Kobiety. Ona sama jest uosobieniem Ziemi. Ziemia ze swoją cyklem życia, ciągłą przemianą i odradzaniem się to zewnętrzny przejaw harmonii, potęgi i piękna jakie charakteryzują wewnątrz Zmieniającej się Kobiety. Owo piękno, owa potęga i moc, harmonia i rytm życia to uniwersalna siła oraz esencja przenikająca wszystko – od kamienia po niebo, od człowieka po źdźbło trawy. To jest właśnie *hózhó*. *Hózhó* Zmieniającej się Kobiety to *hózhó* każdej cząstki istnienia, a *Diné* niezmiennie dążą do *hózhó* i w *hózhó* trwają.

Drugą wartością, wywodzącą się ściśle z ducha *hózhó*, jest *k'é*. Z piękna i mocy, z harmonii i szacunku, jakim jest *hózhó*, powstają najlepsze i pożądane *k'é*, czyli relacje międzyludzkie. *K'é* to wszystkie relacje, wszystkie związki. Nie tylko stosunki panujące wewnątrz rodziny czy całej grupy rodzin, ale stosunek do każdej istoty we wszechświecie. *K'é* to zatem również kodeks postępowania i zobowiązań wobec innych *Diné*, a także całego otoczenia, środowiska, przyrody, kosmosu i wszelkich przejawów istnienia. Ideałem *k'é* była relacja matki i dziecka – pełna ciepła, zrozumienia, serdeczności i szacunku.

Zatem Świat *Diné* zależał od fuzji *hózhó* i *k'é*. Ideał *k'é* – relacja matki z dzieckiem – wywarł przemożny wpływ na kształt stosunków społecznych Nawaho. Zawierał sporo elementów matriarchatu. Matrylinearne było

bowiem dziedziczenie, a dziecko zawsze należało do rodu matki. Relacja z ojcem i jego rodziną posiadała znamiona relacji dalszej, powinowactwa. Najważniejszy pozostawał ród matki: ludzie Nawaho, przedstawiając się, wymieniali najpierw ród, w którym urodzili, czyli właśnie ród matki. Podstawową jednostką społeczności *Diné* nie była jednak taka rodzina, jaką znamy z własnego doświadczenia cywilizacyjnego. Rodzina *Diné* była grupą kilku, a nawet kilkunastu mniejszych rodzin, tworzących skupisko *hogan* – charakterystycznych chat Nawaho. Strukturę rodziny tworzyły li starsza kobieta i jej partner, dalej córki z mężami i swoimi dziećmi, a potem pozostali krewni starszej kobiety. Przywołuje to na myśl strukturę Mosuo. Tego typu rodzina – duża, rozłożysta i matrylinearna – łączyła się w skupiska rodów z innymi, najczęściej dwoma, trzema, rodzinami, formując tzw. outfit, zespół rodowy. Na outficie świat relacji się jednak nie kończył, ponieważ w Świecie *Diné* występowały całe zespoły takich rodów, tworzące razem tzw. grupę lokalną, niczym galaktyki, które łączą się w gromady lokalne. Outfit bądź grupę lokalną formowano w celach ceremonialnych, ekonomicznych czy też wojennych. Członkostwo w nim było płynne, niekoniecznie regularne, a władza egalitarna. Egalitarność władzy wynikała z potężnego nacisku Nawaho na autonomię jednostek, na wyjątkowy szacunek dla odrębności i samoopowiedzialności poszczególnych *Diné*. Owo poszanowanie auto-

W pięknie idę

Z pięknem przede mną idę

Z pięknem poza mną idę

Z pięknem nade mną idę

Z pięknem wokół mnie idę

Znowu nastąpiło piękno

Znowu nastąpiło piękno

Znowu nastąpiło piękno

Znowu nastąpiło piękno

(fragment ceremonialnej  
pieśni Nocnej Drogi)



nomii jednostki było przejawem *k'é* i *hózhó* jednocześnie. Osoba stojąca na czele grupy – *naat'áanii*, która *y* sprawował jednocześnie funkcje przywódcze, nauczycielskie i uzdrowicielskie – nie rządziła *\_ł* nią w naszym pojęciu rządzenia. *Naat'áanii* mogła *\_mógł* wyłącznie sugerować rozwiązania, przemawiać i przekonywać, pozostając przez cały czas w szacunku wobec innych decyzji i zapatrywań, czyli realizując *hózhó* i *k'é*. Ponadto głos mogły *\_li* zabierać wszystkie *\_cy* znaczące *\_y* członkinie *\_owie* rodu czy outfitu, a zwłaszcza kobiety, wśród których kobiety stare, starszyzna kobieca, nie rzadko podejmowały decyzje i formułowały plany. Głównym, można rzec, zgromadzeniem ustawodawczym był *naachid* – organizowany co kilka lat, trwający od jesieni do wiosny wielki wiec wraz z ciągiem ceremonii (*naachid* oznacza dosłownie „gestykulować dłońmi”). *Naachid* gromadził wiele rodów *Diné*. Przewodziło mu sześciu wodzów pokoju i sześciu wodzów wojny, reprezentujących poszczególne rody. Poruszano podczas niego wszystkie sprawy najważniejsze dla wspólnot, od zapewnienia żywności po przedsiębrane wojny, od zawieranych pokojowych paktów po pozyskanie nowych ziem i terenów do wypasu owiec.

W Świecie *Diné* dzieci były najcenniejszym skarbem. Wierzano, że przybywają ze świata Świętych Ludzi i jeszcze długo po narodzeniu zachowują cechy Świętych Ludzi, posługując się ich mową. Dzieci traktowano jako jednostki absolutnie samoodporne. Nie pomagano im, dopóki one same nie zwróciły się do dorosłych o pomoc. Wynikało to z szacunku do ich odrębności. Od najmłodszych lat towarzyszyły dorosłym w ich pracach, najczęściej przy wypasie owiec. Gdy dziecko osiągało stosowny wiek, otrzymywało na własność jagniątko, które miało pielęgnować. Dziecięce ceremonie inicjacyjne, takie jak ceremonia Pierwszego Uśmiechu czy wejście w świat dorosłych podczas ceremonii Nocnej Drogi, uważano za nad wyraz istotne i traktowano ze szczególną po-

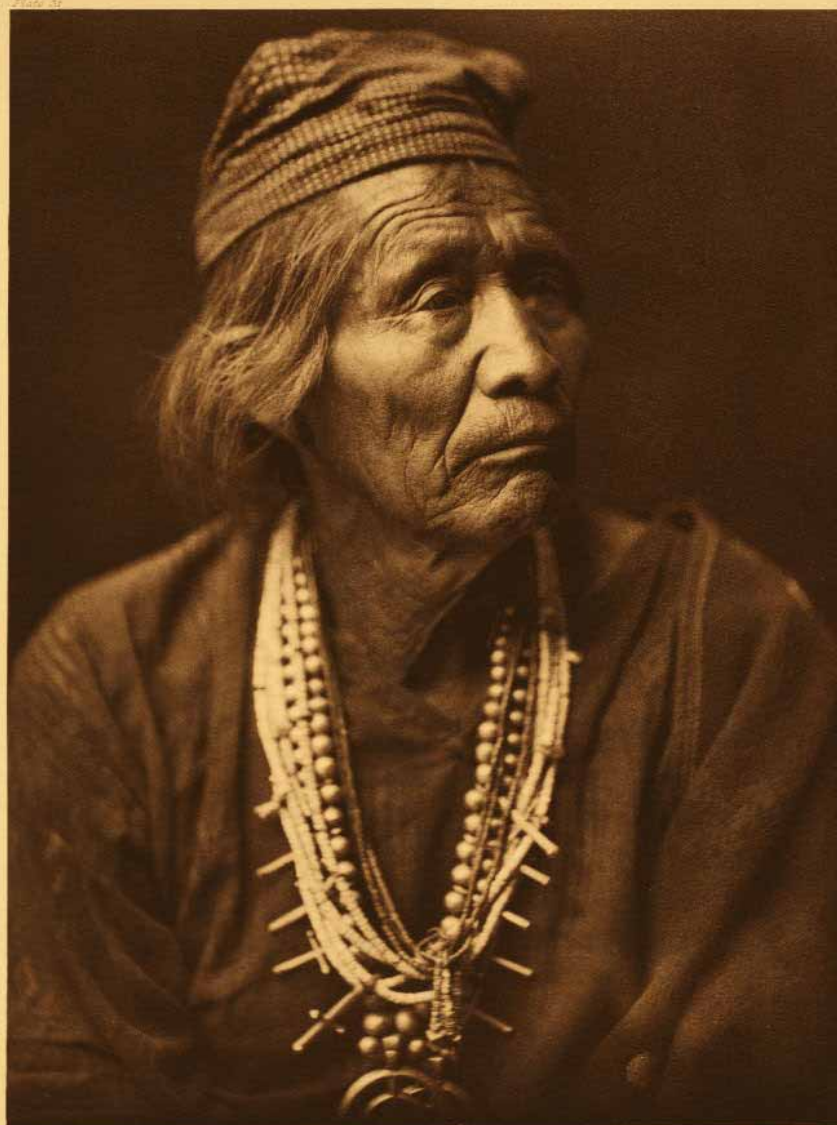
wagą. Ceremonia *kinaaldá*, pierwsza menstruacja kobiety, dla każdej wspólnoty była wielkim wydarzeniem. Młode dziewczyny osiągały wtedy ideał – stawały się odzwierciedleniem Zmieniającej się Kobiety.

O Nawaho i Świecie *Diné* można wiele pisać: o ich pasji – wypasaniu owiec, o wyjątkowej sztuce, szyfrantach Nawaho podczas II wojny światowej, o ich ubiorze z przewagą biżuterii noszonej z lubością zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn, o *nadlee* – osobach trzeciej płci, o bogactwie ceremonii

i lęku przed czarami, o sytuacji współczesnej w rezerwacie nękanym plagą alkoholizmu i bezrobocia, i wielu wielu innych sprawach. Miejmy jednak nadzieję, że idea *hózhó* i *k'é* odrodzi się zarówno u samych Nawaho w rezerwacie, jak i przeniknie do umysłów innych ludzkich nacji i plemion. Myślę, że życie byłoby piękniejsze i prostsze, gdybyśmy żyły *\_li*, jak niegdyś żyły *\_li* *Diné*.

*Sa'ah naaghái bik'éh hózhó!* („Zgodnie z nieustającym odradzaniem się Ziemi i wszystkich istot, niech piękno, harmonia i dobrobyt zapanują wszędzie”).

#### Medicine Man z narodu Nawaho



WYWIADY KULTURALNE - NAWAHO



# Dom bez chemii?

tekst: Maria Ela Lewańska



Czy możliwe jest prowadzenie domu bez użycia wszechobecnej chemii? Wydaje się nam to niemożliwe. Jesteśmy tak przyzwyczajone, że najprościej i najskuteczniej po prostu kupić środek myjący, czyszczący, piorący czy też dezynfekujący w pobliskim sklepie lub supermarkecie, gdzie jest „taniej”, że traktujemy to jako jedyne możliwe wyjście, bo zapędzeni w codziennych obowiązkach nie mamy czasu na chwile

zastanowienia. W jakiś sposób jest to „najprostsze” rozwiązanie, gdyż bardzo łatwo dostępne, zawsze pod ręką. Ale czy to, co „łatwo” dostępne i zawsze pod ręką – tak jak słodycze w supermarketach wykładane przy kasie na wysokości oczu i rąk naszych dzieci – jest korzystne dla nas? Na szczęście możemy znaleźć coraz więcej informacji na temat skutków używania chemii organizmu człowieka i dla przyrody. Wystar-

czy trochę świadomości i decyzja, że zdrowie moje, moich dzieci i środowiska, w którym żyjemy, ma znaczenie.

Na rynku pojawia się coraz więcej publikacji na temat ekologicznych środków czystości. Coraz więcej firm reklamuje się jako ekologiczne. Zachęcam do własnych doświadczeń w tym temacie. Ale jeżeli nie dysponujemy dostatecznymi środkami finansowymi, żeby kupować produkty „eko”, możemy powrócić do metod naszych babć i robienia domowych środków czystości. Przygotowując się do napisania tego artykułu, poszukałam w Internecie. Okazuje się, że bardzo wiele osób chętnie do dzieli się swoimi odkryciami, wiedzą przodków i własnym doświadczeniem.

Jest to bardzo proste, dostępne i tanie.

Podstawowe produkty to: soda oczyszczona (wodorotlenek sodu), ocet (winny, owocowy, spirytusowy, balsamiczny) lub kwas cytrynowy, boraks, mydło roślinne, sól. A także substancje dodatkowe, takie jak: olejek zapachowy, parę kropli alkoholu, woda, gliceryna czy wyciąg z pestek grejpfruta. I z pomocą tych prostych, naturalnych składników możemy we własnej kuchni „wyprodukować”

źródło: [http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/c/cb/Yellow\\_lemons.jpg](http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/c/cb/Yellow_lemons.jpg)



## Płyn do mycia szyb i luster

Wymieszaj wodę z octem i płynną gliceryną w proporcjach 8:1:1, przelej do pojemnika z rozpylaczem. Jeśli po umyciu szyb pozostaną smugi, przeetrzyj okno gazetą.

## Domowy ocet jabłkowy

Do słoja typu twist z szerokim otworem włożyć pokrojone jabłka, skórki i ogryzki; zalać trzykrotną ilością wody i dodać 1 łyżeczkę cukru na jedną szklankę własnej wody. Słoć przykryć płótnem i pozostawić w ciemnym miejscu na około 4 tygodnie. Po tym czasie przecedzić przez kilkakrotnie złożoną gazę, rozlać do butelek i szczelnie zakorkować.

## Pasta do czyszczenia armatury i innych delikatnych powierzchni

Połączyć sodę oczyszczoną z odrobiną ciepłej wody do uzyskania konsystencji pasty. Pozostawić pastę na godzinę w miejscach, gdzie pojawia się brud i kamień, po czym spłukać wodą. W przypadku silnych zabrudzeń lub dużej ilości kamienia, sodę można wymieszać z octem, zwiększy to siłę preparatu.

## Napisane w oparciu o własne doświadczenie oraz o:

<http://www.yaacool-eko.pl/index.php?article=3116>

<http://ecowawa.pl/index.php/artykuly/id/10/1404>

<http://ecowawa.pl/index.php/artykuly/id/10/1442>

<http://ecowawa.pl/index.php/artykuly/id/10/505>

[http://pamietnikpanidomu.blox.pl/tagi\\_b/111789/srodki-czystosci.html](http://pamietnikpanidomu.blox.pl/tagi_b/111789/srodki-czystosci.html)

<http://dziecisawazne.pl/dom-bez-chemii-cz-3-naturalne-srodki-czystosci/>

<http://dziecisawazne.pl/dom-bez-chemii-cz-2-ocet-w-sprzataniu-i-gotowaniu/>

Reni Jusis, Magda Targosz, *Poradnik dla zielonych rodziców*, Mamania 2011

wszystko, co jest nam potrzebne, by nasz dom lśnił, pachniał i był zdrowy.

W każdym sklepie dostępny jest ocet spirytusowy, natomiast w domu łatwo zrobić ocet jabłkowy.

Ocet może służyć jako środek dezynfekujący – dobry przy myciu lodówki oraz pochłaniający nieprzyjemne zapachy – wystarczy wstawić do lodówki miseczkę lub inny pojemniczek napełniony octem.

Ocet rozpuszcza kamienny osad z wody: w czajniku – wlej do czajnika wodę ze szklanką octu, zagotuj i pozostaw na noc; na bębnie pralki – roztwór wody z octem wlej do pojemnika na proszek, nastaw program na 95 stopni i zrób „puste” pranie.

Ocet rozcieńczony wodą nadaje się do czyszczenia linoleum, paneli podłogowych i podłóg ceramicznych, kuchennych blatów, kuchenek, a także do mycia okien.

Woda z octem jabłkowym w proporcji 1:2, z dodatkiem soli usuwa kamienny osad – tym płynem polać miejsca z osadem, pozostawić na noc, a następnie spłukać zimną wodą.

Sodę oczyszczoną (wodorotlenek sodu) można dostać w każdym sklepie spożywczym, ale jedynie w małych opakowaniach. Ekonomiczniej jest kupić na allegro w opakowaniach 2 lub 4 kilogramowych w cenie za kilogram od 3 do 5 zł.

Soda rozpuszcza smary, tłuszcze i wosk, usuwa trudne plamy, np. ze szminki. Neutralizuje przykre zapachy. Można nią czyścić dywany – równomier-

nie rozsypać, a w miejsca zaplamione wetrzeć, pozostawić na dywanie przez całą noc, a rano usunąć odkurzaczem.

Boraks to biały proszek, a jego chemiczna nazwa to czteroboran sodowy. Jest to związek boru, występujący w przyrodzie w postaci minerału tinalu (boraksu rodzimego). Można go nabyć w sklepach z chemią gospodarczą, w drogeriach czy przez Internet. Jeden kilogram boraksu kosztuje ok. 10 zł. Zazwyczaj wystarczy go wymieszać w odpowiedniej proporcji z wodą, by uzyskać pastę lub roztwór, które są znakomitym środkiem do mycia i czyszczenia różnych powierzchni, do usuwania plam, pochłaniania nieprzyjemnych zapachów, do wybielania, a także jako środek przeciw insektom, takim jak: mrówki, rybiki, pchły, karaluchy, osy czy szerszenie.

Aby otrzymać płatki mydlane, ścieramy mydło roślinne na tarce z grubymi oczkami.

Gdy do płynu do mycia naczyń z płatków mydlanych dosypiemy sodę oczyszczoną, tak aby powstała papka, możemy nią czyścić miskę sedesową, przypalone garnki lub zasznięty tłuszcz.

Sok z cytryny usuwa kamień z kranów, umywalki, wanny itp., czy też deskę do krojenia – polej na kilka godzin sokiem, po czym wyszoruj i zmyj wodą.

Nieoczekiwane zastosowanie ma także coca-cola. Wlej trochę coca-coli do miski ustępowej na noc, a rano wyszoruj szczotką i spłucz wodą. Coca-cola rozpuszcza dobrze rdzę, wystarczy moczenie przez kilka godzin.

Zamiast chemicznego płynu do płukania tkanin z równym powodzeniem można użyć octu albo sody oczyszczonej.

Wiele osób sprawdziło, że zamiast chemicznych proszków do prania można używać kasztanów indyjskich. Dobrze jest wtedy jeszcze wybielić białe pranie sodą oczyszczoną.

źródło: [http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/1/15/Red\\_Apple.jpg](http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/1/15/Red_Apple.jpg)



### Płyn do mycia naczyń z płatków mydlanych

Rozpuść płatki mydlane w gorącej wodzie, biorąc dwa razy tyle wody, ile płatków. Gdy roztwór ostygnie, dolej tyle płynnej gliceryny, ile wzięłaś płatków, oraz dodaj trochę olejku zapachowego. Mieszanka powinna osiągnąć konsystencję żelu. Przelej ją do butelki.

### Płyn do mycia naczyń z octu i sody oczyszczonej

2 litry gorącej wody  
1 łyżeczka octu  
1 łyżeczka sody oczyszczonej  
5 g płatków mydlanych  
kilka kropli olejku herbacianego.  
Składniki dokładnie wymieszać, płyn przechowywać w szklanym pojemniku.

### Płyn do mycia naczyń z octu i soku z cytryny

Pomieszaj ze sobą wodę, ocet spirytusowy i sok z cytryny w proporcjach 4:1:1, gotuj ok. 10 minut, aż płyn zgęstnieje, i przelej do pojemnika.



# Na szlakach HEREZJI Katarzy

tekst i foto: Barbara Srebro-Fila



Jak już pisałam w poprzedniej relacji o Marii Magdalenie, w czerwcu 2011 roku współorganizowałam kobiecą wyprawę do Langwedocji śladami Marii Magdaleny, Graala i katarów. Naszą bazę wypadową miałyśmy w Font Romeu, w samym sercu Pirenejów.

Będąc już w krainie katarów, dojeżdżałyśmy krętymi górskimi drogami do Ornotac, leżącego w krasowej Dolinie Ariège, której wapienne masywy są podziurawione grotami jak szwajcarski ser. W dodatku ciągną się one na wielu poziomach całymi kilometrami oraz często łączą się ze sobą, jak np. grotta Lombrives z grotą Niaux i Sabart, tworząc podziemny labirynt o długości 39 km!

Najpierw z naszym przewodnikiem, Christianem, poszliśmy do grot zwanych Kościołami, w których w średniowieczu katarki\_rzy spotykały\_ły się i odprawiały\_li rytuały. Przewodnik wprowadził nas w religię katarów, opartą na dualizmie pomiędzy duchem a materią, Bogiem a Szatanem, Dobrem a Złem. Katarcki\_zy, które\_rzy same\_i nazywali się po prostu Chryścijankami\_ami lub Dobrymi Ludźmi, żyły\_li w ascezie pierwotnego Kościoła, wyrzekając się dóbr materialnych oraz relacji seksualnych. Do tego ruchu należały\_eli zarówno arystokratki\_ci, jak

i mieszczańki\_ie czy też chłopki\_i, którym nie podobały się rozpasanie i dočasna władza ówczesnego Kościoła.

Weszliśmy do grotty, święcąc sobie latarkami, wspięliśmy się do jej najwyższego punktu, pod latarnię, czyli otwór wpuszczający odrobinę światła słonecznego. Miał on kształt katarskiego trójkąta; wyraźnie rysowały się w nim trzy elementy: głowa, serce i ciało, przez które dociera do człowieka boskie światło. Tam właśnie zgasiłyśmy latarki i przez kwadrans siedzieliśmy w ciszy i ciemnościach, pozwalając, by ta odrobina światła z zewnątrz dotarła do naszych serc, głów i ciał. Potem przeszliśmy do innej części grotty, do której nie docierał ani jeden promień światła, i znowu pozostałyśmy przez kwadrans w zupełnej ciszy i ciemnościach, które pozwalały na wsłuchanie się w głos własnej duszy. O ile wejście do grotty było szerokie i wygodne, to wyjście miało formę wąskiej szczeliny, przez którą prześwitywało dzienne światło.

Po pikniku w plenerze przejechaliśmy pod grotę Lombrives, jedną z największych w Europie, w której przebywali już ludzie w czasach neolitu. Niestety, nie ma w niej żadnych rysunków naskalnych, jak np. w grocie Niaux, ale ma dwie potężne komory – „Katedrę”,





o wysokości 100 m, mogącą pomieścić w sobie paryską Notre-Dame, oraz „Imperium Szatana”, trzy-, czterokrotnie większą, do której prowadzi szlak tak długi i kręty, że wędruje się nim wiele godzin. Najpierw szło się wąskim, ciasnym i niskim korytarzem, który nagle dochodził do potężnej „Katedry”.

### Grota Betlejem



Ogromne wrażenie robiło podejście pod próg, prowadzące na jeden z siedmiu poziomów, z pięknymi naciekami skalnymi („Mamut”, „Grobowiec Pireny”), aż do niewielkiego jeziorka, przy którym kończyła się zwykła turystyczna trasa. Dalej można już wędrować jedynie ze speleolożką\_giem, oświetlając sobie drogę latarką i spuszczać się w szyb o wysokości 80 metrów, by dotrzeć na inne poziomy. Według miejscowych przekazów, w czasach krucjaty przeciw albigensom za progiem schroniła się cała katarska wieś. Ponieważ najeźdźcy nie mogli się tam dostać, bo uciekinierki\_rzy wciągnęły\_li za sobą drabiny, więc wejście za próg ... zamurowano, skazując kilkaset osób na śmierć głodową. Gdy kilka wieków później odmurowano wejście, znaleziono tam faktycznie mnóstwo ludzkich kości, które obecnie rozpadają się gdzieś na dnie muzealnych magazynów Tuluzy i Albi.

Po zwiedzeniu grotty Christian miał dać koncert średniowiecznych pieśni, akompaniując sobie na fletni Pana. Gdy już zeszliśmy z progu, nagle zgasło światło. Okazało się, że na zewnątrz była gwałtowna burza, która uszkodziła linię energetyczną. Tak więc zostaliśmy w zupełnych ciemnościach w ogromnej sali „Katedry” im niczym nie rozprasza- ne, mogłyśmy wysłuchać przejmujących starych pieśni. Gdy już wyszliśmy na zewnątrz, było to jak przejście do zupełnie innego świata – po chłodzie jaskini przywitał nas pełen wilgoci upał, po ciemnościach – ostre światło błyskawic, po ciszy – grzmot piorunów... Niesamowite doświadczenie, zupełnie niemożliwe w czasie zwyczajnego, turystycznego zwiedzania.

Następnego poranka znowu ruszyliśmy w kierunku Ornotac. Najpierw pojechaliśmy z przewodnikiem na płaskowyż Sem, na którym znajduje się granitowy „dolmen”. Według naukowców, jest to „tylko” głaz narzutowy, przywleczony tam przez lodowiec, lecz radiesteci wyczuwają w tym miejscu olbrzymie źródło promieniowania. Uważają, że jest to miejsce połączenia energii kosmicznej oraz energii telu- rycznej (Ziemi). Inne podobne miej-

sca, w których byliśmy w czasie tej podróży, to Saint Martin du Canigou i Montségur. Dzięki oddziaływaniu tej energii, człowiek przechodzi na wyższe vibracje, mniej związane z materią, a bardziej z duchem.

Po pikniku pojechaliśmy pod Mont- real-de-Sos, górę, na której w średnio- wieczu wznosił się zamek hrabiów z Foix. Niestety, pozostały z niego tylko marne ruiny, ale prowadzone w nich od 2001 roku wykopaliska pozwoliły na odkrycie mnóstwa średniowiecznych przedmiotów. Górę zakrywała mgła, więc podchodziliśmy gęsiego, bardzo ostrożnie, by się nie pogubić, zaglą- dając po drodze do Groty Kobiet, w której gromadziły się wyznawczynie katary- zmu. Nagle z tej mgły zaczęły wyłaniać się dziwne zwierzęta – okazało się, że to muły, którymi zwożony jest na dół urobek archeologów. Schodząc z góry, zatrzymałyśmy się przy grocie z na- skalnym rysunkiem, wykonanym ochrą i węglem, w którym badacze dopatrują się symboliki związanej z Graalem – pa- teny, włóczni i kielicha. Co do Graala, krąży na jego temat mnóstwo legend i teorii – według najpiękniejszej był to kielich wyrzeźbiony w szmaragdzie, który wypadł z trzeciego oka zbunto- wanego anioła Niosącego Światło, czyli Lucyfera, w chwili, gdy rozgniewany Bóg strącał go z Nieba. I do tego wła- śnie kielicha Józef z Arymatei zebrał krew Chrystusa po jego ukrzyżowaniu. Graal miał więc moc uzdrawiania i liczni rycerze arturiańscy ruszyli na jego po- szukiwanie po tym, gdy kielich ukazał się Percewalowi, który nie był w stanie sprostać próbie.

Ostatnim punktem programu z Christianem była wizyta w grocie Be- tlejem, w której odbywały się katarskie inicjacje. Znajduje się w niej wielki głaz w formie stołu, na którym Doskona- łe\_li kładły\_li chleb i biblię. Christian również wyjął z plecaka pół bochen- ka chleba i umieścił go na ściereczce, a obok położył Pismo Święte, otwarte na początku Ewangelii św. Jana, jedy- nej akceptowanej przez katarki\_rów. Potem ustawił się w pentagramie wykutym w ścianie grotty, by

na miotle





Grotta Betlejem – chleb i biblia



zademonstrować, jak przebiegała inicjacja do wtóru recytowanej głośno modlitwy „Ojcze nasz”. Na koniec stanęliśmy w kręgu, Christian odłamał kawałek chleba i podał dalej bochenek. Każda z nas odłamała kawałek dla siebie i jadła go w milczeniu. Nigdy tak nie przeżywałam aktu komunii, jak tego dzielenia się chlebem w grotcie.

Nasz pobyt w Pirenejach zaczął się i zakończył w dwóch miejscach mocy – w opactwie Saint Martin du Canigou oraz w Montségur. Chociaż nie do końca jestem przekonana, że na Montségur ta moc jest pozytywna, bo przeżycia moje i innych osób zupełnie temu zaprzeczały. Gdy tylko dotarłam z parkingu na łąkę, na której 16 marca 1244 roku inkwizytorzy spalili przeszło 200 katarów, obrońców Montségur, tzy zaczęły mi płynąć strumieniami po twarzy. Gdy byliśmy na górze, grupka Amerykanek odprawiała w ruinach rytuał oczyszczenia tego miejsca ze złej energii – później przeprowadziły go również

dole, na Pré des Crémats. Jednak po zejściu z góry, z kolei moja przyjaciółka jakby wrosła w ziemię i nie mogła ruszyć się na krok, cała dygocząc. Tak więc, idąc ponownie przez łąkę Spalonych, unikałam wytyczonej turystycznej dróżki, bo pamiętałam, jak źle się na niej czułam, więc weszłam w trawy i kwiaty. Chyba dobrze zrobiłam, bo tym sposobem uniknęłam doświadczenia przyjaciółki.

W wiosce Montségur, u podnóża góry, znajduje się teraz muzeum kataryzmu, które robi niesamowite wrażenie. Gdy wchodzi się po schodach na górę, z jednej strony wiszą kartki z fragmentami pism katarskich, a z drugiej notatki z przesłuchań przed Inkwizycją. U szczytu schodów powiewają kartki z zachowanymi nazwiskami katarów, które rzy broniły li twierdzy Montségur. Obrona trwała 10 miesięcy. Twierdza była nie do zdobycia, lecz obrońcom zabrakło w końcu żywności i musiały li się poddać. Wynegocjowały li dwutygodniowy rozejm, podczas któ-

rego czterech obrońców wymknęło się z fortecy, unosząc ze sobą katarski skarb. Co to było? Do dzisiaj trwają spekulacje na ten temat – niektórzy podejrzewają, że być może był to legendarny Graal, którego, po przywiezieniu go do Francji przez templariuszy, przechowywały li katarzy rzy. I do dzisiaj nie wiadomo, gdzie ów skarb ukryli. Czy w jednej z licznych grot Doliny Ariège? Czy w jakimś zamku? A może uciekli z nim gdzieś dalej, do innego kraju?

Nasza wyprawa śladami Marii Magdaleny, katarów i Graala trwała zaledwie tydzień, lecz pozostawiła w nas trwały ślad i przemieniła każdą z nas. W większości ruszyliśmy w tę podróż obciążeni ciężkimi przeżyciami, trudnymi decyzjami, lecz miejsca, w których byliśmy, wzmocniły nas, zbudowały mocne poczucie kobiecej wspólnoty, zmieniły skalę naszych wartości i pozwoliły choć na moment zajrzeć w głąb duszy. Była to prawdziwa podróż przemienienia.





# RYTUAŁ oczyszczania negatywności

tekst: Agnieszka Kraska na podstawie rytuału  
„Banishing Negativity” Morgan Stardancer  
tłumaczenie inwokacji: Ewa Bury



W tym rytuale będziemy przywoływać Hekate w jej aspekcie Staruchy. Wykonujemy go podczas Nowiu.

Przygotuj ołtarz. Umieść na nim swoje osobiste święte przedmioty, a także czarną świecę i czarny kamień (jeśli takich nie posiadasz, wystarczy jakakolwiek świeca i zwykły kamień) oraz kielich z wodą lub winem, kadzidło lub muszlę z suszoną szalwią albo inną kadzielnicę z oczyszczającymi ziołami.

Zapal świecę. Umieść ręce do góry i wezwij Hekate:

„Hekate, cudowna władczyni,  
która rządysz dniem i nocą,  
wołam Ciebie – przybądź  
ze swą matczyną pomocą!”

Zamknij oczy i poczuj obecność bogini. Kiedy będziesz wiedziała\_ał, że jest przy tobie, weź do ręki kamień. Zwizualizuj sobie, jak cała mroczna, negatywna energia, złość, frustracja, smutek, ból, bezsilność i inne ciemne emocje, negatywne myśli i przekonania, przeszłość, którą chcesz zostawić za sobą, to wszystko co jest już niepo-

trzebne i nie służy, zamieniają się w pasmo czarnej, smolistej energii i wpływają do kamienia. Wypowiedz słowa:

„Przemień negatywne myśli,  
ból i słowa wypełnione złością,  
aby me życie stało się znowu  
światłością i całością!”

Otwórz oczy. Ukłoń się, żeby oddać cześć Bogini, po czym podnieś kielich i wypowiedz słowa:

„Hekate, pani Nowiu  
dziel, proszę, dziś ze mną  
ten święty kielich.  
Niech światło twej mocy  
oczyści me życie  
i niech mnie chroni i broni.  
Niech wody twego wiecznego łona  
przemienią mnie niosąc świętość.”

Wypij łyk wody (wina) i zwizualizuj je sobie jako energię, która przepływa przez ciebie, przemieniając cię, transformując to, co chcesz zmienić. Pozostałą wodę (wino) pozostaw na ołtarzu jako dar dla Hekate.

Zapal kadzidło. Okadź swoje mieszkanie, idąc w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, poczynając od wysuniętego najbardziej na wschód rogu. Zajrzyj do każdego pomieszczenia. Podczas okadzania powtarzaj: „Niech wszystko, co negatywne, odejdzie”. Ponownie stań przed ołtarzem i zwizualizuj całe swoje mieszkanie otoczone delikatnym, błękitnym światłem.

Ponieważ pozbywając się negatywności, stworzyłaś puste miejsce, powinnaś\_nienes szybko je czymś wypełnić. Zaprosz do swojego domu dobre, opiekuńcze duchy, pozytywną energię, miłość, radość, obfitość i wszystko, czego pragniesz doświadczać.

Podziękuj Hekate. Jeśli chcesz, możesz teraz pomedytować, wizualizować swoje życie wolne od negatywnych zdarzeń i emocji, pełne miłości, bogactwa i szczęścia.

Kamień przechowuj na ołtarzu. Kiedy poczujesz, że jego czas się dopełnił, wynieś go z domu i zakop w ogródku, w lesie czy w innym miejscu. Poproś Hekate, królową Podziemi, żeby przyjęła go jako dar.



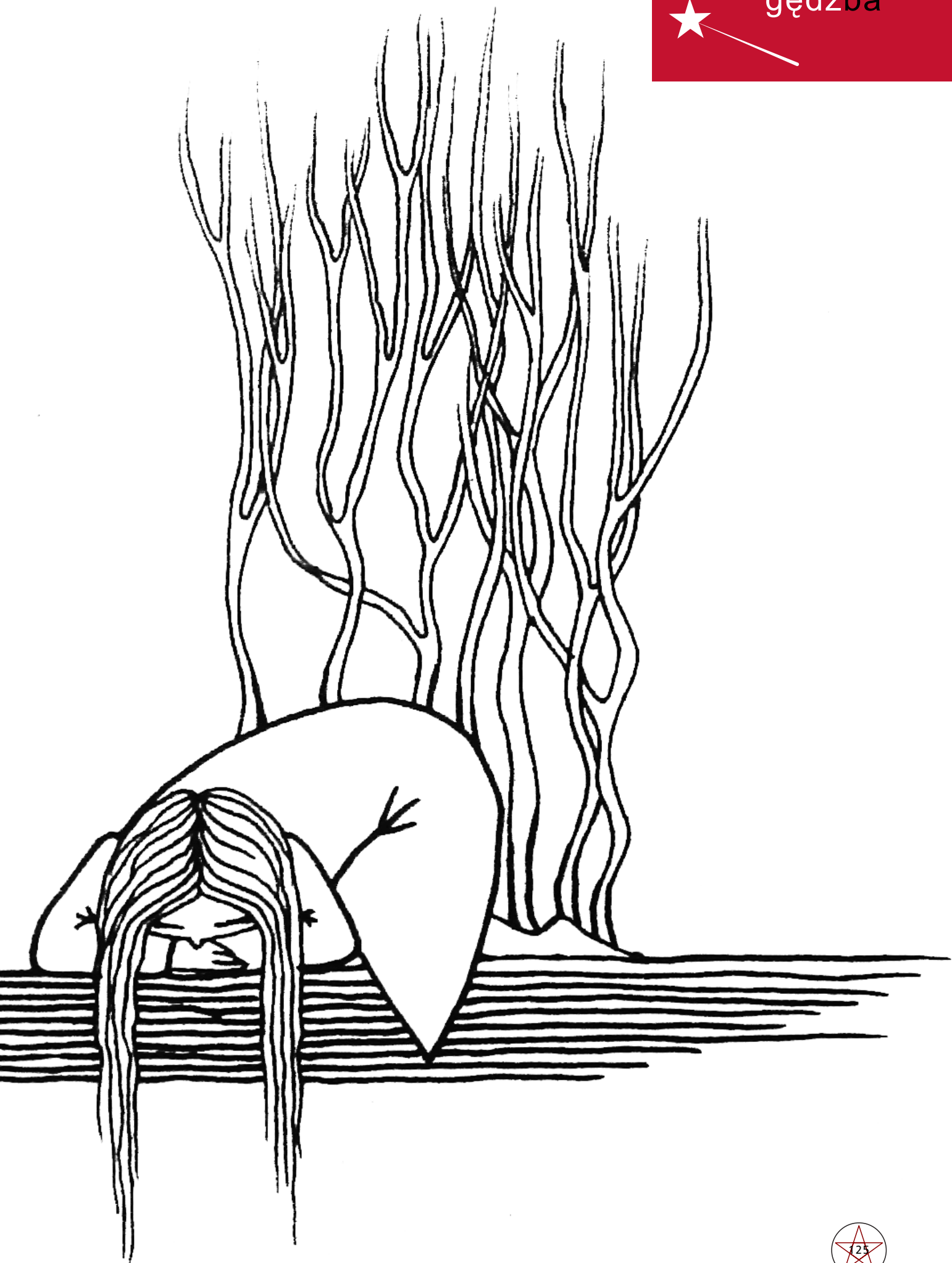
# Śmierć. Ze zmęczenia

tekst i rysunek: Agnieszka Weseli/Furja

Kiedy budziła się, a tyle już razy wrywano ją ze snu, niezmiennie było tylko jedno:  
inne dobiegało właściwego tylko sobie kresu w zawsze odmiennym miejscu.  
Głód, Nowy Jork, przed lustrem.  
Nieodmiennie też musiała, w zbyt krótkim czasie, poznać je, zrozumieć i nauczyć się go w pełni,  
żeby odpowiednio je zakończyć.  
Szpital, morfina, szybko.  
Poznawała je, kiedy wracały.  
Azincourt, gęstwa traw, końskie kopyto.  
Niekótre natychmiast, jeśli spotykała je wiele razy.  
Fotel, Gramsh, brak tlenu.  
Ale wciąż było to za mało.  
Jakiś wirus albo złe duchy, w drodze po pomoc, Sungai Liat.  
Wszystkie zmieniały się, z małych rosły, dojrzewały, umierały.  
Dół na mamuta, upływ krwi, jesteście tam?  
Miały szansę nauczyć się czegoś na dobre, a tylko ona musiała się wciąż uczyć i nigdy nie mogła mieć dość.  
Ubojnia drobiu, w towarzystwie, głośno.  
I zawsze była mała.  
Samotnie, tuż pod falami, wśród planktonu.  
Czy w ogóle ktoś o tym pomyślał?  
Magnetyczny skurcz, czarna dziura, nieskończenie.  
Czy ktoś pamiętał o niej, czy wszystkie były tak bardzo zajęte tym swoim umieraniem?  
Miękki zaulek macicy, niewiadomie, tylko chwila bólu.  
Jestem taka zmęczona. Chciałabym już umrzeć.



gędźba





# Niezapominajki

tekst i ilustracja:  
Iza-Kasia Zalewska-Kantek

niezapominajki  
to są kwiatki z bajki...

...dość strasznej zresztą. Legenda bowiem głosi, że rycerz, pragnący wyznać miłość damie swego serca, podczas spaceru brzegiem rzeki chciał zerwać bukiet kwiatów. Pech sprawił, że niefortunny adorator stracił równowagę i runął w nurt, a że miał na sobie ciężką zbroję – na zachowanie życia nie było szans. Tonąc, rzuciwszy bukiet, wołał do oblubienicy: „Nie zapomnij o mnie”. Oczywiście na pamiątkę tego wydarzenia kwiaty zostały nazwane „niezapominajkami”.

Czy dziewczyna zapomniała – tego nie dowiemy się nigdy. W każdym razie niezapominajki na kwiat cięty się nie nadają. Stały w wazonie krótko, nie dały się ładnie zasuszyć. Możliwe, że wspomnienie o niefortunnym adoratorze było tyle warte, co wyrzucony szybko bukiet. Ale, jak w każdej legendzie, jest i tu okruszek prawdy – najczęściej spotkamy te wdzięczne kwitki w środowisku wilgotnym; np. na brzegu strumienia.

Nie znał wyżej przytoczonej legendy, Linneusz opisując w XVIII wieku tę wdzięczną roślinę dla potrzeb swej taksonometrii, bowiem nazwał naszą niezapominajkę *Myosotis*, czyli

dosłownie – mysie uszko. W większości jednak języków, europejskich i nie tylko, nazwa tej rośliny związana jest z pamięcią (niezapominaniem): po niemiecku *Vergissmeinnicht*, po duńsku *forglem-mig-vej*, po holendersku *vergeet-mij-nietje*, po hiszpańsku *no me olvides*, po rosyjsku *niezabudki*, po angielsku *forget-me-not*... itd. Dlatego też w wielu kulturach niezapominajka jest symbolem trwałej pamięci. W dniu 1 lipca Nowofundlandczycy noszą niezapominajki dla upamiętnienia poległych w Bitwie nad Sommą w 1916 roku. W 2002 roku 15 maja został ustanowiony Dniem Polskiej Niezapominajki, rozpoczynając piękną akcję pamiętania o otaczającym nas środowisku głównie przyrodniczym, ale nie tylko – także ogólnoludzkim. Takie nasze krajowe Walentynki, tylko o wiele szerszym spektrum oddziaływania.

Niezapominajkę potrafią rozpoznać wszystkie\_cy. Jej drobniutkie, niebieskie kwiatki zdobią w kwietniu i maju, a czasem aż do końca sierpnia (*Myosotis palustris*, niezapominajka błotna), wilgotne łąki, brzegi wód, mokradła, przydroża, skraje lasów na nizinach, górskie łąki Kar-

pat i Karkonoszy (*Myosotis alpestris*, niezapominajka alpejska), piaszczyste pola i murawy (*Myosotis stricta*, niezapominajka piaszkowa). Niezapominajką rośnie w strefie klimatu umiarkowanego całego globu.

Coraz częściej występuje jako roślina hodowlana, wtedy można spotkać odmiany o kwiatach różnych, białych, żółtawych i różnych odcieniach błękitu. Lubi dużo wilgoci, ale co do gleby i nasłonecznienia nie jest wybredna. Wiosną pięknie prezentuje się w donicach i wazach. Dzięki kontrastowi wielkości i liczebności kwiatów oraz intensywności barwy okazuje się bardzo efektowna jako tło lub obwódka (odmiany niskie, jak niezapominajka alpejska) dla roślin cebulowych. Zazwyczaj jednoroczna lub dwuletnia, w sprzyjających warunkach lubi się rozsiewać tworząc dywany.

Nie spotkałam niezapominajki w podręcznikach fitoterapii ani zielarstwa. Być może powinna się tam znaleźć w roli wdzięczniejszego do supełka środka poprawiającego pamięć. Oczywiście jako nośnik samych dobrych wspomnień i naprawdę ważnych spraw.

## Odmiany niezapominajek

*Myosotis palustris* – niezapominajka błotna – wysokość 15-60 cm, kwitnie V – IX;

*Myosotis caespitosa* – niezapominajka darniowa – podobna do powyższej;

*Myosotis silvatica* – niezapominajka leśna – wysokość 20-60 cm, cała miętko owłosiona; kwitnie V - VII

*Myosotis alpestris* – niezapominajka alpejska – wysokość 5-25 cm, kwiaty ciemne: niebieskie do szafirowych, kwitnie VI – VIII;

*Myosotis stenophylla* – niezapominajka smukła – podobna do poprzedniej, ale smuklejsza, wysokość 20-40 cm;

*Myosotis versicolor* – niezapominajka różnobarwna – wysokość 10-30 cm, kwiaty początkowo żółtawe, później różowawe, w końcu błękitne;

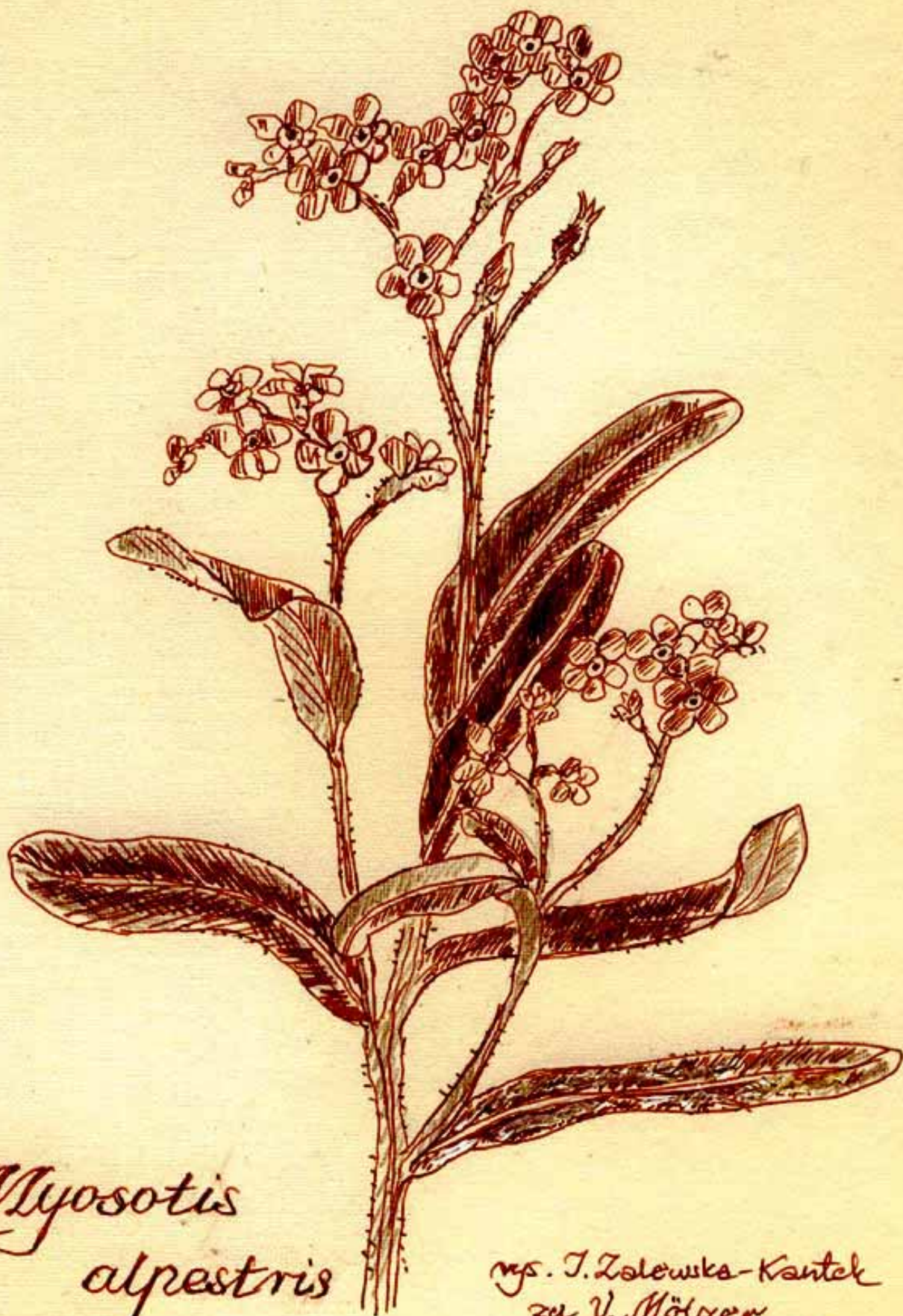
*Myosotis stricta* – niezapominajka piaszkowa – wysokość 5-30 cm, kwitnie IV – VI;

*Myosotis collina* – niezapominajka pagórkowa – podobna do poprzedniej;

*Myosotis arvensis* – niezapominajka polna – wysokość 15-60 cm, kwitnie IV – IX;

*Myosotis sparsiflora* – niezapominajka skąpokwiatowa – wysokość 15-50 cm, kwitnie V – VI.





*Myosotis  
alpestris*

rys. J. Zalewska-Kantek  
za V. Mölzer  
"Kwitnący ogród"

zielna



# Kara za niewinność

tekst i zdjęcie:

Izabela Zalewska-Kantek, architektka krajobrazu





*...idę wolniutko przed siebie i myśli otulam spokojem,  
niczego nie mając na własność –  
wiem przecież, że drzewa są moje...*

To słowa piosenki, które przypominają mi się niezmiennie, kiedy droga wiję się pośród starych drzew. Ich konary czule pochylają się nad podróznymi, tworząc koronkowe sklepienie. Rytm pni porządkuje rozbiegane myśli. Całość – jak gotycka katedra, stworzona przy zgodnym współdziałaniu natury i człowieka – tej\_go, która\_y kiedyś posadziła\_ł drzewa wzdłuż alei, i tej\_go, która\_y, będąc tylko epizodem w ich życiu, zobowiązana\_y jest je pielęgnować.

Tak właśnie, pielęgnować, a nie karczować.

Drzewa wzdłuż dróg sadzono dawniej celem ich... ochrony: przed nawiewaniem śniegu, zbytnią operacją słoneczną, a także dla wygody użytkowników, przyjemności podróżowania. Traktowano je jako punkty orientacji w terenie i jako zaznaczenie etapu podróży, skłaniające do wypoczynku i przemyślenia dalszej marszruty. Drzewa chroniły, drzewa emanowały energią potrzebną na drogach i rozstajach życia. Stały się nieodłącznym elementem krajobrazu otwartego. Faktem godnym podkreślenia jest to, że kiedy na przełomie XVIII i XIX wieku Alexander von Humboldt po raz pierwszy nazwał twórcę natury „pomnikiem przyrody”, mówił właśnie o drzewie, co dało początek kierunkowi konserwatorskiemu w ochronie przyrody.

W XXI wieku, który pędzi na oślep i nie zawsze na trzeźwo, drogami o nawierzchni w skandalicznym stanie, okazało się, że drzewa są przyczyną wypadków. Zamiast łożyć na prewencję właściwych przyczyn tragedii, stosuje się starotestamentową metodę „oko za oko”, usuwając drzewa, które zawiniły tym, że... są. Padają ponad stuletnie dęby, lipy, kasztanowce, jesiony, graby i klony. Tożsamość krajobrazu kulturowego Pomorza, Warmii, Mazur zostaje zubożona, pozbawiona niezwykle charakterystycznego i głębo-

ko utrwalonego w naszej świadomości elementu – starodrzewnych alei. Jadąc drogą o ogołocionych poboczach, kulimy się wewnętrznie. To duży dyskomfort – przemieszczanie się przez otwartą przestrzeń, bez wyraźnie optycznie zaznaczonego toru ruchu.

Na wycinkę drzew przydrożnych potrzebne są ogromne fundusze. Dla przykładu: (posługując się „Obwieszczeniem Ministra Środowiska z dn. 18 października w sprawie stawek opłat za usunięcie drzew i krzewów oraz kar za zniszczenie zieleni na rok 2006”) usunięcie dębu o obwodzie pnia 200 cm kosztuje 55640,60 zł. JEDNEGO!!! A ile już wycięto?! Może lepiej wydać te pieniądze na skuteczną edukację, na otwieranie ludziom oczu na piękno świata, którego horyzonty nie poszerzą się, kiedy przy drodze nie będzie ani jednego starego drzewa. Łudzę się, że rzadziej będą szukali zatracenia w prędkości i alkoholu (w 2005 roku, jak podaje Komenda Główna Policji, 192 210 wypadków spowodowali nietrzeźwi – Olsztyn liczy 174 500 mieszkańców...), że zdejmą nogę z gazu, żeby móc rozkoszować się czarem podróży aleją otoczoną drzewami, na które patrzyli pradziadowie i podziwiał będą wnuki. Na poprawę nawierzchni mogą liczyć już tylko niepoprawni optymiści.

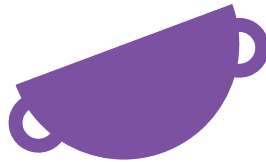
Krzysztof Hołowczyc, piewca prędkości i usuwania drzew, w wywiadzie dla „Gazety Olsztyńskiej” z 24 marca 2006 roku powiedział „oddam drzewa za człowieka”. Czemu nie „oddam drzewa dla człowieka”, żeby mógł się cieszyć z ich urody, mocy i wieku. Również jadąc zabytkową aleją.

Kiedy staniami pod niebem i uniesiemy ręce – przypominamy drzewo. Z tą różnicą, że to nie drzewa lekceważą przepisy ruchu drogowego, siadają za kierownicą nietrzeźwe i przyspieszają tam, gdzie należy zwolnić... One nie zabijają.



# „Piękno nie jest niebiańskie, a wino nie jest alegorią”

tekst: Monika Czaplicka



*Queer a islam. Alternatywna seksualność w kulturach muzułmańskich*, red. Katarzyna Górak-Sosnowska, Smak Słowa, Sopot 2012

Z czym kojarzy się wam kultura islamu? Z zasłoniętymi twarzami? Z obrzezaniem? Z dominacją mężczyzn i pomiatanieniem kobietami? Z wieszaniem osób homoseksualnych? Jakiegokolwiek są wasze skojarzenia, mogę was zapewnić o dwóch rzeczach: po pierwsze islam nie jest monolitem. Po drugie: zaskoczę was różnorodnością świata nieheteronormatywnego w krajach Wschodu.

Tak samo jak różne kraje, w których dominuje katolicyzm, wykazują różne podejście do osób homoseksualnych – wystarczy porównać Hiszpanię z instytucją małżeństw jedнопłciowych oraz Polskę z brakiem jakichkolwiek regulacji (oba państwa bardzo katolickie) – tak i kraje, gdzie główną religią jest wyznanie muzułmańskie, objawiają bardzo różne podejście do tematu społeczności LGBTQ.

Musimy też pamiętać, że zachodnie kategorie płci, genderu i seksualności są tylko jedną z możliwych interpretacji, a w wielu krajach zza naszej wschodniej (dalekiej) granicy istnieją kategorie, które nam się nie śniły.

O tym traktuje bardzo interesująca książka *Queer a islam. Alternatywna seksualność w kulturach muzułmańskich* pod redakcją Katarzyny Górak-Sosnowskiej, wydana przez Smak Słowa.

Jako magistra socjologii, wykształcona na gruncie teorii queer oraz zapatrzona w badania naukowe z USA, z pewną dozą nieufności sięgnęłam po liczącą sobie 300 stron pozycję dotyczącą świata nieheteronormatywnego ze Wschodu. Spodziewałam się nudnych opracowań analiz tekstów tłumaczących, jak bardzo niczego w krajach wyznających wiarę w Mahometa nie można, nie wolno, nie powinno się. Zamiast tego dostałam fascynującą podróż w nieznaną, która poszerzyła mój horyzont o przestrzeń, do jakiej w żaden inny sposób bym nie dotarła.

Oczywiście, na studiach zajmowałam się tematami przecięcia tożsamości religijnej (również niechrześcijańskiej) i orientacji seksualnej (obecną chociażby w filmie „A Jihad for Love”), omawialiśmy kwestię feminizmu w islamie, mam podstawową wiedzę o tym kręgu kulturowym. Ale erudycja zaserwowana przez 16 autorów i autorek artykułów w tym opracowaniu wykracza poza standardy i zaprasza nas do przeciekawej podróży w głąb bardzo skomplikowanego świata, do którego przeciętny człowiek, karmiony stereotypami przez media, nie ma dostępu.

Wersety z Koranu, wskazujące na potępienie homoseksualności, to fragmenty odnoszące się do Sodomy i Gomory. Do mieszkańca tej pierwszej, Lota, przyszli ukryci aniołowie z posłannictwem. Mężczyźni z Sodomy chcieli, by Lot wydał im podróźnych, aby mogli

dokonać na nich gwałtu. Ostatecznie otrzymali córki gospodarza, a na miasto spadają ogień i zniszczenie.

Owa interpretacja gwałtu stanowi centralną oś potępienia homoseksualności – rozumie się ją jako gwałt mężczyźni na mężczyznach. Z drugiej strony daje przestrzeń do reinterpretacji – gwałt jest zawsze godny potępienia, niezależnie od okoliczności, a gwałt jako pogwałcenie praw gościnności – szczególnie. W ten sposób stare wersy, które od wieków mówią o grzeszności miłości między mężczyznami, stają się osią tworzenia nowej tożsamości osób queer wyznających islam.

O strategiach queerowania islamu można więcej przeczytać w artykule Beaty Kowalskiej. Bardzo ważnym aspektem jest zwrócenie też uwagi na fakt, że często osoby LGBTQ w krajach muzułmańskich wykluczane są za swoją nieheteronormatywność – uciekając zaś za granicę zyskują tolerancję w tym względzie, ale zaczynają być stygmatyzowane i jako Arabowie. Z jednej opresji przechodzą w kolejną.

Poza tym w pracy przeczytać można o tym, w jaki sposób prorocy radzili sobie z kupami, dlaczego hermafrodytom (*chunsa*) poświęcono tyle miejsca w religii, czy *muchannasun* i *mutaradźduat* to dzisiejsi transwestyci, skąd wzięli się eunuchowie i dlaczego jako kastraci mieli tyle przywilejów. Przeczytacie fragmenty romantycznych poematów do młodych chłop-



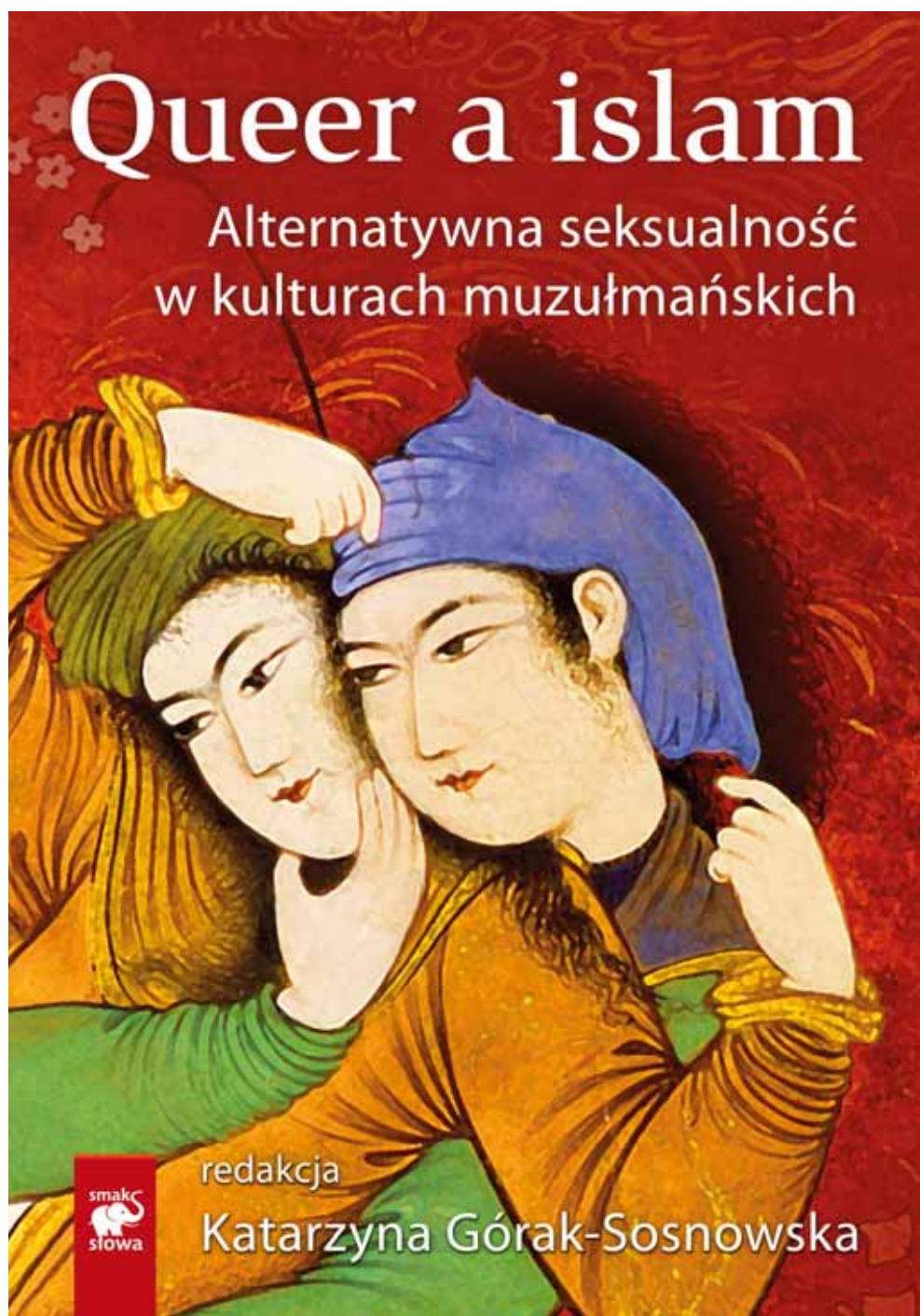
ców i dowiedcie się, gdzie w *Baśniach tysiąca i jednej nocy* można znaleźć lesbijki (i że Ali Baba był gejem). Macie szansę dowiedzieć się, że lesbianizm to efekt zbierania się w kobiecym organizmie pary, która się skrapla, a towarzyszące temu ciepła można zaspokoić tylko zimnym stosunkiem z inną kobietą. Dowiedcie się, kim są *bissu* i na czym polega ich androgyniczność, dlaczego *waria* parają się prostytutką i edukacją w zakresie HIV/AIDS, jak homoseksualność traktowana jest jako narzędzie polityczne i dlaczego *mak nyah* to malezyjski queer. Książka daje możliwość zapoznania się z tajnym językiem *hidżr*, a także wyjaśnia, jak to możliwe, że Iran, w którym obowiązuje bardzo restrykcyjne prawo (kara śmierci) w kwestii homoseksualności, jest krajem, w którym przeprowadza się ogromną ilość operacji korekty płci (drugi kraj po Tajlandii), zaś osoby trans otrzymują nowy dowód, paszport i świadectwo urodzenia. Bardzo ciekawy artykuł dotyczy sytuacji w Turcji, która jedną nogą jest w liberalnej Europie (jeden z czterech krajów w regionie niepenalizujący stosunków jedнопłciowych – obok Izraela, Jordanii i Iraku), lecz z drugiej strony zezwala na homofobię i nienawiść – niewynikające z kanonu religijnego, lecz z istniejących ról genderowych. A to tylko niektóre z 18 interesujących artykułów do przeczytania.

Książkę polecam tym wszystkim, które\_rzy nie mają żadnej wiedzy w zakresie kultury islamu, jak i tym, które\_rzy orientują się, czym się różni *hidżdż* od imana. Nie trzeba mieć wiedzy socjologicznej ani znać się na orientalistyce, żeby wyruszyć w podróż od antyku do współczesności, od wschodu do zachodu, od bardzo konserwatywnych do liberalnych kultur. Choć dawka wiedzy jest duża, a treść jest podana w sposób dość naukowy, myślę, że osoby nieparające się na co dzień orientalistyką czy naukami humanistycznymi z zaciekawieniem mogą czytać kolejne fragmenty lektury.

Zamiast podsumowania zostawię was z interesującym wnioskiem, który

znajdujemy w jednym z tekstów – kraje Wschodu przez wiele lat nie tylko wiedziały o istnieniu nieheteronormatywnego świata, ale również były zdecydowanie bardziej tolerancyjne w tej kwestii niż ludzie Zachodu (w wieku krajach nadal istnieje więcej kategorii płci niż 2). Co więcej – dawniej Europejki\_czycy mieli\_sklonność do krytykowania świata islamu za rozwiązłość i brak moralności. Od połowy XX

wieku, kiedy w Stanach i Europie zaczęto walkę o prawa osób LGBTQ, zaczęliśmy krytykować Azję za homofobię (nadal bezmyślnie uważając się za wyższych etycznie). Pomysł narzucenia naszych ram myślenia o tożsamości (np. na Wschodzie liczą się akty seksualne, a nie kategorie identyfikacji) i próba walki o prawa zniewolonych gejów i lesbijki spowodowały prosty efekt – wzrost homofobii.

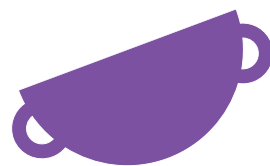


z kotła



# Pamiętnik niestatecznej panienki

tekst: Agnieszka Weseli/Furja



Izabela Czajka-Stachowicz,  
*Nigdy nie wyjdę za mąż*,  
W.A.B.,  
Warszawa 2012

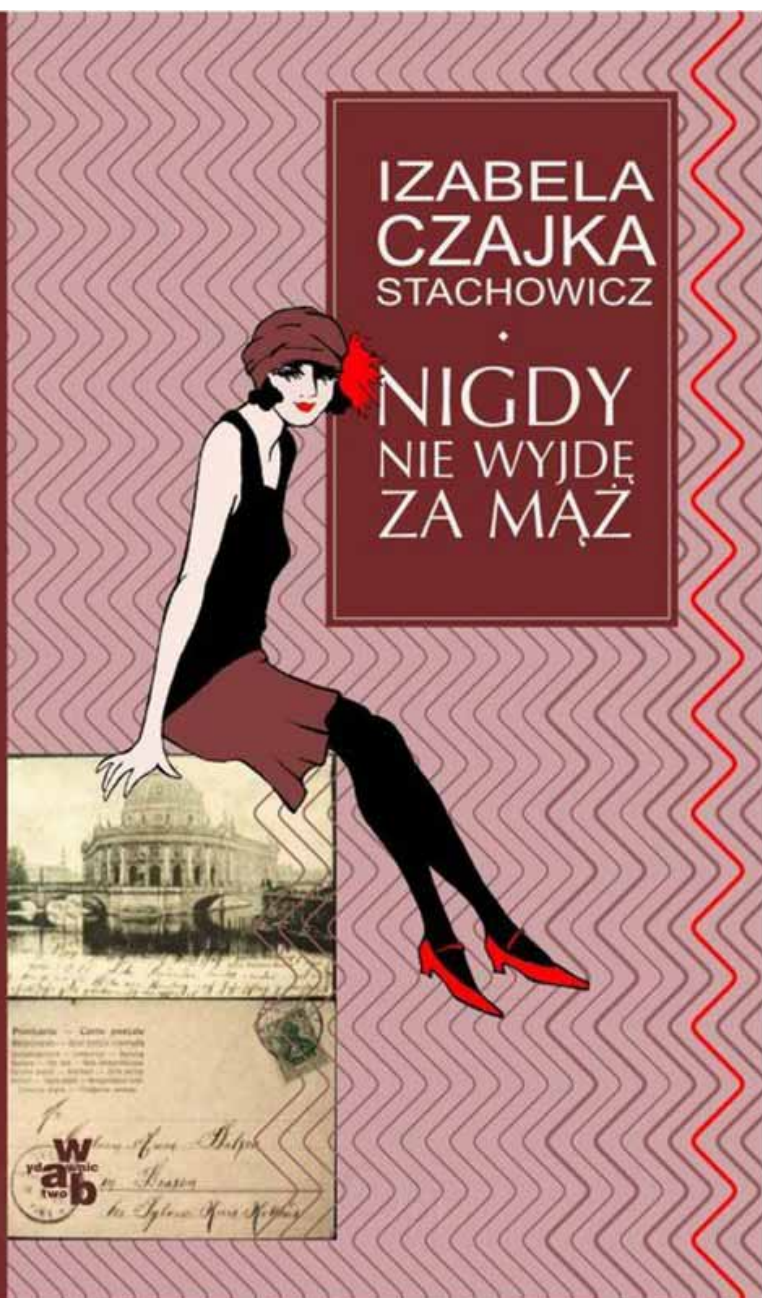
Izabela Czajka-Stachowicz,  
*Małżeństwo po raz pierwszy*,  
W.A.B.,  
Warszawa 2012

Zdecydowanie pamiętnik to, nie dziennik, bo przecież pisany po kilkudziesięciu latach, ale czy i pamiętnik na pewno? Raczej zabawnik, wymyślnik, nieznośnik... Podobnymi słowami określa się samą Bellę, tę szatankę, mitomankę, szarlatankę i wieczną dziewczynę.

Znałam ją jako bohaterkę wczesnodziewięcioletnich lektur, poprzez *Cór-*

*kę czarownicy na huśtawce* oraz *Króla Węży i Salamandrę*, dwie wcześniejsze książki z autobiograficznej (czy pseudoautobiograficznej?) serii. Wtedy z chęcią dawałam się wciągnąć w magiczne krainy dzieciństwa małej, bogatej, rozpustycznej Żydówki z dobrego domu i sprzed I wojny światowej. Pamiętam radość, jaką dawało czytanie tych brawurowych opowiadań o niegrzecznej i nieograniczonej żywotnej dziewczynce, a potem dziewczynie; sama taka nie byłam. Po latach doceniłam śmiałość w poruszaniu tematów, których większość dziewczynek od wieków zwykła unikać, takich jak narodziny, śmierć, zmysłowe dojrzewanie, trudne uczucia do członków własnej rodziny. Znalazłabym w tych dwóch książkach kilka rzeczy, którymi przewyższają cykl o dojrzewaniu Klaudyny, a przecież uważam Colette za niedoścignutą mistrzynię przekładania dziewczęcych emocji i doświadczeń na słowo. Nota bene – są w pierwszych powieściach Czajki zbieżne z kładynkowymi wątki, które rozpoznaję dopiero teraz... i znalazłam je także w kolejnych tomach. Jakże? Nie, nie mówmy o tym jeszcze! Zróbmy skok w bok, jak zwykła dawać susa dygresyjnie maniakalna opowiadaczka Bella, i przyjrzyjmy się jej długiemu, smakowitemu życiu. Przecież miała o czym snuć fabuły, z czego tkąć bajki i budować swoje legendy Izabela ze Schwarzów primo voto Hertzowa, secundo voto Gelbardowa, tertio voto Stachowiczowa, pseudonim „Stefania Czajka”.

Urodziła się w Sosnowcu w 1893 roku (choć przy różnych okazjach podawała zupełnie odmienne daty... i to wcale nie późniejsze od prawdziwej), jako (Habusia-Trąbala, Belunia, Salamandra) córka Wilhelma (tego, który potem okazał się Królem Węży) i Felicji oraz stryjeczna wnuczka zgierskiego myśliciela żydowskiego Isuchera Mosze Szwarca. Żyła długo i zachłannie: Warszawa socjalistów, którą poznawała dzięki przy-





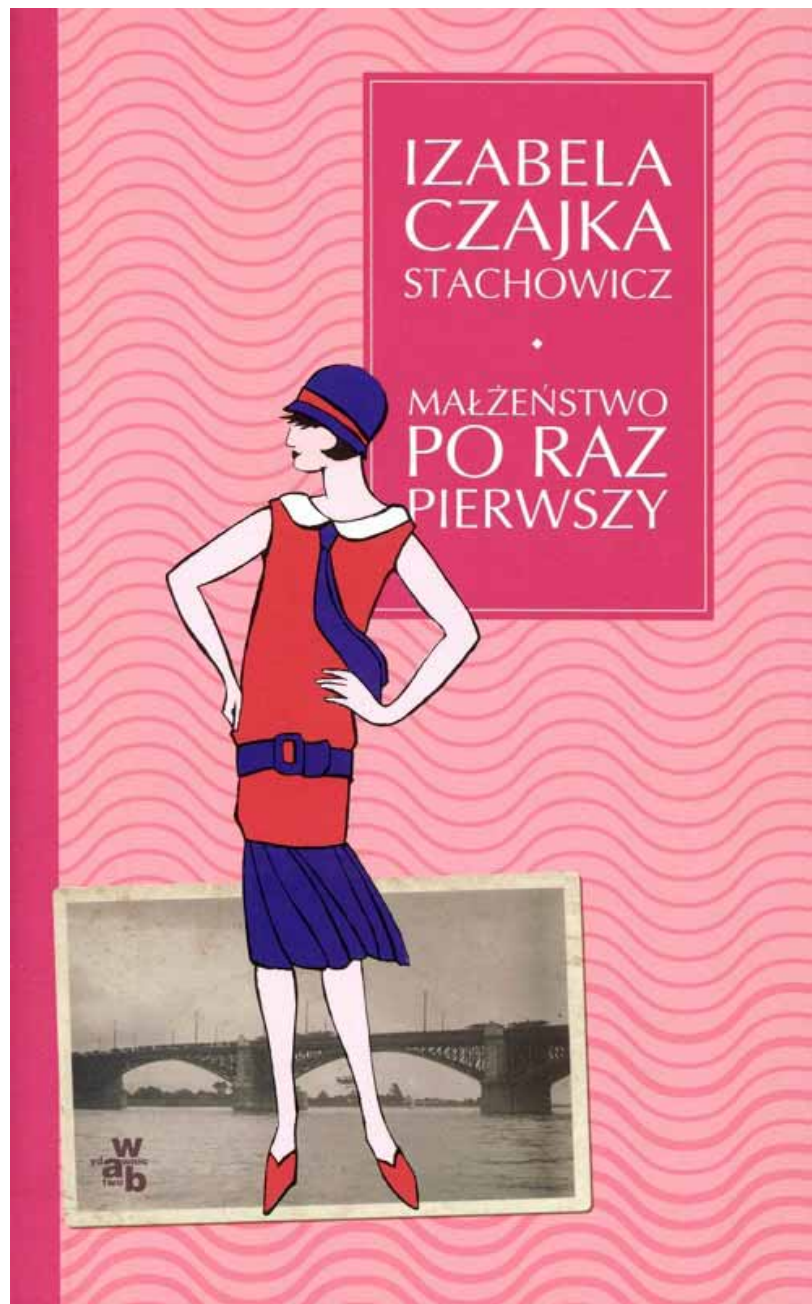
szłemu mężowi Aleksandrowi Hertzowi, Warszawa Witkacego, który opisał ją w Pożegnaniu jesieni, Warszawa Franciszka Fiszera, Warszawa Iwaszkiewicza i Tuwima, Wiedeń, Berlin, paryski Montparnasse Augusta Zamoyskiego, podróże po Europie, Azji, Afryce, Ameryce, warszawskie getto, partyzantka w szeregach AL, służba w Urzędzie Bezpieczeństwa (ze stopniem kapitanki), Dolny Śląsk, na którym jako pracowniczka Muzeum Narodowego w Warszawie poszukiwała dzieł sztuki zagarniętych przez nazistów, Górny Śląsk Teofila Ociepki, Buenos Aires Gombrowicza – motto lotnej Czajki, aż do późnego wieku, brzmiało „leczę w świat!”. Pod koniec życia – lubię takie koincydencje – mieszkała ze swoim trzecim mężem w małym mieszkanku w budynku tuż obok bloku, w którym mieszkam ja dzisiaj, na warszawskim Górnym Mokotowie. Zmarła w 1969 roku.

To wszystko fakty z życia. A kogo poznajemy na kartkach powieści, w których mówi nam Bella o swojej pierwszej młodości? Dwudziestoparoletnią kobietę o wybujałej fantazji, która widzi wokół siebie myszy z łuską i kotleciki ze starszej pani, która jest wielką prorokinią, ale tylko wśród psów. Przy odrobinie złej woli na pewno można ją uznać za nieznośną: zawsze w poprzek, zawsze niespodziewanie pojawia się w innym miejscu, niż świat chce ją widzieć. Podejrzewa się o „atrofię moralności” i z chęcią przyjmuje najbardziej zaskakujące role, w jakich ktoś ją obsadza: lekarki w kurorcie, wiarołomnej żony Dwojry Szlojbaum, Iliuszy – chłopca z kresów, szalonej Heli Bertz z wizji Witkacego, nawet pokornej studentki. Poddaje się wszystkim życiowym prądom i wpływom, a broni tylko jednego, za to z całej mocy: swojej niezależności, prawa do podejmowania własnych złych decyzji. Tak długo, aż traci cierpliwość nawet pozwalający wcześniej na wszystko, finansujący każde szaleństwo ojciec. A przy tym Bella bez ogródek pisze o koszmarze nocy poślubnej, do której – jak twierdzi – nie została w żaden sposób przygotowana, więc po wszystkim, pełna obrzydzenia i zgrozy,

ucieka od męża, powtarzając: „Wiem już teraz, co oznacza »akt płciowy«, i wiem, co oznacza »klęska życiowa«”. Podczas ucieczki zakochuje się w pani Kazi – pięknej, wyrafinowanej, niebędącej mężczyzną, drugiej kobiecie, przy której może czuć się bezpieczna. Tak, to właśnie kolejna odsłona wątków, o których wspomniałam wyżej. Czy to zapis prawdziwych przeżyć? Nie dowiemy się, nieważne zresztą. Za to warto mieć w pamięci, że książka, w której te wątki się znalazły, ukazała się drukiem w 1962 roku. Niewiele\_u autorek\_ów

poruszało wówczas w PRL-u podobne tematy.

Powieści Czajki bywają lekturą irytującą – bo, na przykład, ileż razy można towarzyszyć bohaterce w przeciekawych, ale na pierwszy rzut oka źle się zapowiadających przygodach! – lecz, i przyznam, że tego się po nich nie spodziewałam, mają co najmniej jedno drugie dno. To nie jest tylko bajdurzenie siwej podfruwajki. Kawalek kobiecego doświadczenia, jaki nam serwuje Bella, bywa w smaku i miodny, i bardzo gorzki.





# Ratunkowe modły łona

tekst: Agnieszka Weseli/Furja



Przez mniej więcej 190 stron macania i wachania *Wilgotnych miejsc* – poprzedniej i debiutanckiej książki Charlotte Roche – byłam zachwycona: główna bohaterka jest tak bezkompromisowo oddana osiągnięciu rozkoszy i tak godnie walczy z każdym przejawem współcześnie pojętej higieny kobiecej; w wieku osiemnastu lat poddaje się sterylizacji, chodzi do burdelu na seks z miesięczkującymi kobietami, masturbuje się na oczach poznanego na targu faceta; ma bzika na punkcie własnych wydzielin; hoduje drzewka awokado; Helen Memel wydawała mi się doskonałą realizacją licznych postulatów feminizmu od trzeciej fali w górę oraz queerowym monstrem w stanie brudnym, a jej twórczyni – Nową Pornografistką na miarę Sade'a. Niestety, pod koniec książki okazało się, że wszystkie problemy Helen (tak, to jednak były problemy) naprawdę mają związek z rozwodem rodziców, natomiast pojawienie się uroczego pielęgniarza Robina powoduje, że teraz już wszystko będzie dobrze i w ogóle „żyli długo i szczęśliwie i czysto”. Czar prysł, straciłam bohaterkę.

Czułam się oszukana, więc do kolejnej książki Roche zbliżałam się nieufnie. Tym bardziej, że zasadniczo była ona skazana na sukces lub na skandal (czyli na sukces). Autorka znów pisze o seksie, ponownie łączy go z tabu – tym razem jeszcze potężniejszym, bo dotyczącym śmierci – jeszcze raz sięga po tematy autobiograficzne oraz znowu wadzi się z dziedzictwem feminizmu. Po gigantycznym rynkowym sukcesie *Wilgotnych miejsc* (ponad 2 000 000 sprzedanych egzemplarzy, najlepiej sprzedająca się

powieść roku na świecie) taki zestaw cech i motywów zdawał się gwarancją powodzenia, tym bardziej, że śliczna, filigranowa, łaniooka pisarka (i prezenterka TV oraz piosenkarka) nie straciła nic ze swojej kontrowersyjnej w kontekście twórczości urody. Nie lubię gotowych przepisów, rzeczy skrojonych na miarę, nawet gotuję od ręki i na oko. A dodatkowo w przypadku *Modlitw wagi* moment zaskoczenia, na które poprzednio dałam się złapać, nie istniał, ponieważ od początku wiemy, że przyczyną niepowszechnych i niepopularnych zachowań łózkowo-życiowych głównej bohaterki jest tragedia osobista. Kiedy Elizabeth miała wyjść za poprzedniego partnera, jej trzech braci zginęło w wypadku samochodowym, a wioząca ich na ślub matka została ciężko ranna. Nie, nie zdradzam żadnych sekretów fabuły, nie psuję wam lektury: o tym wszyscy wiedzą. To element strategii reklamowej. I zarazem nawiązanie do własnych przeżyć Roche z 2001 roku.

*Stoßgebet* to po niemiecku modlitwa odmawiana w obliczu skrajnego zagrożenia, a *Schoßgebete* można przetłumaczyć jako „modły łona”. Może gdyby udało się zachować tę grę słów w polskim tłumaczeniu tytułu, lektura powieści nie byłaby tak dziwnym (na razie nie znajduję bardziej precyzyjnego określenia) doświadczeniem. Bierzymy do rąk książkę, która za sprawą tytułowej aluzji do *Monologów wagi* pozwala oczekiwać feministycznej perspektywy. A dostajemy odę do patriarchy i pieśń nad pieśniami patriarchalnej wizji kobiecej seksualności. Dziwne (cóż, wciąż nie umiem tego inaczej nazwać) wrażenie. Ale

jeszcze dziwniejsze wydają mi się moje nadzieje. Czemu aż tak bardzo czekam na feministyczną powieść? Przecież feministyczne bez wątplenia książki Sylwii Chutnik wywołują u mnie nerwowe poziewanie i narastający sprzeciw: są tak doskonale feministyczne, nie pomijają żadnego motywu, żadnego problemu, żadnego rozwiązania formalnego, żadnego typu postaci, jakie powinny znaleźć się w dziele pisanym przez feministkę. Są według gotowego przepisu, skrojone na miarę. Więc mi nie smakują.

Bohaterka Roche, próbując poskładać życie, zrywa kontakty z rodzicami i rzuca gromy na matkę-feministkę (*one of those sex-negative feminists, you know*), staje się kompulsywnie proekologiczna i w ogóle kompulsywnie kontrolująca, uzależnia się od terapii, a jedyne chwile wytchnienia przynosi jej seks z mężem (to kolejny partner, z niedoszłym małżonkiem rozstała się po zajściu w ciążę). On doskonale zaspokaja ją, pozwalając Elizabeth na chwilę opuścić czujną głowę i napięte ciało, ona stara się zaspokoić wszystkie jego łózkowe pragnienia i zrealizować fantazje (np. te o trójkacie w burdelu). Zwłaszcza ta ostatnia kwestia wzbudziła w Niemczech falę protestów ze strony feministek: Alice Schwarzer na przykład zarzuciła Roche promowanie „wizji świata jak za czasów naszych prababek” i określiła jej książkę jako „zбочony wyciskacz łez”, który „nie daje rozwiązania, a jedynie problem”. To ostatnie mogłaby powiedzieć Elizabeth o Schwarzer, która zresztą pojawia się w jej fantazjach, żeby wyjaśnić, że bohaterka wcale nie ma orgazmu, tylko wyobraża go sobie, by podpo-



Charlotte Roche,  
*Modlitwy waginy*,  
 tłum. Ewa Kochanowska,  
 Czarna Owca,  
 Warszawa 2012

rządkować się swojemu mężowi i jego potężnemu penisowi.

Więc czego ja chcę? Prawdziwych „ratunkowych modłów łona”? Powieści, w której po doświadczeniu tragicznej śmierci bliskich osób bohaterka z trudem, ale jednak przekuwa ten dramat w kolejne źródło własnej siły? Opowieści o tym, jak podąża ścieżką duchowego rozwoju i seksualnego rozkwitu, by na koniec stać się dojrzałą i pełną osobowością, kimś na kształt czternastej matki klanowej z tendencjami do przekształcenia w wiedzącą wiedźmę? To oczywiście byłoby za proste, najprawdopodobniej zanudziłaby mnie taka książka, śmiałabym się z niej i uznałabym ją jedynie za duchowe czytadło i kolejny przykład pisania pod sznurek.

Ostatecznie nie znalazłam na określenie tej lektury innego słowa niż „dziwne” i nie umiem powiedzieć powieści Roche ani „tak”, ani „nie” (choć akurat takie wahania uważam za zdrowy objaw). W tej chwili odpowiedź brzmi „nie”. Poczytajcie same\_i, żeby znaleźć własną odpowiedź. I spróbujcie nie dać się zniechęcić wyjątkowo niemiłemu językowi, który odbiera przyjemność lektury. *Modlitwy waginy* mają formę strumienia świadomości, ale jednocześnie sprawiają wrażenie wyimków z „listów do redakcji”. A może Roche udało się doskonale oddać strumień zniewolonej świadomości, myśli kobiety uwięzionej samokontrolą? Może powinnam jej jednak powiedzieć „tak”? Dziwne.



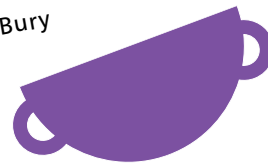
CHARLOTTE ROCHE  
**Modlitwy waginy**

POWIEŚĆ



# Stany socjalizmu w USA

tekst: Ewa Bury



Michael Kazin,  
*Amerykańscy marzyciele.*  
*Jak lewica zmieniła Amerykę,*  
tłum.: Michał Sutowski,  
Krytyka Polityczna,  
Warszawa 2012

Czy ktokolwiek zastanawiała się, dlaczego w USA nigdy nie było partii lewicowej z prawdziwego zdarzenia? Lub chociażby jednego lewicowego gubernatora na przestrzeni tych stosunkowo niewielu lat istnienia Stanów. Ani kawałka socjalizmu na polach bawełny czy w fabrykach? Nic. Zero. Nul. O komunizmie czy anarchizmie nie wspominając. Nawet najbardziej wypasiony teleskop NASA nie wykryje lewicy wokół przestrzeni kosmicznej USA. Nawet w zupie w proszku czerwieni się nie znajdzie poza barwnikiem identycznym z naturalnym. I nie chodzi tu o niszowe gromady fantastów\_tek. Znamy przecież Emmę Goldman, Rycerzy Pracy, Woody Guthriego, Malcolma X, beatników, hipisów, Weather Un-

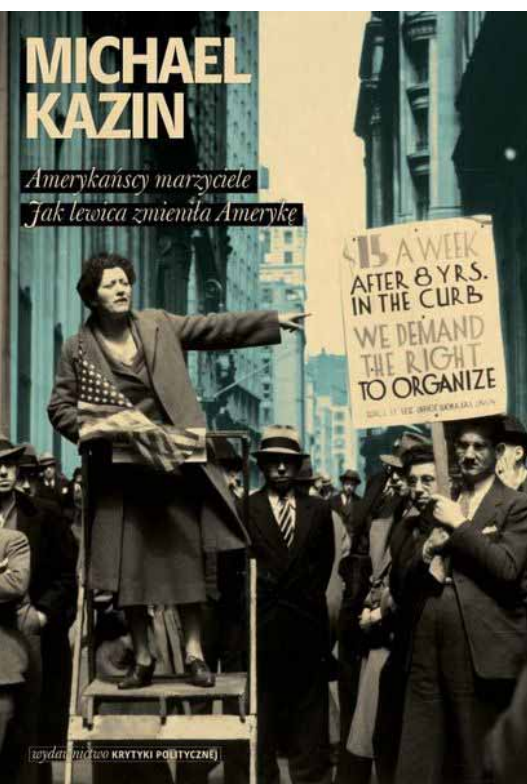
derground, Czarne Pantery czy Naomi Klein. Ich znamy, tych ideowych zapaleńców z iskrą szaleństwa w oku. Tymczasem tu chodzi o konkretne rządy, o prezydenta, Kongres, gubernatorów. A oni, tak można sądzić, nigdy koło lewicy nie stali. No, może na studiach, w czasach chmurno-piwniej młodości, gdzie chmurność oznacza dym z zielonego skręta.

Stereotypowo, z europejską parzącą, USA to ostoja prawicy. Rządzą dolar, ropa, Wall Street. Gdy w Białym Domu siedzą republikanie – prawica tężeje i nabiera marsowych odcieni. A gdy pojawiają się w nim demokraci – prawica mięknie, strzela przymilnie oczkami. Ale jest to nadal prawica, liberalizm ekonomiczny, pochwała wolnego rynku, prywatnej własności, kapitalistycznych oraz swoistych wartości etycznych. Raczej konserwatywnych, raczej bliskich ideom niejednej radykalnej grupy religijnej. Sytuacji, w której naród amerykański głosuje masowo na partię socjalistyczną, wybiera lewicowego prezydenta nigdy nie było.

A zatem co sprawiło, że Michael Kazin napisał taką książkę? Bo pomimo tego, że w Białym Domu nie zasiada polityk czy polityczka z ramienia partii socjalistycznej, to jednak stery rządu dzierży osoba o innym kolorze skóry niż białą. Rzecz bezprecedensowa, nie do pomyślenia jeszcze dwie dekady temu. Bo mimo nieobecności czerwonych w senacie, różnica w zdobyczach wolnościowych wśród Afroamerykanek\_ów i innych grup etnicznych jest kolosalna w porównaniu z np. latami 50. XX wieku. Należy też dobitnie zaznaczyć, że to właśnie amerykańskie feministki, zarówno te z XIX wieku, z lat 60. bądź 70. XX wieku, jak i z czasów nam współczesnych, nadają ton feminizmowi światowemu

i są prekursorkami nowatorskich fal, przemian i idei. Wystarczy wymienić zaledwie parę osób, takich jak Gloria Steinem, Judith Butler czy Erica Jong, a jest ich przecież o wiele, wiele więcej.

Z czym mamy więc do czynienia, gdy mowa o lewicy amerykańskiej? To przede wszystkim szeregi wolnościowców i radykałów, działających od XIX wieku do pierwszej dekady XXI wieku kończąc. W książce przeczytamy o anarchistkach\_tach (Emma Goldman), abolicjonistach (Weld, Douglass, John Brown), sufrażystkach (Elizabeth Stanton, Lucy Stone, Lucy Parsons), socjalistach w rodzaju Edwarda Bellamy czy chrześcijańskich socjalistkach w osobie Frances Willard, Froncie Ludowym i Rycerzach Pracy, Komunistycznej Partii USA i szalonych latach 60., a także o Nowej Lewicy i współczesnych „okupacjach”. Wszystkie te działania i wszystkie te osoby miały wielki wpływ na widoczne dziś gołym okiem zmiany w Stanach. „Przed końcem XX wieku wciąż podtrzymywane i żmudne wysiłki radykałów, zarówno wierzących, jak i niewierzących, pomogły wyeliminować najbardziej rażące niesprawiedliwości republiki kapitalistycznej: zniesiono niewolnictwo, Afroamerykanie i kobiety wszystkich ras mogli cieszyć się pełnią praw obywatelskich i politycznych, a państwo było w stanie zapewnić minimum bezpieczeństwa ubogim i niepełnosprawnym, a także okazywało się zdolne regulować najpoważniejsze nadużycia wielkich korporacji”. Chociaż „Thomas Skidmore byłby wściekły jak zawsze; jego idee dotyczące ogólnego podziału własności nigdy nie zyskały wielu zwolenników, nawet wśród współczesnych mu pracowników najemnych”. Jednak bez ideałów równości, bez wolności, bez praw do swobód i „dążenia do szczęścia w wybrany przez siebie sposób” (Victoria Woodhull) nie można sprawić, by świat przypominał dom.





# Gdzie leży Pornoland?

tekst: Enenna



Gail Dines,  
*Pornoland.*

*Jak zdradzono naszą seksualność,*  
tłum. Katarzyna Dajksler,  
W drodze,  
Poznań 2012

Pierwsza odpowiedź: w Ameryce. Tam dzieją się wszystkie straszne rzeczy, które naszej Polski nie dotyczą. Według filmu „MissRepresentation” w Ameryce kobiety nie zajmują odpowiedzialnych stanowisk, a w mediach przedstawiane są głównie jako wydekoltowane lale. Nas, Polek, nie dotyczy. To, pani, o Ameryce.

„To o Ameryce”: z takim samym nastawieniem zaczęłam czytać *Pornoland*. Zdanie na temat pornografii miałam już wcześniej wyrobione, a za sobą lekturę *Pornografii* Lecha Nijakowskiego, więc znałam teoretyczny podział na odmiany tego gatunku. Zaskoczeń się nie spodziewałam.

„To nie jest książka dla ludzi o słabych nerwach”, głosiły ostrzeżenia. Gail Dines podróżuje od lat z wykładami na temat pornografii i na wstępie (wykładów oraz książki) zaznacza, że wiele\_u słuchaczek\_y ma wyobrażenie o pornografii sprzed kilkudziesięciu lat. Teraz standardów nie wyznaczają „Playboy” i „Emanuelle”. Modne są przemoc, ból i upokarzanie. Wszystko to w pornografii wyrządzają mężczyźni kobietom. Czułości tam nie ma. Autorka zaczyna z grubej rury, opisując w prostych słowach, co obecnie dominuje w Internecie. Nie przepiszę. Kupcie książkę. Sami\_e przeczytajcie.

Aby ochronić słabe nerwy, poprosiłam uroczego asystenta, by zrobił dla mnie rozeznanie w pornografii w internecie. Przed rozeznaniem przyznał, że owszem, znany mu jest temat seksu oralnego z dławieniem, analu, podwójnej penetracji, ale stanowi to margines w różnorodnym świecie internetowej pornografii. Po przemyśleniu sprawy

stwierdził, że autorka może mieć rację. W internecie ilościowo dominuje pornografia pełna brutalności i pogardy wobec kobiet. Pornoland nie leży w dalekiej Ameryce. Światowa sieć oplata i nas.

I co z tego? Czy przez to, że w sieci jest dużo drastycznych obrazów, jest więcej gwałtów? Czy jest więcej przemocy? Zmieniają się zachowania intymne? Anal robi się modny? Intymna depilacja idzie coraz dalej? Czytelnicy i czytelniczki, rozejrzyjcie się i odpowiedzcie sobie sami.

To, co spodobało mi się w *Pornolandzie*, to brak prostych zależności. Nie każdy oglądający pornografię mężczyzna jest wobec kobiet brutalny, nie traci też zdolności do wchodzenia w intymne związki. Gail Dines nie stosuje prostego przełożenia ilości pornografii na liczbę gwałtów, wskazuje jednak na to, że wzrasta zapotrzebowanie na coraz brutalniejsze i bardziej udziwnione obrazy, w miarę, jak mężczyźni (gdyż do nich jest skierowana pornografia, o której pisze) przestają podniecać się tym, co znane, i szukają nowych bodźców. Stępioną wrażliwość poruszają coraz drastyczniejsze sceny. Zaczyna pojawiać się zainteresowanie pornografią dziecięcą.

No dobrze, i co z tego? Przecież to wszystko nikomu nie szkodzi?

Jeśli faktycznie w sieci znajdują się zdjęcia poobcieranych odbytów, jeśli tzy aktorek porno są prawdziwe, to owszem, dzieje się krzywda, a każde zdjęcie i każdy film stanowią jej dowody. Nie aktorki jednak, zdaniem Gail Dines, są prawdziwymi ofiarami przemysłu pornograficznego. Ofiarami są mężczyźni, którzy uzależniają się od brutalnych obrazów, wstydzą się uzależnienia, wreszcie widzą pogłębiającą się przepaść między własnym życiem seksualnym a tym przedstawionym na ekranie i cierpią z tego powodu. Ofiarami pornografii są kobiety,

traktowane przez nich jak przedmioty, odzierane z godności, zachęcane do swobodnego seksu, a kiedy posłuchają przekazu, piętnowane jako „dziwki”.

Zabrakło mi na koniec całościowej krytyki świata, w którym żyjemy, a którego miniaturowym obrazem jest brutalna pornografia. Za rosnącą drastycznością materiałów stoi przecież chęć zysku.

Gail Dines sądzi, że pornografia przenika do świata na zewnątrz, a mnie wydaje się, że świat zewnętrzny przegląda się w pornografii – tak czy inaczej, zgadzamy się, że Pornoland jest tu i teraz. *Pornoland* nie forsuje jednak jednej jedynej wizji i chociaż nie można go nazwać lekturą niezaangażowaną, to jednak bardziej dostarcza czytelnikom kom danych niż głosi gotowe slogany.

Podróż do Pornolandu polecam ciekawym świata.





# Na antypodach świadomości

tekst: Agnieszka Kraska



Aldous Huxley,  
*Drzwi percepcji. Piekło i niebo*,  
tłum. M. Mikita,  
Wydawnictwo Cień Kształtu,  
Warszawa 2012

Wielbiciele i wielbiciele *Nowego wspa-  
niałego świata* ostrzegam – *Drzwi per-  
cepcji* nie są powieścią. To dwa długie  
i kilka króciutkich esejów duchowo-filo-  
zoficznych z elementami teorii nauko-  
wych. Pierwszy z nich, *Drzwi percepcji*,  
mówi o meskalinie, czyli substancji wy-  
stępującej z kaktusie o wdzięcznej na-  
zwie *Lophophora williamsii*, popularnie  
nazywanym pejotlem, którą zachodni  
naukowcy nauczyli się uzyskiwać w la-  
boratorium. Substancja ta była szero-

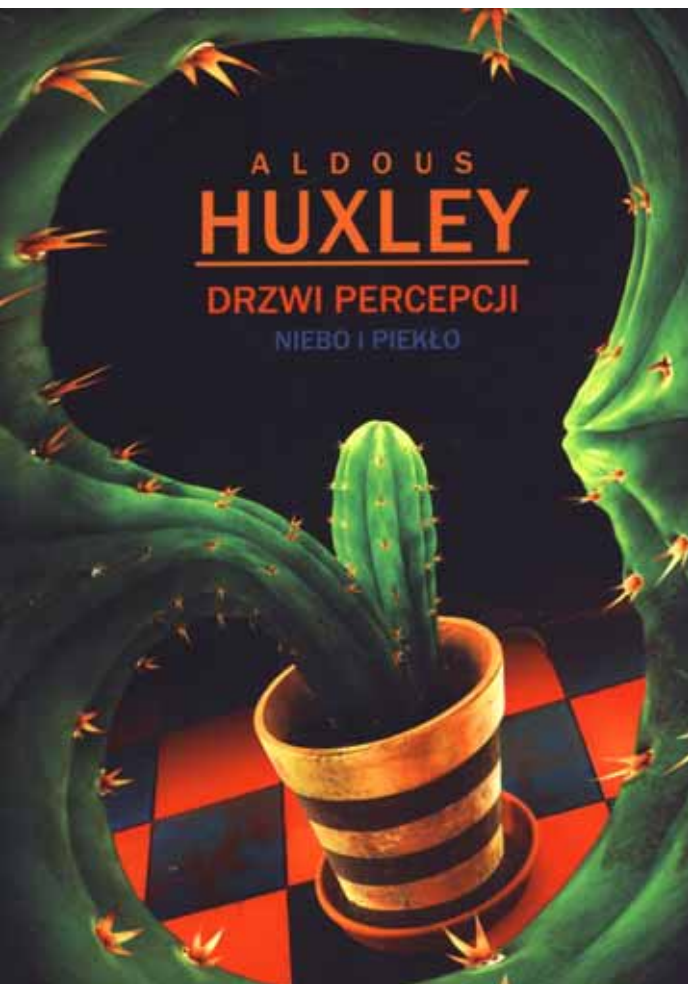
ko wykorzystywana przez rdzennych  
mieszkańców Ameryki do celów ducho-  
wo-uzdrowicielskich, gdyż posiada silne  
właściwości halucynogenne, a przy tym,  
w przeciwieństwie do wielu innych roślin  
wywołujących wizje, nie jest toksyczna.  
W latach 50. Huxley zgłosił się jako „kró-  
lik doświadczalny” do eksperymentów  
naukowych, dzięki którym zamierzano  
szczegółowo opisać działanie meskaliny.  
Pod okiem naukowców-obszerników  
zażył jej 0,4 g, po czym szczegółowo  
opisywał im swoje doznania. W trakcie  
eksperymentu obserwatorzy zadawa-  
li mu najróżniejsze pytania, mające na  
celu sprecyzowanie opisu. Cały proces  
został nagrany, co pozwoliło Huxleyowi  
na późniejsze szczegółowe odtworzenie  
wizji. Poza opisem  
doznań znajdziemy  
też odniesienia do  
najróżniejszych teorii  
filozoficznych i na-  
ukowych opisujących  
działanie mózgu,  
dzięki którym dowie-  
my się nie tylko, co  
robi z naszym mó-  
zgiem meskalina czy  
hipnoza, ale także...  
cukier. Huxley powta-  
rza za Bergsonem  
i C. D. Broadem teo-  
rię, wg której głów-  
nym zadaniem mó-  
zgu jest redukcja  
bodźców, nie zaś,  
jak się powszechnie  
uważa – tworzenie:  
„Každy człowiek,  
w każdym momen-  
cie ma zdolność pa-  
miętności wszystkie-  
go, co kiedykolwiek  
mu się przytrafiło

i postrzegania wszystkiego, co dzieje  
się wszędzie we wszechświecie. Funkcją  
mózgu oraz systemu nerwowego jest  
chronienie nas przed przytłoczeniem  
i dezorientacją przez tę masę w więk-  
szości nieprzydatnej i nieważnej wiedzy  
poprzez odcięcie większości tego, co  
w przeciwnym razie nieustannie byśmy  
postrzegali lub zapamiętywali, i pozos-  
tawiając jedynie niewielki i szczególny  
wybór, który prawdopodobnie okaże  
się mieć praktyczne zastosowanie”<sup>1</sup>.  
Taki sposób postrzegania Huxley określa  
Wolnym Umysłem, a sprawnie działają-  
cy mózg i układ nerwowy – redukującym  
zaworem. Według niego meskalina, hip-  
noza, medytacja, mistyczne doznania re-  
ligijne czy też wizje osób cierpiących na  
schizofrenię odkręcają nieco ten zawór,  
poszerzając nasze postrzeganie zmysło-  
we, pozwalając zajrzeć do „antypodów  
świadomości”. Dzięki nim możemy uj-  
rzeć prawdziwą naturę każdej rzeczy.  
Jak takie postrzeganie wygląda – autor  
szczegółowo opisał.

W drugim esej, zatytułowanym  
*Niebo i piekło*, autor opowiada o tym,  
co możemy spotkać na „antypodach  
świadomości”, czyli jak wyglądają  
doświadczenia wizyjne innych osób.  
Wymienia także i opisuje inne, poza  
meskaliną, środki, mające działanie  
„przenoszące”, czyli ułatwiające do-  
świadczenia wizyjne.

Osiem króciutkich *Załączników* to  
dopiski, uzupełniające zasadniczy tekst.

Warto dodać, że ta niewielka ksią-  
żeczka stała się biblią hippisów i bit-  
ników, kontestujących w latach 60. na  
wschodnim wybrzeżu Stanów Zjed-  
noczonych. Jeśli więc chcecie się do-  
wiedzieć, czemu kultowy amerykański  
zespół przyjął nazwę The Doors, prze-  
czytajcie wydrukowane zieloną czcion-  
ką *Drzwi percepcji* Huxleya.



1. Aldous Huxley, *Drzwi percepcji. Piekło i niebo*, tłum. M. Mikita,  
Wydawnictwo Cień Kształtu, Warszawa 2012, str. 17.



# 365 drzew

tekst: Agnieszka Kraska



Cecylia Malik,  
*365 drzew*,  
Fundacja Bęc Zmiana,  
Warszawa 2011

W parkach, sadach, lasach, przy drogach, nad rzekami, jeziorami, nad morzem, przed wieżowcami, kamienicami, kościołami, na tle budowy, kortów tenisowych, kominów fabrycznych, mostów, szpitali, przejazdów kolejowych, hoteli, domów kultury, biurów, billboardów, blokowisk, podwórek, krakowskiej starówki, na wsiach i w miastach, w górach, na łąkach, przy przystankach, na plażach i kąpieliskach, jarmarkach, parkingach, cmentarzach, o wchodzie i zachodzie słońca, w nocy i w ciągu dnia, w śniegu i w deszczu, w słońcu i we mgle, w towarzystwie gołębi, dzieci, krów, na najwyższych czubkach tatrzańskich świerków i na warszawskiej palmie przy rondzie de Gaulle'a – Cecylia Malik przez 365 dni, każdego dnia wchodziła na inne drzewo. I robiła sobie zdjęcie, a w zasadzie ktoś robił jej zdjęcie. Najczęściej siostra, Rozalia Malik. Po czym zdjęcie było publikowane w internecie i wywoływało falę komentarzy.

Książka *365 drzew* to album, dokumentujący ten niezwykle projekt artystyczny krakowskiej malarki, performerki i fotografki. Inspiracją dla artystki była książka Italo Calvino *Baron drzewołaz*, o chłopcu, który w wyniku kłótni z ojcem wszedł na drzewo i... nigdy z niego nie zszedł. Cecylia Malik, tak jak Cosimo Pivasco di Rondo, spełnia marzenie każdego zbuntowanego dziecka – wchodzi na drzewa. Tam, na wysokiej gałęzi, w zielonej krainie baśni, można poczuć się bezpiecznie, a zarazem magicznie. Któż z nas nie marzył w dzieciństwie o domku na drzewie? Ja marzyłam, a starsza o kilka lat siostra cioteczna uczyła mnie palić papierosy na gałęzi najdalszej śliwki w sadzie. „Jest to mój pamiętnik, ale

też prywatna rebelia, mały bunt” – pisze autorka. Jestem przekonana, że to przedsięwzięcie, wymagające od autorki żelaznej samodyscypliny, oprócz ogromnego wysiłku przyniosło jej też wiele radości i spełnienia, co można zauważyć, patrząc na niemal każde zdjęcie w albumie.

A same zdjęcia? Są realistyczne i baśniowe zarazem. Artystka w kolorowej, kontrastującej z zielenią drzew odzieży przypomina czasem supermena, innym razem krasnala ogrodowego lub makową panienkę. Stoi na cienkich gałązkach bądź zwisa z gałęzi głową w dół, jak na trzepaku. Czasem widać tylko nogę wystającą z dziupli, innym razem stoi na rękach tak, że oglądamy tylko nogi sterujące w górę z bujnej zieleni bukszpanu, jakby drzewo ją pożerało. Na jeszcze innym zdjęciu leży w konarach olbrzymiej wierzby, zawinięta bezpiecznie w koc jak w kokon.

Poza zdjęciami książka zawiera kilka tekstów, między innymi Adama Wajraka, Rozalii Malik, Sylwii Chutnik czy Joanny Pawluśkiewicz, która powtarza opowiadaną jej w dzieciństwie uroczą bajkę o choince i miśku.

Projekt 365

*drzew* spełnia jednak nie tylko funkcję estetyczno-artystyczną, ale też przyrodniczo-dydaktyczną. Każde dziecko potrafi dziś wymienić 150 marek samochodów, ale rzadko które potrafi odróżnić brzozę od osiki, szczególnie jeśli akurat nie mają one na sobie liści. Jak pisze Adam Wajrak, projekt „przywraca nam, ludziom, drzewa”. Album zawiera alfabetyczny spis drzew według gatunków, jeśli więc nie wiesz, jak wygląda na przykład buk płaczący, możesz to łatwo sprawdzić na stronach 105 i 113.

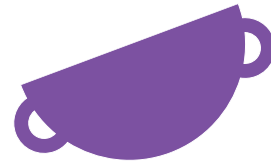
We mnie osobiście zdjęcia Cecylii Malik na drzewach nieustannie wywoływały zazdrość, a także prowokowały pytanie: „Jak ona tam, do cholery, wzięła?”





# Kim była Kleopatra?

tekst: Enenna



Stacy Schiff,  
*Kleopatra*,  
tłum. Hanna Jankowska,  
W.A.B.,  
Warszawa 2012

Historia nie dała kobietom zbyt wiele wzorów osobowych. Promowane były skromne i ciche istoty, takie jak Lukrecja. Kim była Lukrecja? O tym pamiętają tylko najzagorzalsze\_si wielbicielki\_e Rzymu. Każda\_y za to ma pojęcie, kim była Kleopatra. I jedna, i druga popełniły samobójstwo, poza tym dzieli je

wszystko. Rzymska Lukrecja, cnotliwa małżonka, została zgwałcona przez syna królewskiego. Nie zniosła hańby, zabiła się. Czyn stał się precedensem do obalenia monarchii. Postać Lukrecji w legendzie jest bierna. Nie walczy, a agresję potrafi skierować tylko przeciw samej sobie.

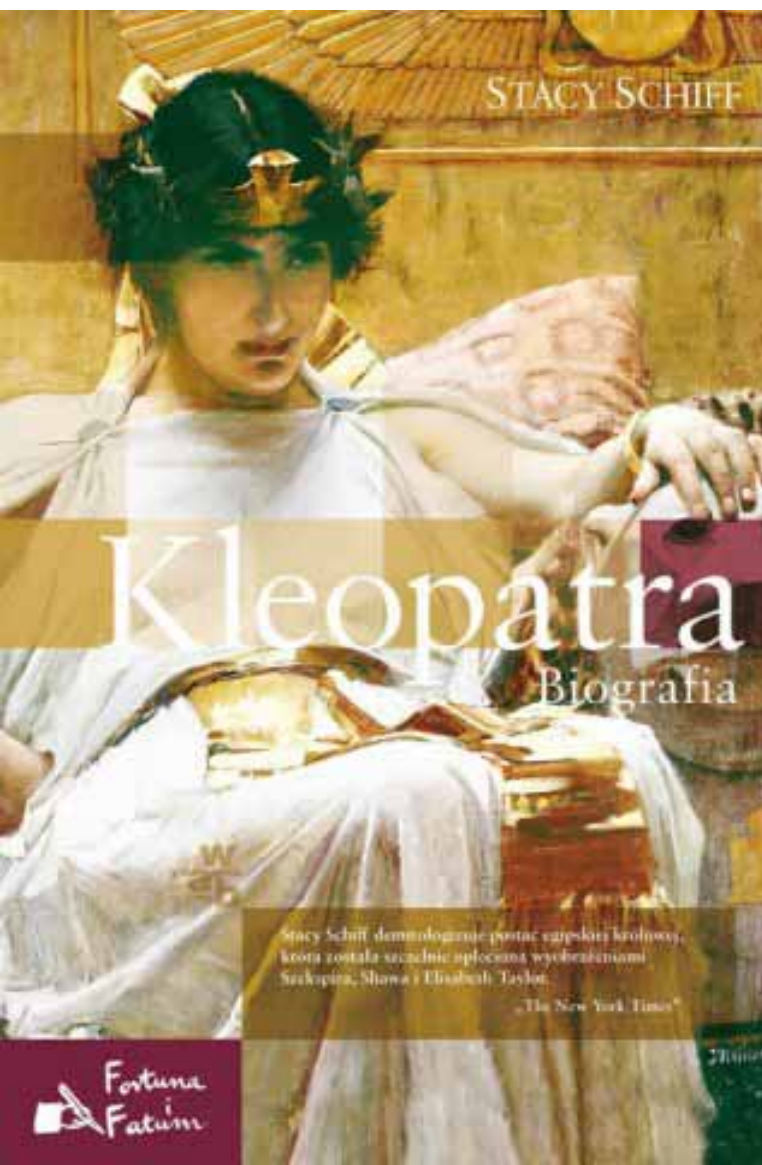
Kleopatry nikt nie próbował zgwałcić. Ta aktywna postać nawiązywała romanse i sojusze, imprezowała, wojowała, a kiedy chciano pozbawić ją wolności, popełniła samobójstwo. Kleopatra fascynuje. Nowa biografia Kle-

opatry, autorstwa Stacy Schiff, jest kolejną z niezliczonych pozycji poświęconych królowej, i rozpoczyna się od analizy mitu. W wielu miejscach autorka przerywa relację z historycznych wydarzeń i pokazuje, jak późniejsze wyobrażenia o tym, że władza kobiety może być wyłącznie istotą erotyczną, zniekształcają fakty. Kleopatra była kobietą i mieszkańką Wschodu,

a zatem już zdaniem współczesnych Rzymianek\_Rzymian musiała zdobywać władzę przez łóżko. Niewiele mówi się o tym, że sprawnie rządziła Egiptem i znała się na gospodarce. Panowała samodzielnie. Była jedną z najbogatszych postaci w historii: jak pisze Schiff, według jednego z rankingów zajmuje 22. miejsce, po Rockefellerze i carze Mikołaju II, ale przed Napoleonem i J.P. Morganem. Miała własny kapitał, własne zainteresowania, własną politykę, a od czasu do czasu silnego mężczyznę u boku. Biografia Schiff jest zdecydowanie książką historyczną, a nie romansem. Znajdziemy tu relacje z działań wojskowych i politycznych podchodów. Stacy Schiff mówi o życiu prywatnym Kleopatry – czy matka czworga dzieci znała antykoncepcję? Jak spędzała czas? Czy faktycznie mogła rozpuścić perłę w winie?

To nie jest pierwsza pozycja, która próbuje oddzielić w życiu Kleopatry fakty od legendy. W polskiej literaturze pisał o niej Krawczuk, który już w 1969 roku zaczął biografię Kleopatry od stwierdzenia, że to nie jest kolejna typowa książka o egipskiej królowej. Mit Kleopatry wciąż, wciąż prowokuje do kolejnych poszukiwań prawdy. Jeden mit zastępuje drugi. Odchodzi orientalna kusicielka z wężem, przychodzi kobieta – polityk i wojskowy.

Warto sięgnąć po *Kleopatę* Stacy Schiff w poszukiwaniu inspirujących, silnych kobiecych postaci. Największą wartością tej biografii jest perspektywa feministyczna. Autorka pokazuje, w jaki sposób realna postać stała się przez tysiąclecia ekranem do projekcji oczekiwań wobec kobiet i mieszkańców Wschodu: zdradliwa, rozpustna, wyrafinowana. Nie wiemy, jak wyglądała twarz Kleopatry, ale możemy wyobrazić sobie, że każda epoka nadaje jej własne oblicze. Oblicze naszej epoki, które pokazuje Stacy Schiff, podobna mi się.

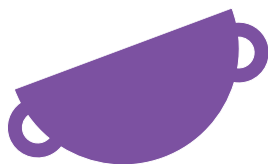


Stacy Schiff demitologizuje postać egipskiej królowej, która została szlachnie spleciona wyobrażeniami Sierkopyna, Showa i Elisabeth Taylor.

„The New York Times”

# Koniec mitu o jaskiniowcach

tekst: Agnieszka Kraska



z kotła



Cacilda Jetha, Christopher Ryan,  
*Na początku był SEKS. Prehistoryczne źródła współczesnej seksualności*,  
tłum. A. Patrykowska,  
Wydawnictwo Czarna Owca,  
Warszawa 2012

Uwaga! Książka, z której okładki wielkimi literami krzyczy słowo „SEKS”, nie jest o seksie. To książka popularnonaukowa z dziedziny antropologii, teorii ewolucji, która mówi przede wszystkim o tym, jak żyła żył człowiek prehistoryczna\_y. I jak uprawiała\_ł seks. Albo może inaczej – jak prehistoryczna\_y człowiek nie żyła\_żył i jak się nie kochała\_ł, bo książka przede wszystkim podważa większość teorii naukowych dotyczących warunków życia naszych przodków i przodków.

Autorka i autor nie zgadzają się z obrazem życia naszych protoplastek\_ów, jak obrazowo napisał Thomas Hobbes, „samotnego, biednego, brudnego, brutalnego i krótkiego”. Według nich żaden z tych przymiotników nie odpowiada prawdzie. Nasze\_si przodkinie\_owie, żyjąc we wspólnotach tworzyły\_li o wiele mocniejsze więzi niż zindywidualizowana\_y człowiek współczesna\_y. Egalitarne społeczeństwa zbieracko-łowicze pracowały wspólnie, raczej w niewielkim wymiarze godzin, ciesząc się dużą ilością wolnego czasu i obfitością zbiorów. Ponieważ nie było własności prywatnej, ludzie nie posiadali\_li ani ziemi, ani żadnych trwałych dóbr, nie było o co się bić ani prowadzić wojen. Terytoriów zbierackich było zdecydowanie ponad miarę. Żyliśmy\_liśmy też o wiele dłużej, niż o tym mówią obiegowe opinie. Jak uważają autorka i autor, nasze\_si protoplastki\_ści żyły\_li „często tak długo, jak dziś żyją jedynie najbogatsi i najszczęśliwsi, nawet jeśli mają stenty w tętnicach, cukrzycę i tytanowe biodra”.

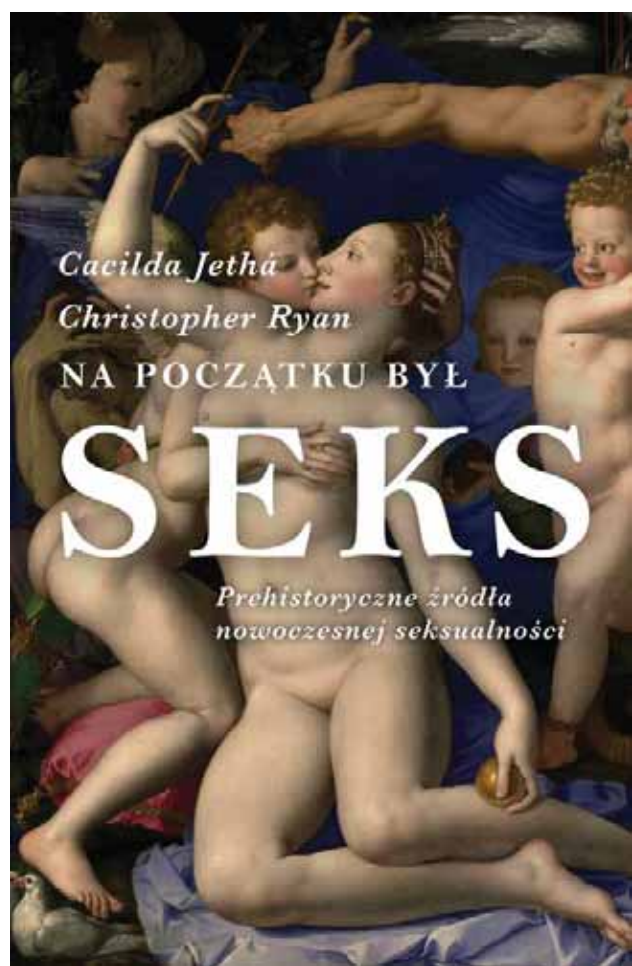
A jak się kochałyśmy\_liśmy? Przede wszystkim niemonogamicznie. Je-

tha i Ryan uważają, że monogamia w przyrodzie występuje niezwykle rzadko. Przede wszystkim polega ona na tym, że łączące się w pary zwierzęta NIGDY nie zmieniają partnerek\_ów, co człowieka raczej nie dotyczy. Klany rodzinne zaczęły się kształtować dopiero wraz z rozwojem rolnictwa. W społecznościach zbieracko-łowiczych, które nadal funkcjonują od Amazonii przez Afrykę i Tybet po Nową Gwineę, ludzie nie łączą się w monogamiczne pary, a dzieci, które się rodzą, mają wiele ojców i matek, a jeszcze więcej ciotek, babek, dziadków i sióstr. Dzieci mosuańskie nie boją się chodzić same po ulicach. One nigdy nie są same. Przemieszczają się swobodnie, wszędzie spotykając osoby, które traktują je jak własne potomstwo.

Co się więc z nami stało? Skąd się wzięły wojny, bieda, przeludnienie, przemoc? Dlaczego po kilku latach małżeństwa nasze libido zanika albo kierujemy swoją uwagę w stronę innej\_go partnerki\_ra? Według Cacildy Jethy i Christophera Ryana człowiek na swojej drodze popełnił jeden niewybaczalny błąd, za który wszyscy do tej pory płacimy. Nie powiem jaki. Przeczytajcie tę wywrotową książkę, a nie będziecie już więcej patrzeć na „jaskiniowców” jak na prymitywne istoty, wymachujące maczugą. Ona zmieni wasze spojrzenie na prehistorię. Może też pomóc odpowiedzieć na kilka istotnych pytań dotyczących kondycji współczesnej\_go człowieka, naszego życia seksualnego, społecznego, relacji międzyludzkich.

Już pierwsze zdanie wprowadzenia burzy naszą szkolną wiedzę: „Zapomnij o wszystkim, co słyszałeś o naszym pochodzeniu od małp. Nie pochodzimy od małp. Jesteśmy małpami”. To prawda, sprawdźcie w Wikipedii :) Do rodziny człowiekowatych zaliczamy goryle, szympany, orangutany i ludzi. To nieco zmienia perspektywę, prawda? A może styl życia, który zwykliśmy\_liśmy uważać za najwłaściwszy, wcale taki nie jest? Co to w ogóle znaczy „postęp” i czy na pewno w nasze warunki życiowe są lepsze niż milion lat temu?

Książka *Na początku był SEKS...* napisana jest żywym, błyskotliwym językiem, z dużym poczuciem humoru. Mimo że powstała na podstawie badań naukowych, nie ma w sobie nic z akademickiej nudy. Wręcz przeciwnie. Czytając ją, niejeden raz otworzyście szeroko oczy ze zdziwienia.



z kotła



# Kryzysowe narodziny

tekst: Iza-Kasia Zalewska-Kantek



Sheila Kitzinger,  
*Kryzys narodzin*,  
tłum. Anna Banaś, Piotr Banaś,  
Agnieszka Weseli,  
Mamania,  
Warszawa 2011

Wiem z własnego, niezbyt szczęśliwego, doświadczenia porodowego, o którym miałam okazję napisać w 4. numerze „Trzech Kolorów”, że kobieta, która przeżyła trudny poród, nie ma o tym, na dobrą sprawę, z kim porozmawiać i prawie nikt jej nie rozumie. Te, dla których urodzenie dziecka było mistycznym, szczęśliwym przeżyciem, odnoszą się do niej z wyższością, ale jeszcze gorzej jest, kiedy zejdą się mamy o bolesnych porodowych wspomnieniach. Wtedy

zaczynają się wkręcanie w pustoszący wir martyrologiczny i licytacja, której było gorzej, niewiele mające wspólnego z rzeczywistym zrozumieniem i wspólnym przeżyciem cierpienia drugiej kobiety, która, uwięziona w swoim bólu, nękana flashbackami nie jest w stanie normalnie żyć. Sheila Kitzinger, osiemdziesięcioletnia dziś, brytyjska antropolożka, autorka 24 książek o porodzie, rozważa różne okoliczności porodu pod kątem potrzeb psychicznych i psychoseksualnych kobiet. *Kryzys narodzin*, pomimo sugestii tytułu i bobasa na okładce, nie jest książką o traumie urodzeniowej ani o uszkodzeniach w psychice spowodowanych nieadekwatnością matki. Autorka bardzo krytycznie podchodzi do zmedykalizowanej kultury porodu,

zgodnie z którą wszystko musi przebiegać w założonym czasie i następować w normatywnie ustalonym porządku. W takich warunkach ciało każdej kobiety jest wadliwe, ponieważ nie zachowuje się tak, jak by szpitalna machina chciała. W związku z tym – przejmuje się nad nim zarządzanie, odbierając kontakt wewnętrzny. Prowadzi to niezawodnie do powikłań u matki i dziecka i może skutkować zespołem stresu pourazowego, poczuciem winy i nieadekwatności, zakłócającymi dalsze życie.

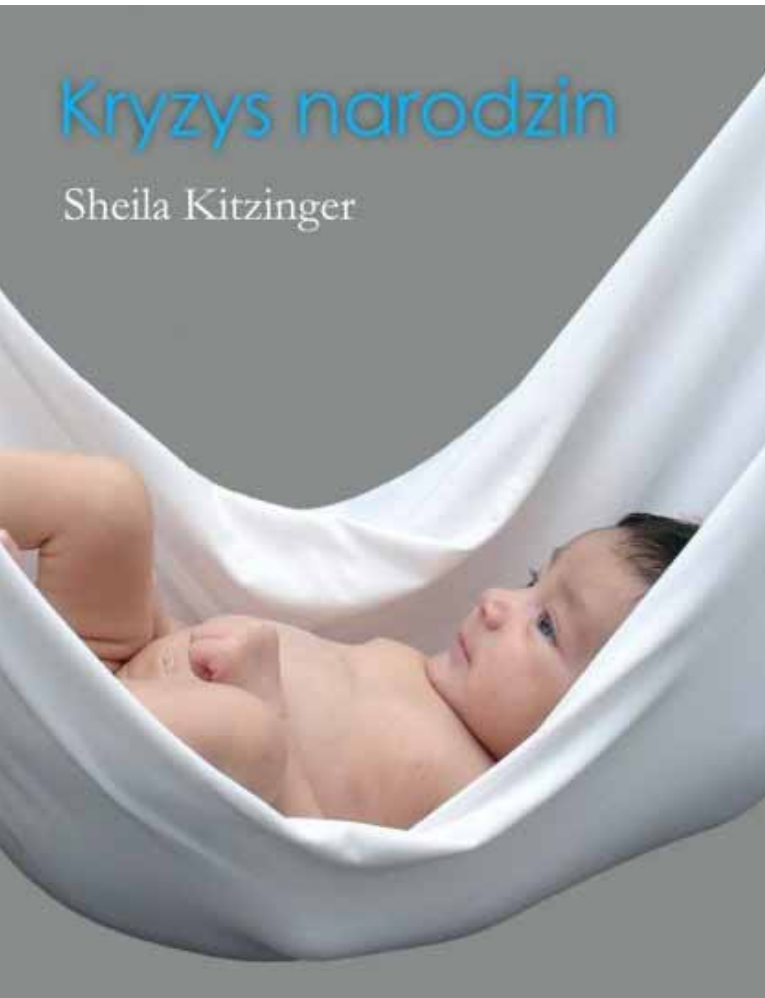
Z badań wynika, że śmiertelność przy porodzie wzrosła dwukrotnie po tym, jak zaczęto zatrudniać położników-mężczyzn, którzy na siłę zmienili odwieczne, kobiece obrzędy porodowe. Sheila Kitzinger pisze, że najskuteczniejszym środkiem przeciwbólowym przy porodzie jest wspierająca obecność drugiej kobiety, która wierzy w intuicję ciała i możliwości rodzącej. Autorka daje rady towarzyszkom\_om porodu, doulom i położnym co robić, żeby stający się ważnym elementem tożsamości akt porodu był jak najbardziej satysfakcjonujący i szczęśliwy.

Podoba mi się, że w tej książce badanie *per vaginam* przyrównane jest wprost do molestowania seksualnego, a bezpodstawne nacięcie krocza nazwane rytualnym okaleczeniem. Najwyższy czas na eliminację przedmiotowego traktowania rodzących kobiet w szpitalach, egzaminacyjnego języka ginekologii (np. „brak postępów...”) i kontrolującego zachowania lekarzy. Ale także wiązania poczucia winy po traumatycznym porodzie z wydarzeniami z wczesnego dzieciństwa.

*Kryzys narodzin* został napisany przez realistkę. Nie znajdziemy tu euforii ani tragedii. Jest życie w mnogich aspektach. Konkretnie wskazówki wynikające z wieloletnich badań, wnikliwych obserwacji i serdecznego bycia z kobietami, a także doświadczenia własnych porodów, zaowocowały świetną, pouczającą książką potrzebną przed porodem i po nim.

Kryzys narodzin

Sheila Kitzinger





# Udane karmienie piersią

tekst: Maria Ela Lewańska



Ina May Gaskin,  
*Karmienie piersią*,  
tłum.: Katarzyna Emilia Bogdan,  
CoJaNaTo,  
Warszawa 2012

To już trzecia książka Iny May Gaskin, która ukazała się na polskim rynku. Pani Gaskin w swojej praktyce położnej, akuszerki, douli od kilkadziesiąt lat wspiera kobiety, by odnajdywały wewnątrz siebie kobiecą mądrość. Bo chociaż współczesna medycyna zaprzecza tej pradawnej mądrości, lekceważy ją często zakłamuje, kobiece ciało jest niezawodnym przewodnikiem i pamięcią – wystarczy dać mu szansę.

Książka stanowi kompendium wiedzy na temat karmienia piersią. Mówią o tym same tytuły rozdziałów: jak działa karmienie piersią, przygotowanie do karmienia piersią, jak wpływa na karmienie piersią przebieg porodu, potrzeby dziecka i twoje oraz rozwiązywanie problemów pierwszego tygodnia, pierwsze 3 miesiące, gdy dziecko choruje, odstawienie dziecka od piersi i tworzenie kultury karmienia piersią.

Karmienie piersią skierowane jest do wszystkich kobiet, które chcą przeżywać świadomie swoje macierzyństwo oraz do ich najbliższych. Kobiety, które oczekują swojego pierwszego dziecka, lub te, które są już matkami i miały jakiegokolwiek problemy z karmieniem piersią, uzyskają wyczerpujące informacje, jak pozbyć się lęków i z powodzeniem karmić swoje dziecko, by dać mu jak najlepszy start w życie.

Jest to także wspaniały podręcznik dla osób zawodowo wspierających kobiety rodzące i karmiące piersią, takich jak położne czy doule. Ina May dedykowała swoją pracę „wszystkim tym, którzy pracują nad popularyzacją karmienia piersią, w darze dla przyszłych pokoleń”. Jest wielką entuzjastką i propagatorką naturalnego porodu i karmienia piersią, ale zwraca się też

do kobiet, które karmią piersią swoje dzieci, aby powstrzymały się przed ocenianiem i osądzaniem tych, które piersią nie karmią, gdyż każda z nas ma prawo decydować o swoich wyborach i sposobie życia.

Osobiście skorzystałam z informacji na temat odżywiania, aby zrównoważyć swoją codzienną dietę. W związanej formie wymienione są naturalne pokarmy, które mogą nam dostarczyć niezbędnych składników, takich jak: białka, witaminy czy minerały.

Szeroka wiedza o lekach i strukturze służby zdrowia dotyczy warunków amerykańskich, ale nie jest dla kobiet w Polsce bezwartościowa, gdyż może służyć jako pewnego rodzaju zagłębienie w przyszłość. Już teraz możemy się dowiedzieć, jakie są skutki społeczne „nowych trendów”, jak chociażby coraz popularniejszych porodów przez cesarskie cięcie czy też sutkofobii. Także dla polskiej służby zdrowia, w trosce o jakość przyszłego pokolenia, cenne byłoby wdrożenie zasad zawartych we wspólnym oświadczeniu WHO i UNICEF, a ogłoszonych w Genewie w 1989 roku pod nazwą „10 kroków do udanego karmienia piersią”.

„10 kroków do udanego karmienia piersią

Każda instytucja, zapewniająca usługi położnicze i opiekę nad noworodkami, powinna:

- opracować pisemne zasady dotyczące karmienia piersią i rutynowo przedstawiać wszystkim pracownikom opieki zdrowotnej;
- szkolić wszystkich pracowników opieki zdrowotnej w zakresie umiejętności niezbędnych do wdrażania tych zasad;

- informować wszystkie kobiety w ciąży o korzyściach płynących z karmienia i propagować karmienie piersią;

- pomagać matkom, jak karmić i jak utrzymać laktację nawet w razie oddzielenia od noworodka;

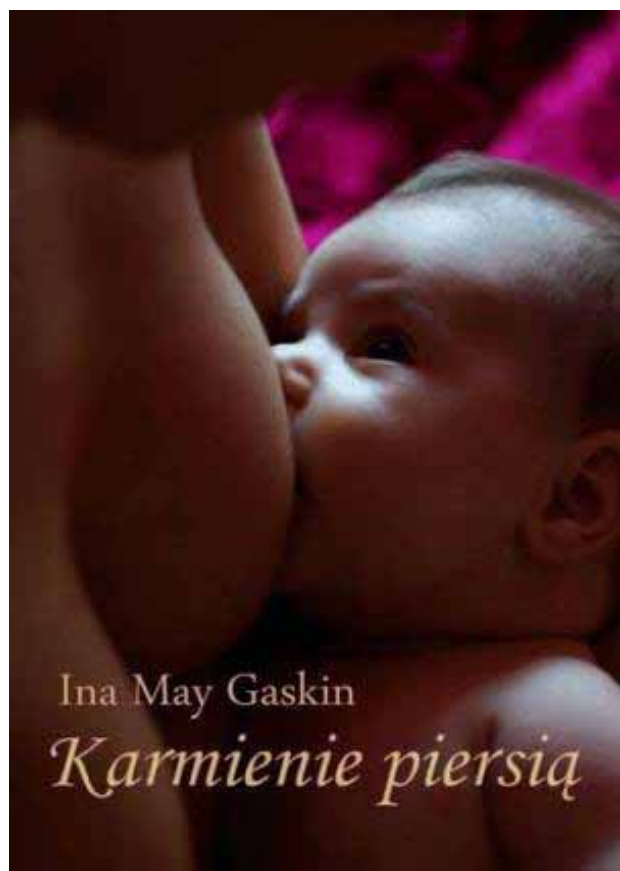
- unikać podawania noworodkom napojów i jedzenia poza mlekiem z piersi matki, chyba że istnieją ku temu powody medyczne;

- praktykować system rooming-in – to znaczy pozwalać wszystkim matkom i noworodkom na przebywanie ze sobą przez całą dobę;

- zachęcać do karmienia piersią na żądanie;

- unikać podawania smoczków niemowlętom, które są karmione piersią;

- propagować tworzenie grup wsparcia dla matek karmiących piersią i kierować do nich matki po wypisaniu ze szpitala czy kliniki.”



Ina May Gaskin  
*Karmienie piersią*



Inga Iwasiów, *Na krótko*,  
Wielka Litera, Warszawa 2012

„Po raz pierwszy udało mi się napisać powieść, która ma elementy satyryczne” – powiedziała o *Na krótko* autorka. To prawda: nawet gdyby zawiodła w innych obszarach (ale tak się nie stało), najnowsza powieść Ingi Iwasiów uwiodłaby mnie zasadą FLAK, z której śmiałam się w głos w tramwaju, tak jak lubię. Fachowość, Lokalność, Autopsja, Książka – te punkty, już na serio, mogłyby posłużyć do określenia mocnych stron książki szczecińskiej pisarki. Fachowość, ponieważ Inga Iwasiów doskonale panuje nad materiałem tekstu, jej słowa naprawdę mówią. Lokalność, gdyż dostajemy precyzyjny (choć podany mimochodem i równie dziurawy jak tzw. rzeczywistość) opis małych i większych światów, po których poruszają się bohaterki i bohaterowie. Autopsja – bo przecież Inga Iwasiów podkreśla, że obdziela swoje postaci własnymi obsesjami i darowuje im własne psychologiczne doświadczenia. Wreszcie Książka, faktycznie Wielką Literą, porządna, solidna książka w czasach druków ulotnych.

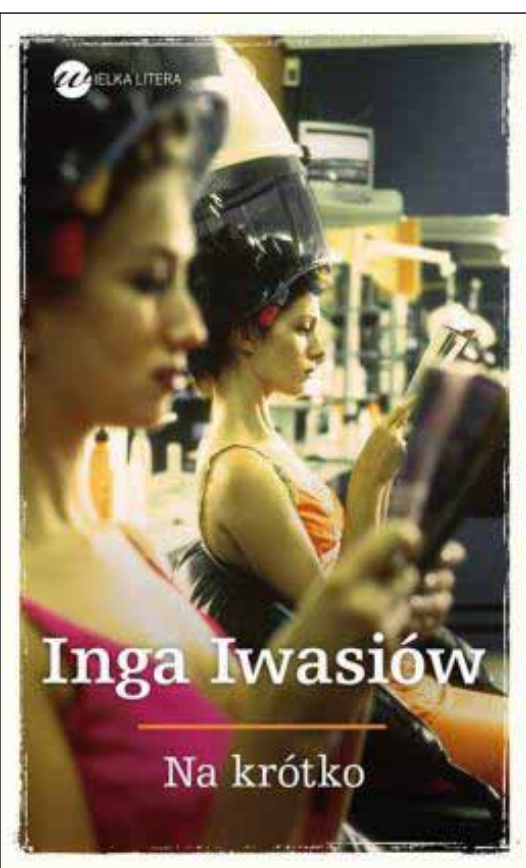
Oczywiście *Na krótko* realizuje również inne zasady. Na przykład PUPOF. Od końca: to Fantastyczna (dzieje się w niedalekiej przyszłości, choć to raczej *political* niż *science fiction*), Obyczajowa, o Pamięci i Uniwersytecka Powieść. Zasada PUPOF wspaniale rozwiązuje problem, jaki recenzentki\_ci, zdaje się, mają z przyporządkowaniem nowej książki Iwasiów. Dla mnie fakt, że nie daje się ona łatwo wpisać w gatunek czy styl, jest wielką zaletą. Podobnie jak to, że trudno znaleźć jej główny temat. Na pewno nie jest to powieść akcji ani sensacji: czasu upływa w niej niewiele, około miesiąca, choć każda minuta tego miesiąca potencjalnie stanowi punkt wyjścia retrospekcji, dalszego lub bliższego wglądu w przeszłość każdej\_ego bohaterki\_ra z osobna. Gdybym musiała odpowiadać na egzaminie (a, jak wiadomo, obecnie nie można już udzielić odpowiedzi jednoznacznej lub w ogóle niejednej), upierałabym się, że *Na krótko* to powieść przede wszystkim o pamiętaniu.

Humanistyczna naukowczyni Sylwia cierpi na schorzenie pamięci, które – jak proponuje Iwasiów, a jej intuicja wydaje mi się bardzo trafna – będzie kolejną wielką epidemią w dziejach ludzkości. Nieznana etiologia i objawy w zasadzie też trudne do uchwycenia: pustki, luki, białe plamki, niewielka dezorientacja, dyskomfort, choć możliwy do zniesienia. Wstecz ku pamięci historycznej zwraca się również nienazwane państwo, sąsiadujące od wschodu z Polską, które Sylwia odwiedza w związku z półnaukowym, półbiurokratycznym badaniem w ramach unijnego projektu. (Litwa?) wystąpiła z ultrastechniczowanej Unii i buduje alternatywną, autarkiczną, antykapitalistyczną gospodarkę, opartą na tradycyjnych zawodach, tradycyjnych rolach społecznych i wyzysku narodowej przeszłości. Wciąż jeszcze sukces nie nadszedł, nad omijanym przez cudzoziemców krajem wisi raczej zapach smutku i zawodu, ale nadal jest nadzieja, że muzealno-rzemieślnicza utopia się ziści. Inaczej niż (nadzieje? plany? potencjały?) głównych bohaterek\_ów powieści, „lodowej księżniczki”, amnezycznej Sylwii, którą tymczasowość wyjazdu i jałowość obowiązków uwalniają

na chwilę od zniechęconej codzienności, oraz Ruty, prowadzącej w (Wilnie?) zakład fryzjerski, rozwiedzionej z mężem, który robi wielką karierę jako stylistą w Hollywood, i wciąż niemogącej o Kaziku zapomnieć, ale też nieczyniącej nic, by go odzyskać. Czwartym w tym układzie, a drugim męskim bohaterem jest Witek, brat Ruty, bibliotekarz, kolekcjoner przedmiotów, strażnik zbiorów pamięci, który waha się, zanim zrobi wreszcie krok, wyjedzie z kraju, dołączy do szwagra w Ameryce. Szwagra, z którym... nie, przecież nic między nimi nie było. A jednak.

Takich „nie było, a jednak” jest w powieści Iwasiów wiele. Dotyczą miłości, relacji, zawodowych ambicji. Nie pamiętam (!), czy któraś\_yś z bohaterek\_ów zadaje sobie pytanie: dlaczego właściwie jestem w tym miejscu (byłoby uzasadnione ze względu na ich, zbliżając się do średniego, wiek), ale zdaje się ono wisieć nad całą niemrawą akcją i podpierać całą żywą refleksję. To w poszukiwaniu odpowiedzi na nie wciąż odbiegamy w przeszłość i ćwiczymy pamięć. Sylwia najpierw nie może wjechać przez granicę, potem nie może wyjechać z obcego kraju. Wewnątrz tej kompozycyjnej klamry rzadkie i niespektakularne wydarzenia płyną powoli, leniwie przepłatają się wątki, powstaje coraz gęstsza siatka nawiązań i skojarzeń, w którą jednak nic nie można schwytać na stałe, bo znów się wymyka; postaci, których spotkania się spodziewam, wreszcie spotykają się pod sam koniec powieści, lecz tylko po to, by znów zawisnąć wśród niewiadomych. To chyba sygnał, że ponownie coś zdecyduje za nich.

Wśród wielu rodzajów książek uwielbiam też te, które traktują mnie, Czytelniczkę, tak poważnie, jak najnowsza powieść Ingi Iwasiów. Nie próbują mi wcisnąć jednolitej i jednostronnej wizji, nie epatują wybuchowymi zdarzeniami ani dzikimi emocjami. Ich autorki\_rzy patrzą na teraźniejszość uważnie i sceptycznie. Na podstawie tej uważności i ironii budują własne opowieści. Fryzura na krótko, krótki pobyt, przykrótka pamięć to pierwsze skojarzenia, ale smak i wdzięczność po lekturze tej książki zostają na bardzo długo.



# Herstoria Winnebagów

tekst: Agnieszka Kraska



*Górska Wilczyca*,  
opracowanie Nancy Oestreich Lurie,  
tłum. A. Sudak,  
Wydawnictwo Tipi,  
Wielichowo 2012

Pokochacie tę piękną, odważną babcie w tradycyjnym stroju Winnebagów, patrzącą z okładki książki.

Jak pisze, urodziła się jako ostatnie dziecko, „takie byle co”. Była jednak ukochaną córką swoich rodziców, uwielbianą także przez starsze rodzeństwo. Kiedy była małą dziewczynką, biali zaczęli zmuszać ludzi z jej plemienia do osiedlania się na określonych terytoriach. „Dawali” im ziemię. Ojciec Górskiej Wilczycy nie przyjął jej, nie widział takiej potrzeby. Nie rozumiał, jak ziemię można „mieć” i do czego to jest potrzebne. Przecież ich życie polegało na wędrowaniu z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pożywienia. Górską Wilczyca także nie była przywiązana do posiadania czegokolwiek. Wprawdzie wędrować za pożywieniem nie było tak łatwo, jak w jej dzieciństwie, bo każdy kawałek ziemi stanowił już czyjąś własność, ale mimo to, jeśli zatęskniła za kimś ze swojej licznej rodziny, to sprzedawała dom, jechała na drugi koniec Stanów i osiedlała się w domu siostry czy innych krewnych. A po jakimś czasie wracała i znowu kupowała dom. Kiedy dowiedziała się, że jej mąż chce się zatrudnić jako listonosz (a w tamtych czasach było to poważane i dobrze płatne zajęcie), natychmiast postanowiła się przeprowadzić. Winnebagowie nie cierpią bowiem stałej pracy. Często powiadają „nikt nie będzie mną rządził”, dlatego nie uznają szefów i chętnie przyjmują się tylko do prac sezonowych i dorywczych, z których łatwo zrezygnować. Górską Wilczyca nie traktowała też uprawy ziemi jako zajęcia godnego poświęcenia uwagi. Ograniczało wolność. Stosunek Winnebagów do posiadania

dobrze obrazuje zasada, że jeśli ktoś z rodziny poprosi cię o coś, po prostu to dajesz. Kiedy Górską Wilczyca chciała jechać do siostry, żeby urodzić dziecko, poprosiła swoją kuzynkę o konia, a ta bez wahania jej go podarowała. Dzięki tej zasadzie została napisana autobiografia Górskiej Wilczycy. Nancy Lurie, prowadząc badania antropologiczne zaprzyjaźniła się ze starszym członkiem plemienia Winnebago, który przed śmiercią ją adoptował. Poprosił on swoją siostrę, Górską Wilczycę, żeby pracowała dalej z Nancy. Antropolożka z kolei poprosiła ją o napisanie autobiografii, a że Winnebagowie nie odmawiają niczego komuś z rodziny, powstała ta wspaniała książka.

O różnicach kulturowych świadczy też fakt, że Górską Wilczyca bez wahania oddała na wychowanie bezdzietnej siostrze swoje pierwsze dzieci, a później wychowywała jak własne dzieci swojej córki. Bez wahania też zaopiekowała się starą kobietą, mieszkającą w pobliżu, która była dla niej zupełnie obcą osobą. Kobieta ta była zbyt stara i schorowana, aby sama mogła się odpowiednio o siebie zatroszczyć. Czy ktokolwiek z nas przyjąłby \_tby pod swój dach mieszkającą w pobliżu bezdomną po to, żeby ją karmić, leczyć, myć i czesać?

Górska Wilczyca pisze o swoim życiu. O dzieciństwie, pracy, dzieciach i wnuczkach, o podróżach, rytuałach religijnych i inicjacjach, o tym, jak wuj przekazywał jej tajemnice ludowej medycyny. Opisuje mistyczne wizje, jakich doznała

pod wpływem pejotlu. Pisze z prostotą i szczerością. Bez wahania opisuje żal i rozgoryczenie, które czuła, kiedy bracia zaaranżowali jej pierwsze małżeństwo. Ale jej wspomnienia to nie tylko zapis osobisty. Książka jest też niezwykle ważnym dokumentem, pokazującym świat, którego już nie ma. Opowiada o historii tamtych czasów, o życiu codziennym mieszkańców Ameryki w czasach jej kolonizacji przez białych.

Czytałam ją z wielkim zaangażowaniem i przyjemnością. Jedyne zastrzeżenie, które mam, jest jednocześnie prośbą, aby nie tłumaczył już więcej słowa *medicine* jako „lek”, bo to bardzo słyca jego znaczenie. Zostało ono już w paru książkach przetłumaczone jako „uzdrowiająca moc”, co dużo bardziej odpowiada jego znaczeniu.



Górska Wilczyca

oprac. Nancy Oestreich Lurie

z kotła





# Sztuka języka protestu

tekst: Agnieszka Weseli/Furja



Kiedy myślę o Jelinek, widzę zawsze – w pierwszej kolejności – kukielkę, która wyobrażała ją w spektaklu *Śmierć i dziewczyna I-IV. Dramaty księżniczek* w Teatrze Dramatycznym. I natychmiast robię się bardzo dramatyczna, widzę całe sceny, wszystko zaczyna układać mi się w fabułę, w ciąg obrazów. Na przykład taki: w życiu Jelinek przecięły się wielka historia, mała rodzinna trauma i to, że urodziła się kobietą, te trzy nieszczęścia wspólnie porąbały ją na kawałki, wypchnęły *im Absents*, na ubocze czy na spalony, na aut, jak określiła to w swojej mowie noblowskiej. „Stamtąd z jednej strony widzi on [pisarz] lepiej, z drugiej zaś sam nie może pozostać na gruncie rzeczywistości. Nie ma tam dla niego miejsca”. Z autu widać więcej i – nie, nie lepiej, raczej gorzej, w sensie: gorsze rzeczy. Najgorsze rzeczy można zobaczyć we własnym kraju, tego dowiadujemy się z licznych wypowiedzi autorki, która, śladem Thomasa Bernhardta, od lat ujada na Austrię, gryzie ją i drapie, żeby spod wygładzonej fasady wydobyć sekrety nazistowskiego zaangażowania, antysemityzmu, nacjonalizmu, rasizmu, mizoginii, Haidera, Lueftla i Fritzla. Sama Jelinek, realizując archetyp wielkiej szalonej prorokini, pozostaje na zewnątrz, odrzuca sławę, bo woli być szybka w ataku „jak piaskowa żmija”, nawet nagrodę Nobla odebrał za nią

wydawca. „Bardzo chciałabym tamjechać, ale nie umiem poruszać się tak szybko jak mój język”. Jelinek jest naprawdę jak cierń w tyłku. I, właśnie, ten cierniowy język!

Znamy go już z powieści i dramatów. Jelinek nie pozwala, by formalne wymogi eseju czy oficjalnego przemówienia skrępowały organ, który chyba jako jedyny w swoim ciele uważa za wolny. Ostre słowa i gorzkie poglądy: to po nich rozpoznajemy wszystkie jej teksty od pierwszego zdania, choć język bynajmniej się nie powtarza, a i poglądy nie są jednoznaczne (podobnie jak zachowania – zajadła komunistka, która fanatycznie kolekcjonuje drogą biżuterię i designerskie ubrania?). Przez komitet noblowski nagrodzona za moc demaskowania stereotypów i absurdów, Jelinek czyni swoją krytykę bronią masowego rażenia. Niewiele\_u z nas mogłoby jako pierwsze\_i rzucić w nią kamieniem. Krytyczna broń Jelinek działa jak język lwa, który podobno potrafi zlizać mięso z kości: odstawia, rozdrabnia, maceruje i masakruje tkankę mowy. Ale jednocześnie tworzy ją na nowo, własną, intensywną, silną, mięsistą, pełną nawiązań i skojarzeń. Rozkosz i koszmar dla czytelniczki\_ka, a dla tłumaczki\_ka? Nie znam niemieckiego, nie wiem, czy jaka jest specyfika tłumaczenia z tego języka, ale w przypadku Jelinek musi to być szczególnie odpowiedzialne zadanie,

ponieważ ta socjofobiczna osoba żyje przede wszystkim w swoim języku. W zasadzie każdy problem ocenia przez perspektywę języka, tropi zakłamanie, dwulicowość i ograniczenia, wodylanie, banały, żeby odślonić relacje władzy i ukryte zazwyczaj zależności. „Władza interesuje mnie przy tym najbardziej, a przez tłumaczenia z telewizora nigdy nie będziecie jej rozumieć”, deklaruje, żeby zaraz podważyć własne kompetencje i możliwości: „Również dzięki mnie jej nie zrozumiecie, ale przynajmniej pojmiecie, że ona jest. Szara, okropna obecność władzy” (wspominałam już, że Jelinek nie zależy na komunikatywności? „Nie chcę być tak skuteczna, jak pismo proroka, którego może zrozumieć każdy, kto chce”). Nie tylko pisanie jest dla Jelinek priorytetem: z eseju *Czytanie* dowiadujemy się, że jej istnienie definiuje czytanie, a „czytać” to dla niej „działać”.

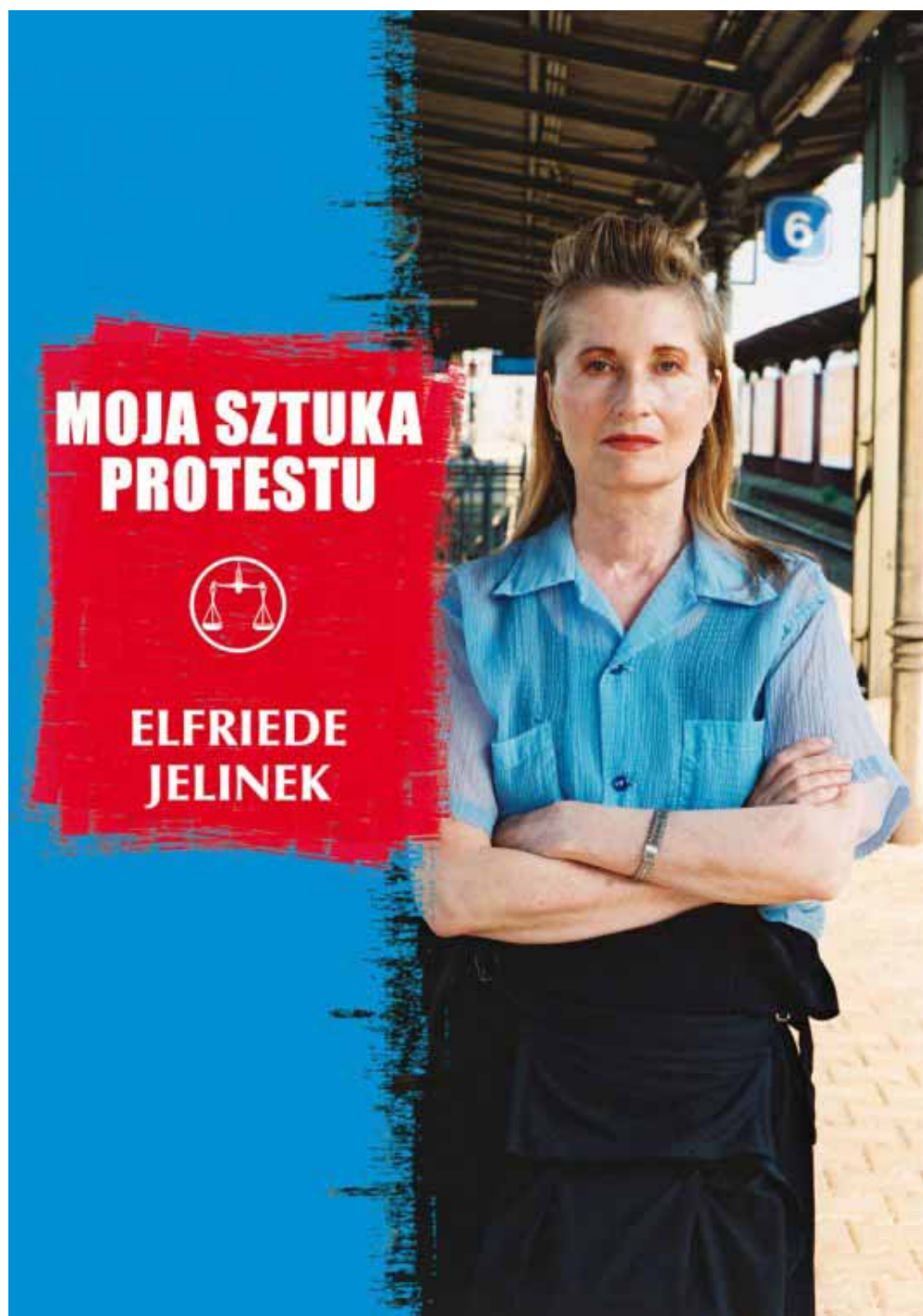
Zbiór esejów, felietonów, artykułów, komentarzy i publicznych wystąpień Elfriede Jelinek, opracowany przez dwie literaturoznawczynie, Monikę Szczepaniak i Agnieszkę Jezierską, został podzielony na cztery obszary: *Język i myślenie*, *Teatr*, *Portrety* oraz *Historia i społeczeństwo*, chociaż tematy przeplatają się nawzajem i przekraczają granice. Jelinek pisze o pisarzach, reżyserach teatralnych i filmowych, o teatrze w ogóle, o spo-



Elfriede Jelinek,  
*Moja sztuka protestu. Eseje i przemówienia*,  
 tłum. Karolina Bikont, Marek Cieszkowski, Agnieszka Jezierska, Elżbieta Kalinowska, Tomasz Ososiński, Artur Pełka, Monika  
 Szczepaniak, Lucyna Wille i Anna Wołkowitz,  
 Wydawnictwo W.A.B.,  
 Warszawa 2012

rcie, o przeszłości, o przymusowej prostytucji w obozach koncentracyjnych, o Elizabeth Fritzl, o kobietach. Szczególne miejsce zajmują w tym zbiorze przemówienia, które wygłaszała (lub publikowała czy nagrywała) przy okazji otrzymywania kolejnych nagród od znienawidzonego państwa. Jak Thomas Bernhard, jej mistrz i obiekt podziwu, w *Moich nagrodach*, zamiast dziękować za wyróżnienie, wylewa z siebie oskarżenia i jad.

Oczywiście tłumaczenie takich zwyczajów ciężkimi przeżyciami z dzieciństwa to ścieżka na skróty przez łatwiznę, ale usprawiedliwia mnie fakt, że sama Jelinek w ten sposób wyjaśnia zarówno swoje agorafobię, fobię społeczną liczne zaburzenia emocjonalne i lękowe, jak i dobór tematów oraz zajadłość w ich patroszeniu. „Historia mojej rodziny to dla mnie zobowiązanie już od dziecka. To stało się częścią mnie samej i zawsze, gdy dostrzegam jakieś tendencje totalitarne lub autorytarne, od razu muszę krzyczeć” – mówi córka Żyda, który przeżył II wojnę światową, oraz hiperkontrolującej katoliczki, i dodaje: „Zostałam tak wychowana, że nie umiem się z niczego cieszyć”. I jeszcze: „Nienawidzę siebie, nienawidzę Austrii, o czym mam pisać? Mogę być twórcza tylko dzięki negatywnym emocjom. Gdybym siebie lubiła, byłoby mi przyjemnie, ale bym nie pisała”.



z kotła



# Dystans do matkowania

tekst: Iza-Kasia Zalewska-Kantek



Sylvia Chutnik,  
*Mama ma zawsze rację*,  
Mamania,  
Warszawa 2012

Felieton! Ach! cóż to za wspaniała foremka, a dobitna jak najcięższokolibrowa forma wypowiedzi. Uwielbiam: pisane, mówione i rysowane.

A pani Sylvia Chutnik, swoim zbiorem felietonów *Mama ma zawsze rację*, dodatkowo rozdmuchuje we mnie to uwielbienie. Wzniesła też, potwierdzane wybuchami szczerzej wesołości, uwielbienie dla jej wspaniałego, super-inteligentnego dystansu do codzienności, bez którego płacz i zgrzytanie zębów. Szczególnie ważny jest dystans

do bycia matką i wszystkiego, co się z tym matkowaniem wiąże, niezależnie od mnogości i stażu tej funkcji. Bez dystansu – matka z okiem błędnym i szatą plugawą, a dzieciaki sterylnie czyste i smutne.

Autorka nie opisuje sytuacji literacko-wydumanych, powstałych przy produkcji mydlanej powieści. Tak jest naprawdę! Stwierdzam to z całą pewnością mojego dubeltowego macierzyństwa. W odróżnieniu od większości osób Sylvia Chutnik nie obawia się obrania macierzyństwa ze skorupki doskonałości, radości bycia matką z utraconej niezależności i zmian w życiu z wmawiania całemu światu, że tak właśnie miało być. Nie udaje, że jest zachwycona, kiedy przestaje móc realizować swoje potrzeby, i nie chce być na ostatnim miejscu w hierarchii. Mało jest kobiet, które mają odwagę o tym mówić, z obawy, że nie znajdą zrozumienia i zostaną uznane za złe matki.

Dla mnie te felietony są jak spotkanie z bratnią duszą, z kimś, kto jest nieco zaskoczona y dynamiką sytuacji generowanych przez nasze pociechy. Sytuacji, które choć praktykowane od początku świata, wciąż są zdumiewające.

Nie mam pojęcia, jak czytałoby mi się *Mama ma zawsze rację*, gdybym mamą nie była. Czy też pochłonęłabym tę książkę za jednym zamachem? Sądzę, że tak, i wzbudziła by we mnie dodatkową ciekawość: jak to jest rzeczywiście matką być? Jeśli by się okazało, że różnie – na pewno sięgałabym po nią jak po koło ratunkowe, a może raczej sterowe, wskazujące igłą poczucia humoru właściwą drogę we mgłę zaskakujących doświadczeń i nieoczekiwanych sytuacji.

Do lektury, więc, felietonów Sylwii Chutnik! Będzie nam (trochę) weselej, kiedy przejrzymy się w kryształowym, choć trochę krzywym zwierciadle jej obserwacji.



## Sałatką na teraz

Pokroić drobniutko marchewkę, cukinię, świeży ogórek, garstkę świeżej mięty i natkę pietruszki. Dodać oliwę lub ulubiony olej (dynia, sezam, orzechy włoskie...), skropić sosem tamari, dodać łyżkę surowego miodu i ewentualnie kilka kropli cytryny.

## Fasolka yin-yang

Namaczyć osobno, na kilka godzin lub na noc, białą i czarną drobną fasolkę. Zalać świeżą wodą i ugotować też osobno, soląc pod koniec. Połączyć je w jednym garnku i omaścić dużą łyżką ghee, doprawiając najlepiej świeżym cząbrem, kozieradką, słodką papryką i pieprzem ziołowym.

## Śpiewajmy Pani!



*Jai Mata Kali, Jai Mata Durge  
Jai Mata Kali, Jai Mata Durge  
Kali Durge Namoh Namah  
Kali Durge Namoh Namah*



Módl się do Matki, módl się do Kali,  
Módl się do Matki, módl się do Durgi.  
Kali Durga, pokłoń się Jej.

Pieśni *Jay Mata Kali*  
w wykonaniu Niny Hagen  
można posłuchać tu:  
<http://www.youtube.com/watch?v=TspGh3iMa7Q>



## Stołeczek dla Niej

tekst: Katarzyna Rączka

Co robi Śmierć w kuchni? Siedzi na stołeczku w kącie i nawet nie zagląda do garnka. Zagląda za to wnikliwym wzrokiem do naszej głowy, sprawdzając, czy ją gościmy, czy przyjmujemy, czy nie zapomnieliśmy o należnym Jej miejscu... Ona jest tam zawsze. W każdym zerwanym jabłku, liściu sałaty, ususzonym kwiecie jaśminu i kropki cytryny. Ledwie ledwie, ale już tam zagląda, zapowiadana porą dojrzałości. Jak dobrze, że przychodzi. Wielka nauczycielka Życia, przypominająca: „Bierzcie, póki możecie, oddawajcie, póki to wasza decyzja”.

Patrzy z ziarna, które mielimy. I z ziarna, które kielkujemy. Jest na jednym albo drugim końcu naszych działań.

Pozostaje nam manewrowanie pomiędzy śmiercią a śmiercią. Pozostaje życie.

Oto właśnie sprawdzian intencji i działań. Mamy siłę transformacji, zarządzamy nią zgodnie z naszym wyborem. Możemy czerpać ze śmierci siłę życia i to tajemnica do pojęcia, dana zwłaszcza Kobiętom. One znają cykl, w którym jest miejsce na wszystko.

Mamy więc szansę uczyć się śmierci regularnie albo bać się jej regularnie. W ciele, w działaniu, w kuchni... Dobrze jest przewidzieć na stałe choćby stołeczek dla tej wielkiej Pani Odrodzenia. Ona nas poprowadzi, pokaże kierunek i błogosławiony moment zwrotu. Łatwiej z Nią zrozumieć wielkie Yin na kole przemian. Łatwiej nie zapomnieć o Życiu.



# BLOODY STRIPS



Kompilacja komiksów,  
w których w bardzo różnorodny sposób  
podjęto temat menstruacji.  
Krwawienie widziane oczyma kobiet.  
Kwestia zabawna, pozytywna, rzadko przemilczana.  
Będzie krwawo i wesoło.  
Premiera wkrótce!  
Więcej info na [comixrrrlz.pl](http://comixrrrlz.pl)